



*Nancy Mitford*

**POGOŃ  
ZA MIŁOŚCIĄ,**

CZYTELNIK

**Nancy Mitford**

**Pogoń za miłością**

Przekład  
Aleksandra Ambros

Czytelnik

Warszawa 2016

## **Spis treści**

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 Strona redakcyjna

Istnieje fotografia ciotki Sadie i jej sześciorga dzieci siedzących w hallu Alconleigh wokół stołu z zastawą do herbaty. Stół stoi, tak jak stał wtedy, jak stoi dzisiaj i jak będzie stał zawsze, naprzeciwko wielkiego kominka, w którym ogień z polan bucha wysokim płomieniem. Nad gzymsem kominka, wyraźnie widoczny na fotografii, wisi szpadel wojskowy, którym w roku 1915 wuj Matthew zarąbał na śmierć jednego po drugim ośmiu Niemców wypełzających z ziemianki. Ów szpadel, nadal pokryty krwią i włosami, stanowił dla nas, dzieci, przedmiot fascynacji. Zawsze piękna twarz ciotki Sadie wydaje się na fotografii dziwnie okrągła, jej włosy są dziwnie puszyste, a ubiór dziwnie zaniedbany, ale nie ma wątpliwości, że to ona tu siedzi i trzyma na kolanach Robina tonącego w powodzi koronek. Wygląda, jakby nie za bardzo wiedziała, co zrobić z jego głową, i obecność niani, która ma ochotę go zabrać, jest wyczuwalna, acz niewidoczna. Pozostałe dzieci, od jedenastoletniej Louisy do dwuletniego Matta, siedzą wokół stołu w odświętnych ubraniach bądź falbaniastych śliniakach, trzymając filiżanki lub kubki w zależności od wieku i wpatrując się w aparat wielkimi oczami, szeroko otwartymi przez błysk flesza; wszystkie z buziami w ciup, wyglądające na absolutne niewiniątka. Tkwią tak, uwięzione niczym muchy w bursztynie tamtej chwili – aparat pstryka, życie się toczy, minuty, dni, lata oddalają je od tego błogostanu i obietnic młodości, od nadziei, jakie musiała żywić wobec nich ciotka Sadie, i od marzeń, jakie same snuły. Często myślę, że nie ma nic aż tak dojmująco smutnego jak stare rodzinne fotografie.

Jako dziecko spędzałam regularnie w Alconleigh ferie Bożego Narodzenia i o ile niektóre z nich przemknęły, pozostawiając niewiele w pamięci, to inne wyróżniały się gwałtownymi wydarzeniami i posiadały zdecydowanie własny charakter. Kiedyś na przykład wybuchł pożar w skrzydle zamieszkiwanym przez służbę, innym razem mój koń upadł na mnie w strumieniu i o mało co mnie nie zatopił (nie tak bardzo „o mało co”, szybko go odciągnięto, ale nim to się stało, podobno dostrzec można było bąbelki). Pewnego razu rozegrał się też dramat, kiedy Linda w wieku dziesięciu lat usiłowała popełnić samobójstwo, żeby dołączyć do starego, śmierdzącego szkockiego teriera, którego wuj Matthew kazał uśpić. Nazbierała i zjadła pełen koszyk jagód cisu, odkryła to niania i zaaplikowała jej wodę z musztardą, by spowodować wymioty. Następnie Linda otrzymała reprimendę od ciotki Sadie, kuksańca od wuja Matthew i musiała wiele dni spędzić w łóżku, a w końcu dostała szczeniaka labradora, który wkrótce zajął w jej sercu miejsce starego teriera. Do znacznie gorszego nieszczęścia doszło, kiedy Linda w wieku lat dwunastu ujawniła córkom sąsiadów, które przyszły na podwieczorek, to, co uważała za prawdę o życiu seksualnym. Przedstawienie owej „prawdy”

w wykonaniu Lindy było tak ponure, że dziewczynki opuściły Alconleigh, szlochając rozpaczliwie, ich system nerwowy doznał trwałego uszczerbku, a szanse na zdrowe i szczęśliwe życie seksualne zostały mocno pomniejszone. Rezultatem była seria straszliwych kar, od prawdziwego lania zaordynowanego przez wuja Matthew po obiad na górze przez tydzień. Niezapomniane pozostały też ferie, kiedy to wuj Matthew i ciotka Sadie pojechali do Kanady. Dzieci Radlettów pędziły codziennie po gazetę w nadziei na wiadomość, że statek rodziców zatonął ze wszystkimi na pokładzie; marzyły, żeby zostać zupełnymi sierotami, szczególnie Linda, która widziała siebie w roli Katy z *What Katy Did*, kiedy lejce, jeśli chodzi o prowadzenie domu, ujmują małe, ale kompetentne dłonie.

Ale najlepiej pamiętam Boże Narodzenie, kiedy miałam czternaście lat i ciotka Emily się zaręczyła. Ciotka Emily była siostrą ciotki Sadie i wychowywała mnie od niemowlęctwa, jako że moja matka, ich najmłodsza siostra, czuła się zbyt piękna i zbyt płocha, aby w wieku dziewiętnastu lat obciążać się dzieckiem. Zostawiła mojego ojca, kiedy miałam miesiąc, i od tego czasu uciekała tak często i z tyloma różnymi mężczyznami, że zyskała w rodzinie i wśród przyjaciół przydomek Narowista, natomiast druga, a następnie trzecia, czwarta i piąta żona mojego ojca nie miały, co całkiem naturalne, specjalnej ochoty zajmować się mną. Od czasu do czasu któreś z tych impulsywnych rodziców pojawiała się niczym rakietą, rozświetlając mój horyzont nienaturalnym blaskiem. Emanowali ogromnym czarem, bardzo chciałam znaleźć się na ich ognistym szlaku i zostać uniesiona hen daleko, w głębi duszy rozumiałam jednak, jakie to szczęście, że mam ciotkę Emily. Stopniowo, w miarę mojego dorostania, tracili dla mnie wszelki urok; zimne szare łuski rakiet niszczały tam, gdzie przypadkowo wylądowały, matka z jakimś majorem na południu Francji, ojciec, którego majątek został sprzedany na pokrycie długów, ze starą rumuńską hrabiną na Bahamach. Nawet zanim jeszcze dorosłam, zbladło wiele z otaczającego ich czaru, aż w końcu nie zostało nic, żadnej podstawy dla dziecięcych wspomnień, dzięki którym mogliby się odróżniać od innych ludzi w średnim wieku. Ciotka Emily nigdy nie wydawała się czarująca, ale zawsze była moją matką i kochałam ją.

Jednakże w czasie, o którym piszę, byłam w wieku, w jakim nawet dziecko obdarzone minimalną wyobraźnią widzi siebie jako podrzutka, księżniczkę indiańskiej krwi, Joannę d'Arc czy przyszłą carycę Rosji. Wzdychałam do rodziców, robiłam idiotyczne miny, mające wyrażać cierpienie pomieszane z dumą, kiedy ich wspominano, i myślałam o nich jako pogrążonych w głębokim, romantycznym, śmiertelnym grzechu.

Grzech bardzo zajmował Lindę i mnie, a naszym wielkim bohaterem został Oscar Wilde.

– Ale co on takiego z r o b i ł?

– Spytałam kiedyś papę, ale on się na mnie wydarł. Boże, przeraził mnie.

Powiedział: „Jeśli jeszcze raz wspomnisz nazwisko tego łajdaka w tym domu, zleję cię, słyszysz, do cholery!”. Więc zapytałam Sadie, zrobiła bardzo niepewną minę i powiedziała: „Och, kotku, nigdy dokładnie nie wiedziałam, ale to, co zrobił, było gorsze niż morderstwo, okropnie złe. I, kochanie, nie mów o nim przy stole, dobrze?”.

- Musimy się dowiedzieć.
- Bob mówi, że się dowie, jak pójdzie do Eton.
- To dobrze! Czy myślisz, że on był gorszy niż mama i tata?
- No chyba nie mógł. Ach, jaka ty jesteś szczęśliwa, że masz złych rodziców!

W tamto Boże Narodzenie, kiedy miałam czternaście lat, weszłam do hallu w Alconleigh, potykając się oślepią światłem po sześciomilowej jeździe ze stacji w Merlinford. Co roku wyglądało to tak samo, zawsze przyjeżdżałam tym samym pociągiem w porze podwieczorku i zawsze zastawałam ciotkę Sadie oraz dzieci przy stole pod szpadlem wojskowym, dokładnie tak, jak na fotografii. Był to niezmiennie ten sam stół i ta sama zastawa do herbaty: porcelana w wielkie róże, czajnik oraz srebrne naczynie na babeczki maślane grzejące się nad drobnymi płomykami; ludzie oczywiście niepostrzeżenie stawali się starsi, niemowlęta zmieniały się w dzieci, dzieci dorastały i pojawił się dodatek w postaci Victorii, obecnie dwuletniej, która dreptała koło stołu, ściskając w zaciśniętej piąstce czekoladowe ciasteczko. Z buzią usmarowaną czekoladą przedstawiała widok straszny, ale spoza tej lepkiej maski lśnił niewątpliwy błękit dwojga upartych Radlettowskich oczu.

Weszłam – i rozległo się potworne szuranie krzeseł, sfora Radlettów rzuciła się na mnie z gwałtownością i niemal zaciekłością sfory psów rzucających się na lisa. Wszyscy z wyjątkiem Lindy. Ona najbardziej ucieszyła się na mój widok, ale postanowiła tego nie okazywać. Kiedy wrzawa ucichła, a ja siedziałam, mając przed sobą babeczkę maślaną i filiżankę herbaty, odezwała się:

– Gdzie Brenda?

Brenda była moją białą myszką.

– Zrobiła jej się jakaś odleżyna na grzbiecie i zdechła – odpowiedziałam.

Ciotka Sadie popatrzyła z niepokojem na Lindę.

– Jeździłaś na niej? – spytała dowcipnie Louisa.

Matt, który niedawno przeszedł pod opiekę francuskiej guwernantki, powiedział, naśladowując jej wysoki głos:

– *C’était, comme d’habitude, les voies urinaires*<sup>1</sup>.

– O Boże – szepnęła ciotka Sadie.

Obfite łzy kapały na talerz Lindy. Nikt nie płakał tyle i tak często jak ona; byle co, ale szczególnie coś smutnego związanego ze zwierzętami, pobudzało ją do

płaczu, a kiedy raz zaczęła, trzeba było nie lada wysiłku, żeby ją uspokoić. Była dzieckiem delikatnym, bardzo nerwowym i nawet ciotka Sadie, która, o ile chodziło o zdrowie dzieci, żyła z głową w chmurach, miała świadomość, że zbyt dużo płaczu nie pozwala Lindzie spać, odbiera jej apetyt i jest dla niej szkodliwe. Pozostałe dzieci, szczególnie Louisa i Bob, którzy uwielbiali dokuczać, dręczyli ją na tyle, na ile się ośmielili i byli regularnie karani za doprowadzanie jej do płaczu. *Czarny Księżę*, *Historia szlachetnego jelenia* i wszystkie książki Setona Thompsona znajdowały się w pokoju dzieciennym na indeksie ze względu na Lindę, która przeczytawszy je kiedyś, pograżyła się w rozpacz. Musiały być schowane, bo gdyby leżały na wierzchu, nie można było mieć pewności, że Linda nie sięgnie po nie i nie zafunduje sobie orgii samobiczowania.

Niedobra Louisa ułożyła wierszyk, który niezawodnie wywoływał strumienie łez.

Mała, bezdomna zapałka, bez dachu nad głową,  
bez strzechy,  
Leży cichutko samotna i nie ma znikąd pociechy.

Kiedy ciotki Sadie nie było w pobliżu, dzieci wyśpiewywały to żałobnym chórem. W pewnych okolicznościach wystarczyło tylko spojrzeć na pudełko zapałek, żeby biedna Linda rozpląnęła się we łzach, natomiast gdy czuła się silniejsza, bardziej zdolna stawić czoło życiu, takie dokuczanie wydobywało z samej głębi jej brzucha mimowolny rechot. Linda była nie tylko moją ulubioną kuzynką, ale i wtedy, i przez wiele lat później również moją ulubioną istotą ludzką. Uwielbiałam wszystkich moich kuzynów, a w Lindzie skupiła się, psychicznie i fizycznie, sama esencja rodziny Radlettów. Jej czyste rysy, proste włosy szatynki i duże niebieskie oczy stanowiły temat, którego twarze pozostałych były wariacją; wszystkie ładne, ale żadna tak absolutnie wyrazista jak jej. Była w niej jakaś furia, nawet kiedy się śmiała, co czyniła bardzo często, a zawsze jakby zmuszona, wbrew woli. Coś, co przypominało portrety młodego Napoleona, rodzaj chmurnej intensywności.

Widziałam, że ona rzeczywiście przejmuję się śmiercią Brendy bardziej niż ja. Prawdę mówiąc, mój miesiąc miodowy z tą myszą dawno się skończył; weszliśmy w okres relacji bezbarwnej, rodzaj, by tak rzec, małżeńskiej śniedzi i kiedy na grzbiecie Brendy pojawiła się obrzydliwa odleżyna, potrafiłam się zdobyć jedynie na to, by zachować się przyzwoicie i traktować ją po ludzku. Niezależnie od szoku, czym jest zawsze znalezienie kogoś sztywnego i zimnego w jego klatce, odczułam wielką ulgę, że cierpienia Brendy wreszcie się skończyły.

– Gdzie jest pochowana? – z pasją wymamrotała Linda, wpatrując się w talerz.

– Koło rudzika. Ma śliczny krzyżyk i trumnę wyścieloną różowym atłasem.  
– Lindo, kochanie – wtrąciła ciotka Sadie – jeśli Fanny już wypila herbatę, może pokażesz jej swoją ropuchę?

– Ona śpi na górze – odparła Linda. Ale przestała płakać.

– To zjedz gorącą grzankę.

– Czy mogę ją posmarować pastą sardelową? – spytała Linda, szybko wykorzystując przychylność ciotki Sadie, jako że pasta sardelowa była przeznaczona wyłącznie dla wuja Matthew i uważana za niezdrową dla dzieci. Rodzeństwo Lindy ostentacyjnie wymieniło między sobą znaczące spojrzenia. Te zostały przechwycone, jak zresztą miały być, przez Lindę, która wydała z siebie straszliwie głośne buu! I pomknęła na górę.

– Dzieci, chciałabym, żebyście przestały dokuczać Lindzie – powiedziała zirytowana ciotka Sadie, tracąc swoją zwykłą łagodność, i poszła za Lindą.

Odczekawszy, aż ciotka Sadie zniknie na schodach, które prowadziły prosto z hallu na piętro, i nic już nie usłyszysz, Louisa wyrecytowała:

– Gdyby życzenia były końmi, żebracy by jeździli konno<sup>2</sup>. Jutro polowanie na dzieci, Fanny.

– Tak, mówił mi Josh. Przyjechaliśmy razem samochodem. Był u weterynarza.

Wuj Matthew miał cztery imponujące posokowce, których używał do polowań na swoje dzieci. Dwoje z nas wyruszało dużo wcześniej, na wabia, a wuj Matthew i reszta podążali za nami konno. To była świetna zabawa. Kiedyś wuj przyjechał do mojego domu i ścigał mnie i Lindę po błoniach Shenley. Spowodowało to olbrzymie poruszenie w Kent, podążający do kościoła weekendowicze byli zaszokowani widokiem czterech olbrzymich psów uganiających się z głośnym ujadaniem za dwiema dziewczynkami. Mój wuj musiał na tych ludziach robić wrażenie złego barona z powieści, a mnie w jeszcze większym stopniu uznali za szaloną, złą i niebezpieczną jako towarzystwo dla ich dzieci.

Polowanie na dzieci pierwszego dnia tych świątecznych wakacji udało się nadzwyczajnie. Rola zajęcy przypadła Luisie i mnie. Pędziłyśmy przez okolicę, piękne, ponure wyżyny Cotswold, rozpoczynając nasz bieg zaraz po śniadaniu, kiedy słońce było jeszcze czerwoną kulą, ledwie wyłonioną ponad horyzont, a drzewa rysowały się granatowo na tle bladoniebieskiego, liliowego i różowego nieba. Słońce wznosiło się, a my posuwałyśmy się naprzód, marząc o złapaniu drugiego oddechu; świeciło, aż wstał przepiękny dzień, bardziej przypominający jesień niż okres Bożego Narodzenia.

Raz udało nam się wstrzymać psy, gdy przebiegłyśmy przez stado owiec, ale wuj Matthew szybko skierował je na właściwy trop i po mniej więcej dwóch godzinach naszego intensywnego biegu, kiedy byłyśmy w odległości zaledwie pół



mili od domu, niezmordowane w pościgu, ociekające śliną stworzenia dopadły nas i otrzymały w nagrodę kawały mięsa i mnóstwo pieszczot. Wuj Matthew był w promiennym nastroju, zsiadł z konia i szedł z nami do domu, tocząc miłą pogawędkę. Co najdziwniejsze, zachowywał się uprzejmie nawet wobec mnie.

– Słyszałem, że Brenda zdechła – powiedział. – Mała strata, moim zdaniem. Ta mysz śmierdziała jak wszyscy diabli. Pewnie trzymałaś jej klatkę za blisko grzejnika, zawsze ci mówiłem, że to niezdrowo. Czy też zmarła ze starości?

Wuj Matthew potrafił być uroczy, kiedy chciał, ale w owym czasie ja zawsze śmiertelnie się go bałam i zrobiłam ten błąd, że pozwoliłam mu to widzieć.

– Powinnaś mieć orzesznicę, Fanny, albo szczura. Są o wiele ciekawsze niż białe myszy, choć muszę przyznać, że w życiu nie widziałem równie koszarnej myszy jak Brenda.

– Była niepociągająca – podliziałam się.

– Kupię ci orzesznicę, gdy pojedę do Londynu po świętach. Widziałem jedną któregoś dnia w Domu Towarowym Armii i Marynarki.

– Och, papo, to niesprawiedliwe! – zawołała Linda, która jechała stępą obok nas. – Wiesz, że zawsze marzyłam o orzesznicy.

„To niesprawiedliwe” było wiecznym okrzykiem młodych Radlettów. Wielkim plusem życia w dużej rodzinie jest ta wczesna lekcja niesprawiedliwości życia. Muszę powiedzieć, że w tym wypadku działało to niemal zawsze na korzyść Lindy, którą wuj Matthew uwielbiał.

Dzisiaj jednak złościł się na nią i błyskawicznie się zorientowałam, że ta życzliwość okazywana mnie, ta sympatyczna pogawędka o myszach, miała jedynie na celu dokuczenie Lindzie.

– Masz dosyć zwierząt, panienko – powiedział ostro. – Nawet ich nie potrafisz utrzymać w ryzach. I nie zapominaj, co ci powiedziałem: ten twój pies ma iść prosto do psiarni, gdy tylko wrócimy, i tam pozostać.

Twarz Lindy się skurczyła, łzy trysnęły z oczu, trąciła konia nogą i pogalopowała do domu. Zdaje się, że jej pies Labby po śniadaniu zwymiotował w gabinecie wuja. Wuj nie znosił, kiedy psy robiły nieporządek, wpadł we wściekłość i w tej wściekłości zarządził, że Labby’emu nigdy więcej nie wolno wchodzić do domu. Podobne sceny ciągle miały miejsce, z tego czy innego powodu, wobec tego czy innego zwierzaka, a ponieważ wuj Matthew mocniej szczeakał niż gryzł, zakaz rzadko trwał dłużej niż dzień czy dwa, po czym rozpoczynało się to, co wuj nazywał „powolutku aż do skutku”.

– Czy mogę go przyprowadzić na chwilę, kiedy przyjdę po rękawiczki?

– Jestem taka zmęczona, nie mam siły iść do stajni, pozwól mu tylko zostać, aż zjemy podwieczorek.

– Oho, już widzę powolutku aż do skutku. Dobrze, tym razem może zostać, ale jeśli znów narobi nieporządku albo przyłapię go na twoim łóżku czy pogryzie

jakiś przyzwoity mebel (w zależności od tego, które przestępstwo spowodowało wypędzenie), każe go zlikwidować i nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Niemniej za każdym razem, kiedy zapadał wyrok banicji, właścicielka skazańca wyobrażała sobie, jak jej ulubieniec wiezie żalony żywot w izolacie zimnej i ponurej psiarni.

– Jeśli nawet wezmę go codziennie na trzygodzinny spacer, a także pójde porozmawiać z nim przez jeszcze godzinę, to i tak zostanie dwadzieścia godzin, kiedy będzie siedział sam, nie mając nic do roboty. Och, czemu psy nie potrafią czytać?

Dzieci Radlettów, należy zauważyć, traktowały swoich pupilów w sposób wysoce antropomorficzny.

Dzisiaj jednak wuj Matthew był w cudownym humorze i kiedy wychodziliśmy ze stajni, powiedział do Lindy, która siedziała w psiarni z Labbym i płakała.

– Masz zamiar trzymać tutaj to nieszczęsne zwierzę przez cały dzień?

Zapominając o łzach, jakby żadnych łez w ogóle nie było, Linda pomknęła do domu z Labbym przy nodze. Radlettowie zawsze albo przebywali na wyżynach szczęśliwości, albo tonęli w odmętach czarnej rozpacz, ich emocje nie znały zwykłego poziomu, kochali albo nienawidzili, śmiali się albo płakali. Funkcjonowali w świecie wykrzykników. Ich życie z wujem Matthew było rodzajem nieustającej gry w „Jak daleko można się posunąć?”. Posuwali się tak daleko, jak śmieli, czasami istotnie bardzo daleko, podczas gdy innym razem, bez żadnego widocznego powodu, on rzucał się na nich, niemal zanim przekroczyli linię. Gdyby byli dziećmi biednymi, prawdopodobnie zostaliby odseparowani od ryczącego, wściekającego się, rozdziałającego razy ojca i umieszczeni w ośrodku opiekuńczym lub też, co nawet bardziej prawdopodobne, on sam byłby odseparowany od nich i umieszczony w więzieniu za to, że nie pozwalał im się kształcić. Jednakże natura zapewnia własne lekarstwa; niewątpliwie Radlettowie mieli w sobie wystarczająco dużo z wuja Matthew, żeby móc uodpornić się na burze, które zupełnie by załamały zwyczajne dzieci, takie jak ja.

W Alconleigh pogodzono się z faktem, że wuj Matthew mnie nie znosi. Ten gwałtowny, niepanujący nad sobą człowiek nie znał, podobnie jak jego dzieci, pośredniej drogi; albo kochał, albo nienawidził, a trzeba powiedzieć, że na ogół nienawidził. Mnie nienawidził dlatego, że nienawidził mojego ojca, byli starymi wrogami z Eton. Kiedy stało się oczywiste, a oczywiste stało się z chwilą mojego poczęcia, że moi rodzice mają zamiar porzucić mnie na progu, ciotka Sadie chciała wychowywać mnie razem z Lindą. Byłyśmy w tym samym wieku, plan więc wydawał się rozsądny. Wuj Matthew kategorycznie się sprzeciwił. Nienawidził mojego ojca, oświadczył, że nienawidzi mnie, ale przede wszystkim nienawidzi dzieci, wystarczy mu w zupełności dwójka własnych. (Najwyraźniej nie przewidział, że wkrótce będzie siódemka; istotnie, on i ciotka Sadie nie wychodzili ze zdumienia, że napełnili tak wiele kołysek, tym bardziej że wobec ich lokatorów nie mieli, zdaje się, żadnej strategii wychowawczej). Zatem kochana ciotka Emily, której serce złamał niegdyś jakiś pozbawiony skrupułów flirciarz i która po tym doświadczeniu zdecydowała się nigdy nie wyjść za mąż, wzięła mnie do siebie i poświęciła się mojemu wychowaniu, a ja jestem jej za to nieskończenie wdzięczna. Była bowiem gorącą zwolenniczką kształcenia kobiet, zadała sobie wiele trudu, żebym mogła otrzymać solidną edukację, posuwając się nawet do tego, że zamieszkała w Shenley, by być bliżej dobrej szkoły dziennej. Radlettówny nie pobierały praktycznie żadnych lekcji. Lucille, francuska guwernantka, uczyła je czytać i pisać, zmuszano je, choć były zupełnie pozbawione słuchu, do gry na fortepianie godzinę dziennie w lodowatej sali balowej; z oczyma utkwionymi w zegar odbębniały *Wesołego wieśniaka* i parę gam; każdego dnia oprócz tych, kiedy odbywało się polowanie, musiały chodzić z Lucille na spacer, na których praktykowały francuską konwersację – i na tym kończyła się ich edukacja. Wuj Matthew nie cierpiał mądrych kobiet, uważał jednak, że szlachcianki oprócz umiejętności jazdy konnej powinny też opanować francuski i grę na fortepianie. Choć jako dziecko zazdrościłam im oczywiście wolności od przymusu i obowiązków, od obliczeń i nauk ścisłych, to jednak odczuwałam obłudne zadowolenie, że nie wyrosnę na analfabetkę jak one.

Ciotka Emily rzadko przyjeżdżała ze mną do Alconleigh. Może uważała, że będę się lepiej bawiła, kiedy pojedę sama, niewątpliwie też stanowiło dla niej odmianę to, że mogła wyrwać się z domu i spędzić święta z przyjaciółmi z czasów młodości, uwalniając się na chwilę od obowiązków podeszłego wieku. Ciotka Emily miała w tym czasie lat czterdzieści i my, dzieci, dawno już zrezygnowaliśmy w jej imieniu z cielesnych i diabelskich pokus. Tamtego roku jednak wyjechała z Shenley jeszcze przed rozpoczęciem ferii, oświadczając, że zobaczymy się

w styczniu w Alconleigh.

Po południu tego dnia, kiedy wyprawiono polowanie na dzieci, Linda zwołała posiedzenie Honsów<sup>3</sup>. Honsowie było to tajne stowarzyszenie Radlettów, każdy, kto nie sprzyjał Honsom, był anty-Honsem, a bojowy okrzyk stowarzyszenia brzmiał: „Śmierć okropnym anty-Honsom!”. Ja należałam do Honsów, ponieważ mój ojciec, podobnie jak ich, był lordem.

Istniało jednak także wielu honorowych Honsów, nie trzeba było koniecznie urodzić się Honsem, żeby nim zostać. Jak to kiedyś ujęła Linda: „Dobre serce znaczy więcej niż diadem, a prosta wiara więcej niż normańska krew”. Nie jestem pewna, do jakiego stopnia w to wierzyliśmy, w owych czasach byliśmy wrednymi snobami, ale kupiliśmy ogólną ideę. Liderem honorowych Honsów był Josh, masztalerz, którego wszyscy uwielbialiśmy i który był wart kubłów normańskiej krwi; szefem okropnych anty-Honsów był Craven, leśniczy, z którym toczyliśmy wieczną walkę na śmierć i życie. Honsowie skradali się do lasu i chowali stalowe sidła Cravena, wypuszczali zięby, które trzymał w drucianych klatkach bez jedzenia i picia, żeby służyły za przynętę dla sokołów; grzebali godnie ofiary tej spiżarni leśniczego, a przed odprawą myśliwych odblokowywali korytarze w lisich norach, które Craven tak starannie pozatykał.

Biedni Honsowie przeżywali męki z powodu wiejskich okrucieństw, natomiast ja dzięki wakacjom w Alconleigh odkrywałam bestialstwo w pełnej krasie. Domek cioci Emily na wsi był prostopadłościanem z epoki królowej Anny; czerwona cegła, biała wykładzina, drzewo magnolii i rozkoszny świeży zapach. Między nim a polami znajdował się schludny ogródek, ozdobne żelazne ogrodzenie, zielone wiejskie błonia i sama wioska. Idąc dalej, na pola i w kierunku lasu, napotykało się krajobraz zdecydowanie różny od tego w Gloucestershire, wytrzebiony, osłonięty, zbyt wymuskany, niemal jak ogród na przedmieściu. W Alconleigh okrutne lasy podchodziły pod sam dom. Nie było nic niezwykłego w tym, że budziły cię piski królika obiegającego w panice gronostaja czy potworne wycie lisa, nic dziwnego w widoku żywej kury niesionej w pysku liszki, a bażanty lub sowy napełniały każdą noc dzikimi, pierwotnymi dźwiękami. Zimą, gdy śnieg pokrył ziemię, można było wytropić ślady wielu stworzeń. Często kończyły się kałużą krwi, kłębowiskiem sierści i piór, zaświadczać o udanym polowaniu mięsożerców.

Po drugiej stronie domu, o rzut kamieniem, znajdował się folwark. Tutaj zabijanie drobiu i bicie świń, kastrowanie jagniąt i znakowanie bydła odbywało się jak gdyby nigdy nic, na widoku każdego, kto akurat tędy przechodził. Nawet kochany stary Josh nic sobie nie robił z potraktowania rozpalonym do czerwoności żelazem ulubionego konia po zakończeniu sezonu polowań.

– Można robić tylko dwie nogi naraz – mówił, świszcząc przez zęby, jakby

było się koniem, którego oporządzał – inaczej nie wytrzymał bólu.

Linda i ja byliśmy mało wytrzymałe na ból i nie mogłyśmy pogodzić się z tym, że zwierzęta muszą doświadczać takich katuszy za życia i cierpienia przy śmierci. (Nadal jestem temu przeciwna, i to bardzo, ale w tamtym okresie w Alconleigh stało się to naszą absolutną obsesją).

Humanitarna działalność Honsów była zabroniona pod groźbą kary przez wuja Matthew, który zawsze trzymał zdecydowanie stronę Cravena, swojego ulubionego sługi. Bażanty i kuropatwy miały być pod ochroną, przynoszącą szkody drobną zwierzynę należało bezwzględnie tępić; wyjątkiem był lis, dla którego szykowano bardziej podniecającą śmierć. Niejedno lanie wycierpieli biedni Honsowie, całymi tygodniami pozbawiano ich kieszonkowego, wysyłano wcześniej do łóżka, kazano dodatkowo ćwiczyć, a jednak mimo wszelkich prób zniechęcania i znikomych szans powodzenia nie zaprzestawali swojej działalności. Olbrzymie paki pełne stalowych wnyków przybywały regularnie z Domu Towarowego Armii i Marynarki i czekały przy chacie Cravena w głębi lasu, aż będą potrzebne (jego kwaterą był stary wagon kolejowy usytuowany, bardzo nieodpowiednio, wśród pierwiosnków i krzaków jeżyn na uroczej polance); setki pułapek, które kazały wąpić w celowość zagrzebywania mizernych paru, a tym samym ryzykowania życia i własności. Czasami znajdowaliśmy w pułapce wyjące zwierzę, trzeba było zmobilizować całą odwagę, by podejść i je wypuścić, i patrzeć, jak ucieka na trzech łapach, podczas gdy czwarta dynda zmasakrowana. Wiedzieliśmy, że prawdopodobnie padnie w swoim legowisku z powodu zatrucia krwi; wuj Matthew wbijał nam ten fakt do głowy, nie szczędząc żadnych makabrycznych detali przedłużającej się męki, ale chociaż wiedzieliśmy, że tak byłoby miłosierniej, nigdy nie potrafiliśmy się zdobyć na to, żeby je zabić, było to dla nas nie do zniesienia. Często po takich epizodach musieliśmy odejść na bok i zwymiotować.

Miejszem spotkań Honsów była nieużywana suszarnia na bieliznę pościelową na samej górze domu, mała, ciemna i intensywnie gorąca. Podobnie jak w wielu innych dworach centralne ogrzewanie w Alconleigh zostało zainstalowane we wczesnym okresie wprowadzania na rynek, za ogromną cenę, i obecnie było już beznadziejnie przestarzałe. Choć kocioł nadawałby się raczej na atlantycki liniowiec, choć codziennie konsumował tony koksu, miało to znikomy wpływ na temperaturę w salonie, a całe ciepło zdawało się gromadzić w kryjówce Honsów, w której można się było udusić. Siadywaliśmy tu, stłoczeni na sztachetowych półkach, i godzinami gadaliśmy o życiu i śmierci.

Podczas ostatnich ferii mieliśmy obsesję na punkcie rodzenia dzieci, na który to fascynujący temat zdobyliśmy informacje wyjątkowo późno, żywiąc długo przekonanie, że brzuch matki puchł przez dziewięć miesięcy, po czym pękał niczym dojrzała dynia i wyrzucał dziecko. Kiedy zaświtało nam, jak to jest

naprawdę, poczuliśmy zawód, dopóki Linda nie znalazła w pewnej powieści i nie odczytała nam grobowym głosem opisu kobiecego porodu.

„Łapie powietrze spazmatycznymi haustami... pot ścieka jej z czoła jak woda... wycia jakby dręczzonego zwierzęcia przesywają powietrze... i czyż ta twarz wykrzywiona bólem może być twarzą mojej ukochanej Rhony... czyż ta komnata tortur to naprawdę nasza sypialnia, to koło tortur to nasze małżeńskie posłanie? – Doktorze, doktorze! – wołam. – Niech pan coś zrobi!... Wybiegam w noc”. I tak dalej.

Dość nas to zaniepokoiło, zdawałyśmy sobie bowiem sprawę, że i my prawdopodobnie w swoim czasie będziemy musiały znosić te straszliwe męczarnie. Kiedy zwróciłyśmy się do ciotki Sadie, która właśnie zakończyła, po siedmiorgu, rodzenie dzieci, ta nie bardzo nas uspokoiła:

– Rzeczywiście, to najgorszy ból na świecie. Dziwne jednak, że zawsze zapomina się pomiędzy, jak to jest. Za każdym razem, kiedy się zaczyna, mam ochotę zawołać: „Och, pamiętam już, dosyć, dosyć!”. Ale oczywiście wtedy na „dosyć” jest o dziewięć miesięcy za późno.

W tym momencie Linda się rozplakała, mówiąc, jakie okropne to musi być dla krów, i rozmowa się skończyła.

Nie dało się rozmawiać z ciotką Sadie o seksie, coś zawsze człowieka powstrzymywało; poród to było wszystko, na co się zdobyłyśmy. Obie ciotki, Sadie i Emily, czuły, że w jakimś momencie powinnyśmy się dowiedzieć więcej, będąc jednak zbyt zażenowane, aby nas oświecić, dały nam współczesny podręcznik na ten temat.

Zapoznałyśmy się z przedziwnymi ideami.

– Jassy – oświadczyła pogardliwie Linda pewnego dnia – ma bzika na punkcie seksu.

– Bzika na punkcie seksu! – wykrzyknęła Jassy. – Nikt nie ma takiego bzika na punkcie seksu jak ty, Lindo. Wystarczy, że popatrzę na jakiś obraz, a ty już nazywasz mnie pigmalionistką.

W końcu uzyskałyśmy znacznie więcej informacji z książki *Kaczki i hodowla kaczek*.

– Kaczki potrafią kopulować tylko w płynącej wodzie – oznajmiła Linda, wczytawszy się w tekst przez chwilę. – Powodzenia.

W ten wieczór wigilijny siedzieliśmy stłoczeni w kryjówce Honsów – Louisa, Jassy, Bob, Matt i ja – i czekaliśmy, co Linda ma do powiedzenia.

– Opowiedz o powrocie do macicy – poprosiła Jassy.

– Biedna ciocia Sadie – wtrąciłam. – Nie wydaje mi się, żeby chciała mieć was wszystkich z powrotem.

– Nigdy nie wiadomo. Króliki zjadają swoje dzieci. Ktoś powinien im wyjaśnić, że to tylko kompleks.

– Jak można coś wyjaśnić królikom? To takie przykre w przypadku zwierząt, że po prostu nie rozumieją, co się do nich mówi, biedne aniołki. Coś wam jednak powiem o Sadie: ona sama chciałaby wrócić do macicy, coś ma na punkcie różnych pudeł, to zawsze widać. Kto jeszcze? Fanny, a ty?

– Wątpię, czy bym chciała, ale, wiecie, wyobrażam sobie, że ta, w której przebywałam, nie była zbyt wygodna, zresztą nikomu więcej nie pozwolono w niej pozostać.

– Aborcje? – zainteresowała się Linda.

– W każdym razie dużo skoków i gorących kąpeli.

– A skąd ty o tym wiesz?

– Słyszałam, jak ciocia Emily i ciocia Sadie rozmawiały o tym, kiedy byłam bardzo mała i później mi się to przypomniało. Ciocia Sadie zapytała: „Jak ona to robi?”, a ciocia Emily odpowiedziała: „Narty, polowanie albo po prostu skakanie ze stołu kuchennego”.

– Jaka ty jesteś szczęśliwa, że masz złych rodziców.

Był to stały refren Radlettów i istotnie to moim złym rodzicom głównie zawdzięczałam ich zainteresowanie moją osobą – naprawdę byłam bardzo nudną małą dziewczynką pod innymi względami.

– Nowina, jaką mam dzisiaj dla Honsów – oznajmiła Linda, odchrząkując niczym osoba dorosła – choć ogólnie interesująca dla wszystkich, szczególnie dotyczy Fanny. Nie każę ci zgadywać, bo już prawie jest czas na podwieczorek, poza tym nigdy byś nie zgadła, więc wam po prostu powiem. Ciocia Emily się zaręczyła.

Rozbrzmiał chóralny okrzyk zdumienia.

– Lindo! – napadłam na nią z furją. – Wymyśliłaś to!

Ale wiedziałam, że nie wpadłaby na coś podobnego.

Linda wyjęła z kieszeni kartkę papieru. Była to połówka listu, najwyraźniej zakończenie, pokryta dużym, dzieciennym pismem ciotki Emily. Zaglądałam Lindzie przez ramię, kiedy odczytywała:

– „...nie mówić od razu dzieciom, że zaręczyliśmy się, jak uważasz, kochanie? Ale przypuśćmy, że on się Fanny nie spodoba, chociaż nie widzę, dlaczego miałby się nie spodobać, ale dzieci są takie dziwne, czy to nie byłby tym większy szok? Ojej, nie potrafię się zdecydować. W każdym razie, rób, jak uważasz, że będzie najlepiej, kochanie, przyjeżdżamy we czwartek, zatelefonuję w środę wieczór, żeby wiedzieć, na czym stanęło. Najserdeczniejsze ucałowania, Emily”.

Sensacja w kryjówce Honsów.

– Ale dlaczego? – zapytałam po raz setny.

Wraz z Lindą i Louisą tłoczyłyśmy się w łóżku Louisy, natomiast Bob przysiadł na brzegu. Rozmawialiśmy szeptem. Te północne pogawędki były jak najsurowiej wzbronione, ale w Alconleigh bezpieczniej było łamać zasady wczesną nocą niż kiedykolwiek indziej w ciągu doby. Wuj Matthew praktycznie zasypiał przy kolacji. Następnie drzemał w swoim gabinecie przez jakąś godzinę, by powlec się potem, niczym w lunatycznym transie, do łóżka, gdzie spał głębokim snem kogoś, kto spędził cały dzień na powietrzu, aż do piania koguta następnego ranka, kiedy to budził się niesłychanie rześki i pełen wigoru. Był to czas jego nigdy niekończącej się wojny z pokojówkami o drewno i popiół. Mianowicie pokoje w Alconleigh ogrzewano płonącymi polanami w kominkach i wuj Matthew słusznie utrzymywał, że jeśli palenisko ma funkcjonować właściwie, wszystek popiół winien zostać w nim w postaci wielkiego, gorącego, tłącego się zwału. Jednak pokojówki nie wiedzieć czemu (może tak zostały nauczone wcześniej) uważały za punkt honoru wygarnięcie całego popiołu. Kiedy szarpania, przekleństwa, napaści o szóstej rano wuja Matthew w szlafroku w „turecki” wzór przekonały je, że to niewykonalne, uparły się, żeby tak czy siak wygarnąć popiół po trochu, po jednej szufli co rano. Mogę tylko przypuszczać, że czuły, iż w ten sposób zaznaczają swoją osobowość.

Skutkowało to niesłychanie podniecającą wojną podjazdową. Wiadomo, że pokojówki wstają bardzo wcześnie i zwykle mogą liczyć na trzy pełne godziny, kiedy dom należy tylko do nich. Ale nie w Alconleigh. Wuj Matthew zawsze, zima czy lato, był na nogach już przed piątą i aż do mniej więcej siódmej, kiedy to brał kąpiel, snuł się po domu, wyglądając w swoim szlafroku jak król Herod i popijając niezliczone filiżanki herbaty z termosu. Śniadanie dla wuja, ciotki, rodziny i gości, wszystkich bez wyjątku, było punktualnie o ósmej, później nie tolerowano. Wuj Matthew nie miał żadnych względów dla porannego snu innych ludzi, po piątej rano trudno było zresztą na to liczyć, jako że on tłukł się po domu, krzycząc na psy, rycząc na pokojówki, brzęcząc filiżankami, strzelając na trawniku z batów do zaganiania bydła – batów, które przywiózł z Kanady, a które robiły hałas większy niż strzały z karabinu – a wszystko to przy akompaniamencie Galli-Curci na gramofonie, nienaturalnie głośnym z olbrzymią tubą, przez którą wydobywało się wrzaskliwe „*Una voce poco fa*”, aria Łucji, „*Lo, here the gen-tel lar-ha-hark*” i tym podobne, grane na najwyższych obrotach, przez co brzmiały jeszcze wyżej i piskliwiej niż powinny.

Nic nie przypomina mi bardziej dni mojego dzieciństwa w Alconleigh niż owe pieśni. Wuj Matthew grał je bez ustanku przez lata, aż czar prysł, kiedy to



specjalnie odbył podróż do Liverpoolu, żeby usłyszeć Galli-Curci na żywo. Rozczarowanie wywołane jej wyglądem było tak wielkie, że od tego czasu płyty z jej pieśniami umilkły już na zawsze, zastąpione przez najniższe basy, jakie można było dostać za pieniądze:

„Straszna musi być śmierć nurka  
Samotnego w głę-ę-ę-bi mórz”.

Albo:

„Drake udaje się na zachód, chłopaki”.

Ogólnie biorąc, rodzina przyjęła te pieśni z ulgą, jako że brzmiały wczesnym świtem mniej przeraźliwie.

– Dlaczego ona chce wyjść za mąż?

– Przecież nie może być zakochana. Ma czterdzieści lat.

Podobnie jak wszyscy bardzo młodzi ludzie uważaliśmy za pewnik, że miłość to zabawa dla dzieci.

– Myślicie, że ile on może mieć lat?

– Chyba z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt. Może ona myśli, że byłoby przyjemnie być wdową. Żałoba, rozumiecie.

– Może myśli, że Fanny przydałby się męski wpływ.

– Męski wpływ! – prychnęła Louisa. – Przewiduję kłopoty. Przypuśćmy, że on się zakocha w Fanny, to dopiero będzie bał, jak z Somersetem i księżniczką Elżbietą. Będzie cię macał i podszczypywał w łóżku, zobaczysz.

– Raczej nie w jego wieku.

– Starzy mężczyźni lubią małe dziewczynki.

– I małych chłopców – dodał Bob.

– Wygląda na to, że ciotka Sadie nic nie powie przed ich przyjazdem – zauważyłam.

– Jest jeszcze blisko tydzień, pewno się zastanawia. Omówi to z papą. Może by warto podслуchać następnym razem, gdy będzie brała kąpiel. Mógłbyś to zrobić, Bob.

Dzień Bożego Narodzenia upłynął, jak zwykle w Alconleigh, na zmianę między przebłyskami słońca a krótkimi ulewami. Wyrzuciłam z myśli, zgodnie z właściwą dzieciom tendencją, niepokojące wieści o ciotce Emily i skupiłam się na przyjemnościach pobytu. Około szóstej rano otworzyłyśmy z Lindą nasze zaspane oczy i zaczęłyśmy od zajrzenia do pończoch. Właściwe prezenty pojawiały się później, przy śniadaniu, ale pończochy pełne skarbów stanowiły wyśmienite hors d'oeuvre. Potem przyszła Jassy i zaczęła nam sprzedawać swoje rzeczy. Jassy dbała tylko o pieniądze, bo oszczędzała na ucieczkę z domu; wszędzie nosiła ze sobą swoją książeczkę oszczędnościową i zawsze wiedziała co do grosza, ile ma.

To następnie przekładało się – jakimś cudem determinacji, bo Jassy była bardzo słaba w rachunkach – na tyle a tyle dni pobytu w wynajętym pokoju.

– Jak ci idzie, Jassy?

– Bilet do Londynu oraz miesiąc, dwa dni i półtorej godziny w pokoju z umywalką i śniadaniem.

Skąd miałyby pochodzić inne posiłki, pozostawało sprawą wyobraźni. Co rano Jassy studiowała w „Timesie” ogłoszenia o wynajmowanych pokojach. Jak dotąd najtańsze znalazła w Clapham. Tak rwała się do gotówki, która przemieni jej marzenia w rzeczywistość, że można było z całą pewnością liczyć na korzystny interes w okolicach Bożego Narodzenia czy jej urodzin. Jassy w owym czasie miała osiem lat.

Muszę przyznać, że moi źli rodzice stawiali na wysokości zadania, gdy chodziło o Gwiazdkę, i moje prezenty od nich wzbudzały zawsze zazdrość całego domu. Tamtego roku matka wprost z Paryża przysłała mi złoconą klatkę pełną wypchanych kolibrów. Nakręcone ćwierkały, podskakiwały i piły z małego wodotrysku. Dostałam też futrzany kapelusz i złotą bransoletkę z topazami, której urok był tym większy, że ciotka Sadie uznała ją za nieodpowiednią dla dziecka i nie omieszkała tego powiedzieć. Ojciec podarował mi kucyka i dwukólkę, bardzo elegancki ekwipaż, który przybył parę dni wcześniej i został ukryty przez Josha w stajni.

– Typowe dla tego przekłętego głupca Edwarda przysłać to tutaj – powiedział wuj Matthew. – I my mamy się martwić, jak dostarczyć to do Shenley. Założę się, że biedna Emily nie będzie zachwycona. Kto u licha ma doglądać tego kucyka?

Linda popłakała się z zazdrości.

– To t a k i e niesprawiedliwe – powtarzała – żebyś to ty miała złych rodziców, a nie ja.

Uprosiłyśmy Josha, żeby po obiedzie wziął nas na przejażdżkę. Kucyk był anielsko łagodny, a całość łatwa w obsłudze dla dziecka, nawet zaprzęganie. Linda, w moim kapeluszu, powoziła. Spóźniłyśmy się na choinkę – dom już wypełniali dzierżawcy i ich dzieci. Wuj Matthew, usiłujący włożyć strój Świętego Mikołaja, zrugął nas tak gwałtownie, że Linda musiała pobiec na górę się wyplakać i nie wróciła, by odebrać od niego swój własny prezent. Wuj Matthew, który zadał sobie pewien trud, żeby zdobyć dla niej wymarzoną orzesznicę, bardzo się tym przejął; ryczał na każdego po kolei i zgrzytał protezami. W rodzinie się mówiło, że starł już cztery komplety protez w swoich atakach wściekłości.

Przemoc osiągnęła tego wieczoru apogeum, kiedy Matt pokazał pudełko zimnych ogni, które moja matka przysłała mu z Paryża. Na pudełku widniał napis *pétards*. Ktoś zapytał Matta: „Jak one działają?”, na co ten odpowiedział: „*Bien, ça pète, quoi?*”<sup>4</sup>. Ta uwaga, podsłuchana przez wuja Matthew, została skwitowana

tęgim laniem, co, prawdę mówiąc, było bardzo niesprawiedliwe, bo biedny Matt powtórzył tylko to, co Lucille powiedziała mu tego dnia wcześniej. Ale Matt uważał lanie za coś w rodzaju naturalnego zjawiska, niezwiązanego z żadnym jego własnym działaniem, i przyjmował je dość filozoficznie. Często się zastanawiałam, jakim cudem ciotka Sadie mogła wybrać Lucille, uosabiającą szczyt wulgarności, na wychowawczynię swoich dzieci. Wszyscy kochaliśmy Lucille, wesołą i pełną fantazji, czytała nam głośno bez przerwy, ale jej język był rzeczywiście przedziwny i na nieświadomych zastawiał straszliwe pułapki.

– *Qu'est-ce que c'est ce custard, qu'on fout partout?*<sup>5</sup>

Nigdy nie zapomnę, gdy Matt całkiem niewinnie wypowiedział tę uwagę u Fullera w Oksfordzie, dokąd zabrał nas wuj Matthew, żeby nas uraczyć jakimiś pysznościami. Konsekwencje były straszne.

Chyba nigdy nie przyszło wujowi Matthew do głowy, że Matt nie znał tych słów sam z siebie i że naprawdę byłoby sprawiedliwiej wstrzymać je u źródła.

Naturalnie oczekiwałam przyjazdu ciotki Emily i jej przyszłego małżonka z pewnym niepokojem. W końcu to ona była moją prawdziwą matką i niezależnie od tego, jak bardzo mogłam wzdychać do tej błyszczącej złej postaci, która mnie urodziła, to od ciotki Emily oczekiwałam solidnej, trwałej, choć pozornie nudnej relacji, której dostarcza macierzyństwo w najlepszym wydaniu. Nasz niewielki dom w Shenley był spokojny i szczęśliwy i stanowił absolutne przeciwieństwo ekscytacji oraz rozdzierających emocji z Alconleigh. Może i wydawał się mało atrakcyjny, ale był bezpieczną przystanią, do której zawsze chętnie wracałam. Zaczęłam chyba sobie mgliście zdawać sprawę, jak bardzo wszystko tutaj kręci się wokół mnie; sam rozkład dnia z wczesnymi obiadem i kolacją dostosowano do moich lekcji i pory chodzenia spać. Tylko podczas owych chwil, kiedy jeździłam do Alconleigh, ciotka Emily mogła mieć jakieś własne życie, a i te przerwy zdarzały się rzadko, ponieważ uważała, że wuj Matthew i cały ten burzliwy stan rzeczy źle wpływają na mój system nerwowy. Może nie uświadamiałam sobie jasno, do jakiego stopnia ciotka Emily podporządkowuje swoją egzystencję mojej, ale wiedziałam doskonale, że wejście mężczyzny do naszego domowego układu zmieni wszystko. Znając bardzo niewielu mężczyzn poza rodziną, wyobrażałam sobie, że wszyscy stworzeni są na modłę wuja Matthew albo mojego własnego, rzadko widywanego, mocno pobudliwego papy, a zarówno jeden, jak i drugi zainstalowany w naszym małym schludnym domku byłby niestety zdecydowanie nie na miejscu. Czułam się zaniepokojona, wręcz przerażona, do tego przyczyniały się jeszcze wytwory bujnej wyobraźni Louisy i Lindy, przez co doprowadziłam się do prawdziwego rozstroju nerwowego. Louisa dokuczała mi teraz *Constant Nymph*<sup>6</sup>. Głośno czytała ostatnie rozdziały i wkrótce umierałam już w brukselskim pensjonacie w ramionach męża ciotki Emily.

W środę ciotka Emily zadzwoniła do ciotki Sadie i rozmawiały bez końca. Telefon w Alconleigh był w owych czasach umieszczony w szklanej szafce w połowie jasno oświetlonego korytarza na tyłach domu; dodatkowych aparatów nie zainstalowano, przez co podsłuchiwanie nie wchodziło w rachubę. (W późniejszych latach przeniesiono telefon do gabinetu wuja Matthew i założono dodatkowy aparat, co zakończyło wszelką prywatność). Po powrocie do salonu ciotka Sadie powiedziała tylko: „Emily przyjeżdża jutro o trzeciej pięć. Kazała cię ucałować, Fanny”.

Następnego dnia wszyscy pojechaliśmy na polowanie. Radlettowie kochali zwierzęta, w tym lisy, ryzykowali, że dostaną potężne lanie, odblokowując ich nory, czytali o przygodach lisa Reynarda, płakali nad jego losem i cieszyli się z nim, w lecie zrywali się o czwartej rano, żeby obserwować zabawy małych

lisków w seledynowym świetle lasu, a jednak bardziej niż cokolwiek na świecie kochali polowanie. Mieli to we krwi, w kościach, ja również miałam to we krwi i w kościach, i nic nie było w stanie tego wykorzenieć, chociaż wiedzieliśmy, że jest to coś w rodzaju grzechu pierworodnego. Przez trzy godziny tego dnia byłam niepomna niczego oprócz mojego ciała i ciała mojego konia; pędu, wyścigu, rozprysków błota pod kopytami, pokonywania wzgórz i zjazdu z nich, ściągania lejców, podskakiwania na wybojach, ziemi i nieba. Zapomniałam o wszystkim. Nie wiem, czy potrafiłabym powiedzieć, jak się nazywam. Na tym chyba polega ta władza, jaką polowanie ma nad ludźmi, szczególnie głupimi ludźmi; wymusza absolutną koncentrację, zarówno psychiczną, jak i fizyczną.

Po trzech godzinach Josh zabrał mnie do domu. Nigdy nie wolno mi było zostać dłużej, żebym się nie zmęczyła i nie chorowała całą noc. Josh wyjechał na polowanie na zapasowym koniu wuja Matthew, około drugiej zamienili się i Josh ruszył w kierunku domu na spienionym, spoconym pierwszym koniu, zabierając mnie ze sobą. Przebudziłam się z mojego transu i zobaczyłam, że dzień, który rozpoczął się olśniewającym słońcem, jest teraz zimny i ciemny, a deszcz wisi w powietrzu.

– A gdzie milady poluje w tym roku? – zapytał Josh, gdy rozpoczęliśmy nasz dziesięćmiłowy trucht czymś w rodzaju grzbietu wzgórza, czyli drogą na Merlinford, okrutniej otwartą niż jakakolwiek inna znana mi droga, bez najmniejszego schronienia czy osłony od wiatru na całej długości piętnastu mil. Wuj Matthew nigdy by nie pozwolił na samochód, ani żeby zawiózł nas na odprawę, ani żeby zabrał nas do domu; uważał ten obyczaj za haniebnie mięczakowaty.

Wiedziałam, że Josh ma na myśli moją matkę. Służył u dziadka, kiedy ona i jej siostry były dziećmi, a moja matka stała się jego bohaterką, uwielbiał ją.

– Jest w Paryżu, Josh.

– W Paryżu? Po co?

– Zdaje się, że dobrze się tam czuje.

– Hm – mruknął ze złością Josh i jakieś pół mili przejechaliśmy w milczeniu. Zaczęło padać; drobny, zimny deszcz smagający rozległą okolicę po obu stronach drogi. Kłusowaliśmy pod wiatr. Miałam słabe plecy i anglezowanie na damskim siodle, nawet krótko, było dla mnie męczarnią. Skierowałam konia na trawę i przez chwilę galopowałam, wiedziałam jednak, jak bardzo Josh jest temu przeciwny: podobno powodowało to, że koń wracał do stajni zbyt zgrzany, z kolei jazda w stępie miała go zbyt wychłodzić. Musiał być kłus, kłus, kłus, tortura dla pleców przez cały czas.

– Moim zdaniem – odezwał się w końcu Josh – milady się marnuje, absolutnie się marnuje każdej minuty swego życia, w której nie siedzi na koniu.

– Jest wspaniałą amazonką, prawda?

Wszystko to już słyszałam od Josha wiele razy i nigdy nie miałam dosyć.

– Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by się mógł z nią równać – powiedział Josh, świszcząc przez zęby. – Ręce jak aksamit, ale silne niczym żelazo, a jej dosiad! Niech no panienka popatrzy na siebie, przewala się panienka na tym siodle, to tu, to tam, będziemy mieć odleżynę na grzbiecie jak nic dziś wieczorem, tego akurat możemy być pewni.

– Och, Josh, to anglezowanie. Jestem taka zmęczona.

– Milady się nie męczyła. Widziałem, jak zmieniała konie po dziesięciomilowym odcinku, wsiadała na świeżego, młodego pięciolatka, który przez tydzień nie opuścił stajni, wskakiwała na siodło niczym ptaszek, nigdy nie poczuła jej stopy na dłoni, w sekundę zgarniała lejce, ściągała i hop przez słupki i płoty, przeskakiwanie radlin i bruzd, a cały czas siedzi przymurowana. Jego lordowska mość potrafi jeździć, nie przeczę, ale niech panienka patrzy, w jakim stanie on odsyła swoje konie do stajni. Są tak diabelnie zmęczone, że nie mają siły jeść. Potrafi jeździć, nie przeczę, ale nie studiuje swoich koni. Nigdy nie widziałem, żeby matka panienki doprowadzała je do takiego stanu, wiedziała, kiedy mają dość, a wtedy powrót i nie ma gadania. Owszem, jego lordowska mość jest dużym mężczyzną, nie przeczę, dwieście dwadzieścia cztery funty żywej wagi, ale ma wielkie, potężne konie, a niemal je wykańcza, i kto wtedy musi siedzieć z nimi całą noc? Ja!

Teraz już łało. Lodowata strużka ściekała po moim lewym ramieniu, mój prawy but powoli napęśniał się wodą, ból w plecach przeszywał mnie niczym nóż. Czulałam, że nie zniosę tej udręki ani chwili dłużej, wiedziałam jednak, że muszę ją znieść przez następne pięć mil, przez kolejne czterdzieści minut. Josh spoglądał na mnie z pogardą, kiedy pochylałam się coraz bardziej, wiedziałam, że się zastanawia, jak to możliwe, że jestem dzieckiem mojej matki.

– Panienka Linda – powiedział – odziedziczyła coś wspaniałego po milady.

Wreszcie na koniec opuściliśmy drogę do Merlinford, zjechaliśmy doliną do wioski Alconleigh, podjechaliśmy wzgórzem pod dwór, minęliśmy bramę, przejechaliśmy podjazdem i dotarliśmy na podwórze przed stajnią. Zsiadłam sztywno, oddałam konia któremuś ze stajennych Josha i pokuśtykałam krokiem starego mężczyzny. Byłam już prawie przy frontowych drzwiach, kiedy sobie przypomniałam, z nagłym skurczem serca, że ciotka Emily musiała już przyjechać, z NIM. Trwało dobrą minutę, nim zebrałam się na odwagę, żeby otworzyć drzwi.

Istotnie, tyłem do kominka stali w hallu ciotka Sadie, ciotka Emily oraz drobny, jasnowłosy i z pozoru młody mężczyzna. Moim pierwszym wrażeniem było, że wcale nie wygląda na męża. Wydawał się uprzejmy i łagodny.

– Oto Fanny! – zawołały chórem ciotki.

– Kochanie – powiedziała ciotka Sadie – czy mogę ci przedstawić kapitana Warbecka?

Wymieniłam uścisk dłoni z szorstką niezgrabnością czternastoletniego podlotka i pomyślałam, że na kapitana też wcale nie wygląda.

– Och, kochanie, jakaś ty zmoknięta. Tamci chyba długo jeszcze nie wrócą, skąd przyjechałaś?

– Zostawiłam ich, zanim wjechali do zagajnika przy Starej Róży.

Raptem sobie przypomniałam, jako bądź co bądź kobieta znajdująca się w obecności mężczyzny, że okropnie zawsze wyglądam, kiedy wracam z polowania: spryskana błotem od stóp do głów, z przekrzywionym melonikiem, włosami jak stóg siana, halsztukiem powiewającym niczym flaga, i mruknąwszy coś pod nosem, pobiegłam w stronę tylnych schodów, do kąpieli i odpoczynku. Po polowaniu kazano nam leżeć w łóżku przynajmniej przez dwie godziny. Wkrótce wróciła Linda, jeszcze bardziej przemoczona ode mnie, i położyła się do łóżka ze mną. Też widziała kapitana i zgodziła się, że nie wygląda on ani na kandydata na męża, ani na wojskowego.

– Nie wyobrażam go sobie zabijającego Niemców szpadlem wojskowym – oświadczyła pogardliwie.

Niezależnie od tego, jak bardzo się bałyśmy, jak gwałtownie krytykowałyśmy, jak czasami wręcz nienawidziłyśmy wuja Matthew, pozostawał on dla nas swego rodzaju probierzem angielskiej męskości; wydawało się, że coś jest nie do końca w porządku z każdym mężczyzną, który za bardzo się od niego różni.

– Założę się, że wuj Matthew da mu nieźle w kość – powiedziałam, niepokojąc się ze względu na ciotkę Emily.

– Biedna ciocia Emily, może papa każe jej trzymać go w stajni – zachichotała Linda.

– Trzeba jednak przyznać, że wygląda dość sympatycznie, a biorąc pod uwagę jej wiek, uważam, że ma szczęście, że w ogóle kogoś znalazła.

– Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć z papą.

Nasze nadzieje na krew i grzmoty jednak się nie spełniły, ponieważ z miejsca stało się jasne, że kapitan Warbeck ogromnie przypadł do gustu wujowi Matthew. Ponieważ ten nigdy nie zmieniał swojej pierwszej opinii o ludziach, a jego nieliczni ulubieńcy mogli popełniać nie wiadomo jakie zbrodnie, nie tracąc nic w jego oczach, pozycja kapitana Warbecka, jeśli chodzi o wuja Matthew, była odtąd niezachwiana.

– Diabelnie bystry gość, wykształcony, rozumiecie, niewiarygodne, ile rzeczy potrafi. Pisze książki i recenzuje obrazy, diabelnie dobrze gra na fortepianie, chociaż te kawałki, które wygrywa, są marne. No, ale można sobie wyobrazić, co by było, gdyby się nauczył paru melodii na przykład z *Country Girl*. Dałby radę wszystkiemu, to jasne.

Przy obiedzie kapitan Warbeck, siedzący obok ciotki Sadie, i ciotka Emily,

siedząca obok wuja Matthew, byli rozdzieleni nie tylko przez naszą dziecięcą czwórkę (Bobowi wolno było jadać obiad na dole, jako że od następnego semestru miał iść do Eton), ale też przez kręgi ciemności. Jadalnię oświetlały trzy żarówki, które zwisały z sufitu szczipione razem i osłonięte czerwonym japońskim jedwabiem ze złotą frędzlą. Tak więc jeden jaskrawy snop światła padał na środek stołu, natomiast samych biesiadujących oraz ich talerze spowijał głęboki mrok. My wszyscy naturalnie mieliśmy oczy utkwione w niewyraźnej postaci narzeczonego, znajdując w jego zachowaniu wiele interesujących rzeczy. Najpierw zabawiał ciotkę Sadie rozmową o ogrodach, roślinach i kwitnących krzewach – temat nieznanym w Alconleigh. Ogrodnik zajmował się ogrodem, i tyle. Ogród znajdował się dobre pół mili od domu i nikt tam nie zaglądał, chyba że czasem na mały spacer w lecie. Wydawało się to dziwne, że ktoś mieszkający w Londynie zna nazwy, potrzeby i medyczne właściwości tylu roślin. Ciotka Sadie usiłowała grzecznie dotrzymać mu kroku, ale nie była w stanie całkiem ukryć swojej ignorancji, chociaż częściowo kamuflowała ją mgiełką roztargnienia.

– A jaką tu macie glebę? – spytał kapitan Warbeck.

Ciotka Sadie zstąpiła z chmur z radosnym uśmiechem i odparła tryumfalnie, bo to rzeczywiście wiedziała:

– Glina.

– Ach, tak – powiedział kapitan.

Wyjął inkrustowane szlachetnymi kamieniami pudełeczko, wziął z niego olbrzymią pigułkę, połknął ją, ku naszemu zdumieniu, bez jednego łyka wody i powiedział, niby do siebie, ale całkiem wyraźnie:

– Tutejsza woda musi więc być okropnie zapierająca.

Kiedy Logan, kamerdyner, podsunął mu półmisek z plackiem pasterskim (jedzenie w Alconleigh było zawsze smaczne i obfite, ale mało wyszukane, jak dla młodzieży szkolnej), kapitan Warbeck powiedział, znowu w ten sposób, że nie bardzo dało się wyczuć, czy chce zostać usłyszany, czy nie:

– Dziękuję, nie jadam mięsa dwukrotnie przyrządzonego. Jestem niestety słabego zdrowia, muszę uważać, inaczej będę cierpiał.

Ciotka Sadie, która tak nie lubiła słuchać o zdrowiu, że brano ją często za wyznawczynię chrześcijaństwa naukowego, kim istotnie mogłaby się stać, gdyby nie to, że jeszcze mniej lubiła słuchać o religii, nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, ale Bob zapytał z ciekawością, dlaczego mięso dwukrotnie przyrządzone szkodzi.

– O, stanowi potworne obciążenie dla soków żołądkowych, równie dobrze można jeść wyprawioną skórę – odpowiedział słabym głosem kapitan, zgarniając na swój talerz całą sałatkę. Dodał, znów tym wycofanym tonem: – Surowa sałata. Zapobiega skorbutowi. – Po czym, otworzywszy inne pudełko pastylek, jeszcze większych, wziął dwie, mruczając: – Biało. Świetny macie tu chleb – zwrócił się do



ciotki Sadie, jak gdyby chciał wynagrodzić jej to, że zachował się nieuprzejmie, odmawiając dwukrotnie przyrządzonego mięsa. – Jestem pewien, że ma zarodki.

– Co? – ciotka Sadie przerwała szeptaną naradę z Loganem („spytajcie panią Crabbe, czy mogłaby szybko dorobić sałatki”).

– Mówiłem, że jestem pewien, że wasz świetny chleb wypiekany jest z mąki mielonej na żarnach, zawierającej w znacznej proporcji zarodki. W mojej sypialni w domu mam obrazek ziarna pszenicy (naturalnie powiększonego), na którym widać zarodek. Jak pani wie, z białego pieczywa zarodki z ich cudownymi zdrowotnymi właściwościami są usuwane, powiedziałbym wyeliminowane, i dodawane do karmy dla kur. W rezultacie rasa ludzka słabnie, kury natomiast z każdym pokoleniem stają się większe i silniejsze.

– Tak, że na końcu – wtrąciła Linda, cała zamieniona w słuch, w przeciwieństwie do ciotki Sadie, która na powrót odseparowała się chmurą znudzenia – to kury staną się Honsami, a Honsowie kurami. O jakbym chciała mieszkać w słodkim kurniku dla Honsów!

– Nie lubiłabyś swojej pracy – zauważył Bob. – Widziałem kiedyś, jak kura znosiła jajko. Wyglądała nieciekawie.

– Mniej więcej tak, jak się wygląda w klo.

– Lindo! – zawołała ostro ciotka Sadie. – To zupełnie zbyteczne. Jedz kolację i nie mów tyle.

Mimo jej roztargnienia nie zawsze można było liczyć na to, że ciotka Sadie nie zauważy, co się koło niej dzieje.

– Co pan mi mówił, panie kapitanie, coś o zarazkach?

– Och, nie o zarazkach, o zarodkach...

W tym momencie zorientowałam się, że w cieniu na drugim końcu stołu wuj Matthew i ciotka Emily toczą kolejną ze swoich regularnych sprzeczek i że dotyczy ona mnie. Podczas każdej wizyty ciotki Emily w Alconleigh dochodziło do tych spięć, niemniej on najwyraźniej darzył ją sympatią. Zawsze lubił ludzi, którzy mu się przeciwstawiali, prawdopodobnie też dostrzegał w niej odbicie ciotki Sadie, którą uwielbiał. Ciotka Emily odznaczała się większym zdecydowaniem niż ciotka Sadie i silniejszym charakterem, natomiast nie była aż tak urodziwa, ale nie ulegało wątpliwości, że są nieodrodnymi siostrami. Moja matka różniła się od nich całkowicie pod każdym względem, ale ona, biedactwo, miała, jak ujęłaby to Linda, bzika na punkcie seksu.

Wuj Matthew i ciotka Emily prowadzili teraz spór, który wszyscy słyszeliśmy już po wielokroć. Mianowicie na temat edukacji kobiet.

Wuj Matthew:

– Mam nadzieję, że szkoła (słowo szkoła wypowiedziane tonem miażdżącej pogardy) daje biednej Fanny te wszystkie korzyści, o których mówisz. Trudno nie zauważyć, że przyswaja tam sobie różne okropne wyrażenia.

Ciotka Emily spokojnie, ale w defensywie:

– Bardzo możliwe. Przyswaja tam sobie także sporo wiedzy.

– Wiedza! Zawsze sądziłem, że żadna wykształcona osoba nie mówi nigdy o bloku listowym, a jednak słyszę, jak biedna Fanny prosi Sadie o blok listowy. Co to za edukacja? Fanny mówi o blokach listowych, lunchach i weekendach, słodzi kawę, ma parasolkę z chwostem i nie wątpię, że jeśli uda jej się złapać męża, będzie nazywała jego rodziców „tatusiem” i „mamusią”. Czy to wspaniałe wykształcenie, które ona otrzymuje, wynagrodzi nieszczęśnikowi wszystkie te niekończące się potknięcia? Pomyślcie, jakie to irytujące: żona, która mówi o bloku listowym!

Ciotka Emily:

– Wielu mężczyzn uważałoby za bardziej irytujące posiadanie żony, która nigdy nie słyszała o Jerzym III. (Niezależnie od tego, Fanny, mówi się „papier listowy”, bardzo proszę, żebyśmy więcej nie słyszeli o „bloku”). Tu akurat jesteśmy zgodni, Matthew, wpływ domu należy uznać za niesłuchanie ważną część wykształcenia.

Wuj Matthew:

– Otóż to...

Ciotka Emily:

– Niesłuchanie ważną, ale w żadnym wypadku nie najważniejszą.

– Nie trzeba uczęszczać do takiej czy innej okropnej mieszczańskiej szkoły, żeby wiedzieć, kim był Jerzy III. Tak czy inaczej, kim on był, Fanny?

Niestety, nigdy nie udawało mi się zablęsnąć przy takich okazjach. Przerazenie, które budził we mnie wuj Matthew, sprawiało, że kompletnie traciłam głowę. Czerwona jak burak wyjąkałam:

– Był królem. Zwariował.

– Bardzo oryginalne, kopalnia wiadomości – sarkastycznie skomentował wuj Matthew. – Warto rzeczywiście zatracić wszelki kobiecy wdzięk, żeby to odkryć, nie ma co. Nogi jak słupy przez tę grę w hokeja, nigdy też nie widziałem kobiety, która by gorzej trzymała się w siodle. Wystarczy, że spojrzy na konia, a on już ma odleżyny na grzbiecie. Lindo, ty nie jesteś wykształcona, Bogu dzięki, co ty masz do powiedzenia o Jerzym III?

– A! – zaczęła Linda z pełnymi ustami – był synem biednego Freda i ojcem grubego przyjaciela Beau Brummella oraz jednym z tych nieumiejących się zdecydować. „Ja jestem psem jego Królewskiej Wysokości, a pan jest czym, że zapytam waszmości?” – dodała ni w pięć, ni w dziewięć. – Jakie to słodkie!

Wuj Matthew rzucił ciotce Emily spojrzenie okrutnego tryumfu. Zobaczyłam, że zawiodłam naszą stronę i zaczęłam płakać, co skłoniło wuja Matthew do jeszcze większej złośliwości.

– Całe szczęście, że Fanny będzie miała własnych piętnaście tysięcy funtów

rocznie – powiedział – nie mówiąc już o zapisach, jakie Narowista ewentualnie zdoła uzyskać w ciągu swojej kariery. Zdobędzie męża, nie ma obawy, nawet mimo że mówi o bloku listowym i weekendzie i najpierw nalewa do filiżanki mleko. O to jestem spokojny, mówię tylko, że wpędzi biedaka w alkoholizm, kiedy już go przyskrzyni.

Ciotka Emily rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Zawsze starała się ukryć przede mną fakt, że jestem dziedziczką, i prawdę mówiąc, byłabym nią tylko do czasu, póki mój ojciec, będący w świetnej formie i w kwiecie wieku, nie poślubiłby kogoś w kondycji odpowiedniej do rodzenia dzieci. Tak się złożyło, że podobnie jak w rodzinie hanowerskiej, ojcu podobały się jedynie kobiety po czterdziestce; po tym, gdy moja matka go zostawiła, rozpoczął się korowód żon w średnim wieku, którym nawet cuda współczesnej nauki nie zdołałyby zapewnić płodności. Dorośli żyli również w przekonaniu, niesłusznym, że my, dzieci, nie orientujemy się, iż moja mama zwana jest Narowistą.

– To wszystko – oświadczyła ciotka Emily – nie ma nic do rzeczy. Fanny może w dalekiej przyszłości mieć trochę pieniędzy (choć to śmieszne mówić o piętnastu tysiącach funtów). Będzie czy nie będzie miała, mężczyzna, którego poślubi, powinien zapewnić jej utrzymanie. Z drugiej strony, ponieważ w dzisiejszym świecie różnie bywa, może będzie musiała sama zarobić na siebie. W każdym razie będzie dojralszą, szczęśliwszą, bardziej otwartą i interesującą osobą, jeśli...

– Jeśli będzie wiedziała, że Jerzy III był królem i zwariował.

A jednak ciotka miała rację, ja to wiedziałam i ona to wiedziała. Dzieci Radlettów pochłaniały zrywami książki z biblioteki w Alconleigh, dobrej, reprezentatywnej dziewiętnastowiecznej biblioteki założonej przez ich pradziadka, człowieka bardzo kulturalnego. Ale, choć przyswoiły sobie wiele najrozmaitszych informacji, nadając im polor własnej oryginalności, choć ignorancję nadrabiały wdziękiem i temperamentem, nigdy nie nauczyły się koncentracji, nie były zdolne do ciężkiej, solidnej pracy. Zaowocowało to w późniejszym życiu tym, że nie potrafiły znieść nudy. Niestraszne im były burze i trudności, ale zwykła egzystencja dzień po dniu stanowiła nieznośną torturę znużenia, bo zupełnie brakowało im jakiegokolwiek formy dyscypliny umysłowej.

Wychodząc po obiedzie z jadalni, usłyszeliśmy, jak kapitan Warbeck mówi:

– Porto nie, dziękuję. Taki rozkoszny trunek, ale muszę odmówić. To przez ten kwas z porto człowiek jest teraz taki delikatny.

– A to pewnie sporo pan porto wypił, co? – powiedział wuj Matthew.

– Ach, to nie ja, nigdy nie tknąłem. Moi przodkowie...

Później, kiedy dołączyli do nas w salonie, ciotka Sadie powiedziała:

– Dzieci już wiedzą.

– Przypuszczam, że uważają to za niezły kawał – podsumował Davey

Warbeck. – Tacy starszycy jak my się pobierają.

– Ależ nie, skądże – grzecznie zaprotestowaliśmy, rumieniąc się.

– To niezwykle facet – wtrącił wuj Matthew – on wie wszystko. Mówi, że te cukierki Karola II to tylko georgiańska imitacja, wyobraźcie sobie, zupełnie bezwartościowe. Jutro obejdziemy dom, pokażę panu wszystkie nasze skarby, a pan mi powie, co jest co. Całkiem wygodnie mieć w rodzinie takiego faceta jak pan, muszę przyznać.

– To będzie bardzo miłe – cichym głosem odparł Davey. – Teraz natomiast, jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, pójdę się położyć. Tak, poproszę o poranną herbatę. To konieczne, żeby uzupełnić nocne odwodnienie organizmu.

Wymienił uścisk dłoni z nami wszystkimi i wybiegł z pokoju, mówiąc do siebie:

– Konkury są takie męczące.

– Davey Warbeck jest Honsem – zawyrokował Bob, kiedy schodziliśmy następnego dnia na śniadanie.

– Tak, wygląda na fantastycznego Honsa – odpowiedziała sennym głosem Linda.

– Nie, chodzi mi o to, że naprawdę jest Honsem. Patrzcie, tu jest do niego list: *The Hon. David Warbeck*. Sprawdziłem go i to prawda.

W tym czasie ulubioną lekturą Boba był herbarz Debretta, cały czas tkwił z nosem w tej książce. Słyszano kiedyś, jak w rezultacie swoich poszukiwań poinformował Lucille, że „*les origines de la famille Radlett sont perdues dans les brumes de l'antiquité*”<sup>7</sup>.

– On jest drugim synem, a tytuł dziedziczy najstarszy, obawiam się więc, że ciocia Emily nie będzie lady. A jego ojciec jest dopiero drugim baronem, mianowanym w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku, a zaczęli dopiero w tysiąc siedemset dwudziestym, przedtem była to linia żeńska. – Głos Boba cichł. – Zawsze jednak...

Usłyszeliśmy, jak Davey Warbeck mówi do wuja Matthew:

– Och nie, to nie może być Reynolds. Przy odrobinie szczęścia Prince Hoare w najgorszym wydaniu.

– Świńskie szare komórki, Davey? – Wuj Matthew uniósł pokrywę nad gorącego półmiska.

– Tak, proszę cię, Matthew, jeśli masz na myśli mózdzek. Niezwykle lekkostrawny.

– A po śniadaniu pokażę ci naszą kolekcję minerałów w północnej galerii. Założę się, że przyznasz, iż posiadamy tu nie byle co, nasza kolekcja uchodzi za najcenniejszą w Anglii. Zostawił mi ją w spadku stary wuj, który tworzył ją całe życie. A na razie, co sądzisz o moim orle?

– Cóż, gdyby to był wyrób chiński, posiadałbyś prawdziwy skarb. Ale japoński, boję się, że nie jest wart brązu, z którego został odlany. Oksfordzka marmolada, poproszę, Lindo.

Po śniadaniu zgromadziliśmy się w północnej galerii, gdzie w oszklonych szafkach leżały setki kamieni. Spetryfikowane okazy, wśród których najbardziej interesujące były malachit i lapis lazuli, a najmniej duże krzemienie wyglądające jak zebrane z pobocza drogi. Te cenne, unikatowe kamienie stanowiły rodzinną legendę. „Minerały z północnego korytarza mogłyby doskonale znaleźć się w muzeum”. Otaczaliśmy je czią. Davey obejrzał je starannie, biorąc kilka do okna, by je zobaczyć pod światło. Wreszcie westchnął głęboko i powiedział:

– Jaka piękna kolekcja. Na pewno wiecie, że wszystkie okazy są zarażone?

– Zarażone?

– I to bardzo, za bardzo, żeby można je było wyleczyć. Za rok czy dwa będą martwe. Możesz je wszystkie spokojnie wyrzucić.

Wuj Matthew był zachwycony.

– Niech go szlag, co za facet – oświadczył. – Nic według niego nie jest dobre. Nigdy nie spotkałem podobnego faceta. Nawet minerały mają według niego chorobę pyska i racic.

W roku, który nastąpił po ślubie ciotki Emily, przemieniłyśmy się z Lindą z dziewczynek, dzieciennych na swój wiek, w podlotki siedzące beczynnym w domu i czekające na miłość. Jedną z konsekwencji tego małżeństwa było to, że teraz każde niemal wakacje spędzałam w Alconleigh. Davey, jak wszyscy ulubieńcy wuja Matthew, po prostu nie był w stanie uważać go za w najmniejszym stopniu przerażającego i odrzucał teorię ciotki Emily, że przebywanie z nim jest szkodliwe dla mojego systemu nerwowego.

– Jesteście gromadą mazgajów – oświadczył pogardliwie – jeśli dajecie się wystraszyć temu papierowemu smokowi.

Davey zrezygnował ze swojego mieszkania w Londynie i przeprowadził się do nas do Shenley, co w czasie szkoły nie robiło specjalnej różnicy w naszym trybie życia, poza tym że męska obecność w kobiecym domu jest zawsze zbawienna (zasłony, narzuty i garderoba ciotki Emily przeszły niewyobrażalną zmianę na lepsze), ale podczas wakacji lubił porwać małżonkę do swoich krewnych albo na zagraniczną wycieczkę, a ja lądowałam w Alconleigh. Ciotka Emily prawdopodobnie czuła, że jeśli ma wybierać między życzeniami męża a moim systemem nerwowym, to te pierwsze liczą się przede wszystkim. Pomimo jej czterdziestki byli chyba bardzo zakochani; to, że w ogóle mieszkałam z nimi, musiało być dla nich dość uciążliwe i dużo to mówi o ich charakterze, że nigdy ani na moment nie dali mi tego odczuć. Davey istotnie był i jest dla mnie idealnym ojczymem, kochającym, rozumiejącym, nigdy niewtrącającym się w żaden sposób. Od razu mnie zaakceptował jako przynależącą do ciotki Emily i nigdy nie zakwestionował mojej nieuchronnej obecności w jego domu.

Przed świątecznymi feriami Louisa już oficjalnie została „wprowadzona w świat” i uczęszczała na bale myśliwskie, co było dla nas źródłem dzikiej zazdrości, choć Linda stwierdziła lekceważąco, że nie wygląda na to, by pozyskała zbyt wielu adoratorów. My miałyśmy zostać wprowadzone w świat dopiero za dwa lata, co wydawało się wiecznością, szczególnie Lindzie, którą obezwładniała tęsknota za miłością i która nie miała żadnych lekcji ani nic do roboty, żeby zająć umysł czymś innym. Prawdę mówiąc, nic jej teraz nie interesowało poza polowaniem, nawet zwierzęta najwyraźniej straciły dla niej cały urok. W dniach, kiedy nie było polowania, nie robiłyśmy nic, tylko siedziałyśmy, obie w przyciasnych tweedowych kostiumach, w których haftki w pasie zawsze odpadały, i w nieskończoność stawiałyśmy pasjansa; albo siadywałyśmy skulone w kryjówce Honsów i się „mierzyłyśmy”. Miałyśmy całówkę i rywalizowałyśmy w zakresie wielkości oczu, wąskości nadgarstków, kostek, talii i szyi, długości nóg i palców, itd. Linda zawsze wygrywała. Po skończonym „mierzeniu”

rozmawialiśmy o romansach. Były to pogawędki najbardziej niewinne, bo dla nas w owym czasie miłość i małżeństwo znaczyły to samo, wiedziałyśmy, że trwają wiecznie, do grobowej deski i długo, długo potem. Skończyło się nasze zainteresowanie grzechem; Bob po przyjeździe z Eton opowiedział nam wszystko o Oscarze Wildzie i teraz, kiedy jego zbrodnia przestała być tajemnicą, uważałyśmy ją za nudną, nieromantyczną i niezrozumiałą.

Obie naturalnie byłyśmy zakochane, ale w osobach, których nie poznałyśmy; Linda w księciu Walii, a ja w grubym farmerze w średnim wieku, o czerwonej twarzy, którego czasami widywałam, kiedy przejeżdżał konno przez Shenley. Były to silne miłości i boleśnie rozkoszne, zajmowały wszystkie nasze myśli, ale chyba zdawałyśmy sobie mglście sprawę, że w odpowiednim czasie zostaną wyparte przez rzeczywiste osoby. Miały, że tak powiem, utrzymywać ciepło w domu dla właściwego mieszkańca. Nigdy nie dopuszczaliśmy myśli o możliwości posiadania kochanków po ślubie. Wyglądałyśmy prawdziwej miłości, a ta mogła się zdarzyć tylko raz w życiu; dążyła do usankcjonowania, a wobec tego nie znała wahań. Wiedziałyśmy, że mężowie nie zawsze są wierni, na to musimy być przygotowane, musimy zrozumieć i wybaczyć. „Byłem ci wierny, Cynaro, na swój własny sposób”<sup>8</sup> wydawało się pięknie to tłumaczyć. Ale kobiety – to zupełnie co innego; jedynie najpodlejsze przedstawicielki niewieściej płci mogły kochać lub oddawać się więcej niż raz. Nie bardzo wiem, jak godziłam owe przekonania z przemożnym uwielbieniem, którym wciąż darzyłam moją matkę, tę cudzołożną lalkę. Przypuszczam, że umieściłam ją w zupełnie innej kategorii, w tej klasie, co twarz, która wysłała w morze tysiąc okrętów<sup>9</sup>. Parę postaci historycznych trzeba do owej kategorii zaliczyć, ale my z Lindą byłyśmy perfekcjonistkami w dziedzinie miłości i nie aspirowałyśmy do tego rodzaju sławy.

Tej zimy wuj Matthew puszczał nową melodię na swoim gramofonie: pieśń pod tytułem *Thora*. „Mieszkam w krainie róż – grzmiał głęboki męski głos – ale marzę o krainie śniegów. Mów, mów, MÓW do mnie, Thoro”. Wuj grał to rano, w południe i wieczorem; utwór ten bardzo pasował do naszego nastroju, a Thorę uznaliśmy za wzruszająco piękne imię.

Wkrótce po świętach ciotka Sadie wydawała bal dla Louisy, w którym pokładłyśmy ogromne nadzieje. Prawda, ani księżę Walii, ani mój partner nie zostali zaproszeni, ale, jak powiedziała Linda, na wsi wszystko może się zdarzyć. Ktoś może ich przyprowadzić. Auto księcia mogło się zepsuć, powiedzmy, w drodze do Badminton; cóż byłoby naturalniejszego, niż gdyby zajrzał do nas i spędził czas na wesołej zabawie?

- Proszę mi łaskawie powiedzieć, kim jest ta piękna młoda dama?
- Moja córka Louisa, Wasza Wysokość.
- Ach tak, absolutnie czarująca, ale ja mam na myśli tę w białej tafcie.
- To moja młodsza córka Linda, Wasza Królewska Wysokość.

– Proszę mi ją przedstawić.

Po czym zawirowali w walcu tak doskonałym, że inni tancerze stanęli z boku, by ich podziwiać. Kiedy nie byli w stanie dłużej tańczyć, usiedli razem i spędzili resztę wieczoru pograżeni w dowcipnej rozmowie.

Następnego dnia przybywa adiutant z prośbą o jej rękę...

– Ale ona jest tak młoda!

– Jego Królewska Wysokość gotów jest rok zaczekać. Przypomina pani, że Jej Królewska Mość cesarzowa Austrii Elżbieta wyszła za mąż, mając lat szesnaście. Tymczasem przesyła ten klejnot.

Złota szkatułka, różowo-biała poduszcзка, brylantowa róża.

Miałam mniej wzniosłe marzenia, równie nieprawdopodobne i tak samo dla mnie realne. Wyobrażałam sobie, że mój farmer jak młody Lochinvar<sup>10</sup> uwozi mnie z Alconleigh usadowioną z tyłu za nim na grzbiecie konia do najbliższego kowala, który następnie ogłasza nas mężem i żoną. Linda uprzejmie oświadczyła, że będziemy mogli otrzymać jedną z królewskich farm, ale ja uważałam, że byłoby to bardzo nudne i o wiele fajniej będzie mieć własną.

Tymczasem trwały przygotowania do balu, w które zaangażowani byli wszyscy domownicy. Suknie dla Lindy i dla mnie z białej tafty, z pelerynkami i paskami z koralików, szyła pani Josh; odwiedzałyśmy jej domek praktycznie o każdej porze dnia i nocy, żeby zobaczyć, jak postępują prace. Suknia Louisy pochodziła z pracowni Reville'a, była ze srebrnej lamy, z drobnymi falbankami, każda wykończona niebieskim tiulem. Z lewego ramienia zwieszała się, dziwnie niepasująca do sukni, wielka różowa jedwabna róża, mocno rozwinięta. Ciotka Sadie, wytracona ze swojej zwykłej ospałości, krzątała się gorączkowo, spanikowana całym przedsięwzięciem – nigdy nie widziałyśmy jej w takim stanie. Po raz pierwszy także, za pamięci kogokolwiek z nas, znalazła się w opozycji do wuja Matthew. Poszło o następującą kwestię: najbliższym sąsiadem Alconleigh był lord Merlin, jego majątek graniczył z majątkiem wuja, a jego dom w Merlinford znajdował się w odległości jakichś pięciu mil. Wuj Matthew go nie znosił, natomiast lord Merlin nie bez powodu zarejestrował swój adres telegraficzny jako SĄSIAD-PSIKUS. Nie prowadzili jednak otwartej wojny, to, że się nie widywali, nie miało znaczenia, ponieważ lord Merlin nie polował, nie strzelał ani nie łowił ryb, natomiast nie słyszano, żeby wuj Matthew w życiu zjadł posiłek w cudzym domu. „Wystarczająco dobre jedzenie mam u siebie” – mawiał i ludzie od dawna przestali go zapraszać. Tych dwu mężczyzn, a zarazem oba ich domy i majątki dzieliło wszystko. Dwór w Alconleigh był wielkim, brzydkim, skierowanym na północ, georgiańskim domem zbudowanym w jednym tylko jedynym celu, mianowicie by, kiedy pogoda nie pozwalała przebywać na dworze, dawać schronienie kolejnym bukolicznym dziedzicom, ich żonom, ich licznym rodzinom, ich psom, koniom, wdowie po ich ojcu i ich niezamężnym siostrom. Żadnej próby



przyozdobienia, zmiękczenia linii, udekorowania fasady, wszystko ponure i gołe jak baraki w białe w zbocze wysokiego wzgórza. W środku nutą przewodnią, tematem wiodącym, była śmierć. Nie śmierć dziewczyc, nie śmierć w romantycznym otoczeniu urn i płaczących wierzb, cyprysów i pożegnalnych ód, ale śmierć wojowników i zwierząt, naga, rzeczywista. Na ścianach halabardy i piki, i archaiczne muszkiety układały się w prymitywne wzory z łbami zwierząt ubitych w wielu krajach, ze sztandarami i mundurami dawnych Radlettów. Szkatułki o szklanych pokrywach zawierały nie miniatury dam, ale miniatury medali ich małżonków, odznaki, obsadki z zębów tygrysa, podkowę ulubionego konia, depeze obwieszczające imiona poległych w bitwie oraz patenty oficerskie wypisane na pergaminowych zwojach – wszystko pomieszczone razem w beczkowym koflerze.

Merlinford stał w dolinie otwierającej się na południowy zachód, pośród sadów i pokrytych patyną czasu farm. Była to willa zbudowana mniej więcej w tym samym okresie co Alconleigh, ale przez zupełnie innego architekta i w zupełnie innym celu. W tym domu miało się mieszkać, a nie stale wybiegać z niego, żeby zabijać wrogów i zwierzęta. Był to dom odpowiedni dla kawalera albo małżeństwa z jednym lub najwyżej dwójkiem pięknych, mądrych, delikatnych dzieci. Miał sufity Angeliki Kauffman, klatkę schodową Chippendale'a, meble Sheratona i Hepplewhite'a; w hallu wisiały dwa obrazy Watteau; ani śladu wojskowego szpadla czy łba żadnego zwierzęcia.

Lord Merlin stopniowo wzbogacał jeszcze piękno domu. Jako zapalony kolekcjoner wypełniał skarbami nie tylko Merlinford, ale także swoje domy w Londynie i Rzymie. Nawet znany antykwariusz z St James's uznał, że warto otworzyć filię w małym miasteczku Merlinford, by kusić wybranymi przedmiotami jego lordowską mość odbywającego poranne spacerki, a wkrótce za przykładem antykwariusza poszedł jubiler z Bond Street. Lord Merlin uwielbiał klejnoty; jego dwa czarne charty angielskie nosiły diamentowe naszyjniki zaprojektowane na bielsze, ale nie smuklejsze ani bardziej wdzięczne szyje. Akurat ten psikus ciągnął się w nieskończoność; lokalne ziemiaństwo podejrzewało, że lord wodził w ten sposób zacnych mieszczan z Merlinford na pokuszenie. Podwójnie ich drażnił fakt, że mijał rok za rokiem, a brylanty na tych włochatych szyjach nadal lśniły nietknięte.

Jego smak bynajmniej nie ograniczał się do antyków; sam był malarzem i muzykiem, i mecenasem młodych. Z Merlinford nieustannie płynęła współczesna muzyka, a w ogrodzie lord wybudował nieduży, ale pyszny teatrzyk, do którego zapraszał czasami zdumionych sąsiadów na takie łamigłówki, jak sztuki Cocteau, opera *Rozkwit i upadek miasta Mahagonny* czy najświeższe dadaistyczne ekstrawagancje z Paryża. Jako że lord Merlin był żartownisiem, trudno było niekiedy się zorientować, gdzie kończą się żarty, a zaczyna kultura. Myślę, że on

sam nie zawsze to dokładnie wiedział.

Marmurowy fijoł<sup>11</sup> na pobliskim wzgórzu zwieńczony był złotym aniołem, który trąbił co wieczór o godzinie narodzin lorda Merlina (okoliczni mieszkańcy bardzo ubolewali w następnych latach, że narodziny te przypadły na godzinę 21.20, zbyt późno, żeby przypomnieć o wiadomościach BBC). Budowla owa skrzyła się w dzień od półszlachetnych kamieni; w nocy oświetlał ją potężny błękitny promień.

Taki człowiek musiał stać się czymś w rodzaju legendy dla otaczających go burkliwych szlagonów z Cotswold. Mimo że trudno im było zaakceptować styl życia, który wykluczał zabijanie, choć w żadnym wypadku nie jedzenie wybornej zwierzyny, i mimo że nader zdumiewał ich estetyzm i żarty lorda, akceptowali go bez słowa jako swojego. Ich rodziny zawsze znały jego rodzinę, a jego ojciec przed wielu laty cieszył się wielką popularnością jako tutejszy łowczy; to nie był jakiś parweniusz, jakiś nuworysz, po prostu dziwak, kontestator wszystkiego, co normalne w angielskim wiejskim życiu. Istotnie nawet sam fijoł, uważany skądinąd za okropieństwo, doceniali jako punkt orientacyjny ci, którzy zagubili się w drodze powrotnej z polowania.

Spór między ciotką Sadie i wujem Matthew nie dotyczył tego, czy zaprosić czy nie zaprosić lorda Merlina na bal (w tej kwestii nie było wątpliwości, gdyż wszyscy sąsiedzi byli zaproszeni automatycznie), ale tego, czy powinno się go zaprosić wraz z jego gośćmi z Merlford czy nie. Ciotka Sadie uważała, że się powinno. Będąc od czasów swojego małżeństwa najmniej światową z kobiet, poznała jednak świat za młodu i wiedziała, że obecność gości lorda Merlina, jeśli zgodziłby się ich przyprowadzić, bardzo by ozdobiła przyjęcie. Wiedziała też, że poza tym jej bal zapowiadał się jako całkowicie i beznadziejnie pozbawiony szyku, a także uświadomiła sobie, że chętnie zobaczy znowu młode kobiety z porządnie uczesanymi włosami, londyńską cerą i w paryskich sukniach. Wuj Matthew oponował:

– Jeśli poprosimy tego drania Merlina, żeby przyprowadził swoich przyjaciół, będziemy tu mieli gromadę estetów, chłystków z Oksfordu, a nawet nie zdziwiłbym się, gdyby przyprowadził cudzoziemców. Słyszę, że czasem zaprasza do siebie żabojadów, a nawet czarnuchów. Nie życzę sobie czarnuchów w moim domu.

W końcu jednak, jak zwykle, ciotka Sadie postawiła na swoim i zasiadła, żeby napisać: „Wasza Lordowska Mość! Urządzamy wieczorek taneczny dla Louisy itd...”.

A wuj Matthew, powiedziawszy swoje, oddalił się z ponurą miną i nastawił *Thorę*.

Lord Merlin zaproszenie przyjął i oznajmił, że przyprowadzi grupę dwunastu gości, których nazwiska wkrótce poda ciotce Sadie. Zachowanie bardzo na miejscu,

absolutnie normalne. Ciotka Sadie była przyjemnie zdziwiona, że z listu po otwarciu nie wyskoczyło nic na sprężynie, żeby palnąć ją w oko. Na papierze listowym znajdował się obraz domu lorda, co ciotka ukryła przed wujem Matthew, który tego rodzaju rzeczy nie znosił.

Minęło parę dni i oto następna niespodzianka. Lord Merlin napisał kolejny list, znowu żadnych żartów, znowu grzeczny, w którym zaprosił wuja Matthew, ciotkę Sadie oraz Louise na kolację wydaną z okazji balu dobroczynnego na rzecz Wiejskiego Szpitala w Merlinford. Wuja Matthew naturalnie nie udało się namówić, ale ciotka Sadie i Louisa poszły. Wróciły z wybałuszonymi oczami. Opowiadały, że w domu lorda jest straszliwie gorąco, tak gorąco, że nie marznie się ani przez chwilę, nawet po zdjęciu płaszcza w hallu. Przyjechały bardzo wcześnie, na długo przed tym, zanim ktokolwiek zszedł na dół, jako że w Alconleigh było w zwyczaju wyruszać kwadrans wcześniej, jeśli jechało się autem, na wypadek, gdyby miało się złapać gumę. Dzięki temu mogły się rozejrzeć. Dom wypełniały wiosenne kwiaty i cudowny zapach. Szklarnie w Alconleigh też były pełne kwiatów, ale jakoś nigdy nie trafiały one do domu, a gdyby trafiły, umarłyby z zimna. Charty istotnie nosiły diamentowe kolie, o wiele wspanialsze, oświadczyła ciotka Sadie, niż jej własne; musiała też przyznać, że wyglądały w nich bardzo pięknie. Rajskie ptaki, całkowicie oswojone, fruwały po domu, a jeden z młodych ludzi powiedział Louisie, że gdyby przyszła za dnia, zobaczyłaby stado wielobarwnych gołębi wirujących na niebie jak konfetti.

– Merlin farbuje je co roku i suszy w suszarni na bieliznę.

– Ale czy to nie jest przerażająco okrutne? – spytała wstrząśnięta Louisa.

– Och nie, one to uwielbiają. Ich mężowie i żony są takie piękne po wypuszczeniu.

– A co z ich biednymi oczami?

– O, szybko się uczą je zamykać.

Kiedy goście przebywający w domu lorda Merlina wynurzyli się wreszcie ze swoich sypialni (niektórzy szokująco późno) pachnieli nawet jeszcze rozkoszniej niż kwiaty i wyglądali nawet bardziej egzotycznie niż rajskie ptaki. Wszyscy byli nadzwyczaj uprzejmi dla Louisy. Przy obiedzie siedziała między dwoma pięknymi młodzieńcami, wobec których zastosowała rutynowy otwierający gambit:

– Gdzie polujecie?

– Nie polujemy – odpowiedzieli.

– To dlaczego macie czerwone fraczki?

– Bo uważamy, że są bardzo ładne.

Wszyscy uznaliśmy to za okropnie śmieszne, ale zgodziliśmy się, że wuj Matthew nie może się o tym dowiedzieć, bo gotów byłby, nawet teraz, zabronić towarzystwu z Merlinford przyjść na swój bal.

Po kolacji dziewczęta zabrały Louise na górę. Początkowo trochę zaskoczył

ją widok drukowanych zaleceń w pokojach gościnnych:

ZE WZGLĘDU NA NIEZIDENTYFIKOWANE

ZWŁOKI W CYSTERNIE UPRASZA SIĘ

GOŚCI O NIEPICIE WODY Z WANNY

GOŚCI UPRASZA SIĘ O NIESTRZELANIE

Z BRONI PALNEJ, NIEDEĆCIE W TRĄBKI,

NIEWRZESZCZENIE ANI POHUKIWANIE

W GODZINACH OD PÓLNOCY

DO SZÓSTEJ RANO

oraz na drzwiach jednej z sypialni:

MAGIEL

Ale wkrótce jej wyjaśniono, że to żarty.

Dziewczęta zaproponowały, że pożyczą jej puder i szminkę, ale nie ośmieliła się przyjąć tej oferty z obawy, że ciotka Sadie zauważy. Dziewczętom powiedziała, że umalowane wyglądają wprost przepięknie.

W miarę jak zbliżał się wielki dzień balu w Alconleigh, stawało się jasne, że coś dręczy ciotkę Sadie. Wydawało się, że wszystko idzie gładko, dostarczono szampana, zamówiono orkiestrę, trzecie skrzypce Clifforda Essexa, która miała wycząć parę godzin w domku pani Craven. Pani Crabbe, we współpracy z folwarkiem, Cravenem i trzema kobietami z wioski do pomocy, planowała kolację kończącą wszystkie kolacje. Wuj Matthew dał się namówić na zakup dwudziestu grzejników olejnych, by dzięki nim dorównać błogiemu ciepłu Merlinford, a ogrodnik gotów był przenieść do dworu każdą doniczkową roślinę, która tylko wpadła mu w ręce. „Niedługo będziecie farbować białe leghorny” – skomentował pogardliwie wuj Matthew.

Ale mimo że przygotowania zdawały się postępować bez najmniejszych przeszkód, zmarszczki zatroskania nie znikwały z czoła ciotki Sadie, ponieważ zebrała gromadę dziewcząt i ich mam, ale ani jednego młodzieńca. Rzecz w tym, że wśród jej własnych rówieśnic te, które miały córki, skwapliwie skorzystały z zaproszenia, ale z synami sprawa miała się zgoła inaczej. Partnerzy do tańca, zarzucani o tej porze roku zaproszeniami, nie mieli ochoty jechać taki kawał do Gloucestershire, do domu jeszcze niewypróbowanego, gdzie bynajmniej nie mogli być pewni, że zastaną ciepło, luksus i wyborne wina, co przywykli uważać za im należne, gdzie nie słychać było o żadnej znanej piękności, która mogłaby ich skusić, gdzie nie ofiarowywano im dobrego konia pod siodło, nie mówiono nic o polowaniu, nawet o wyprawie na dzikie ptactwo.

Wuj Matthew zbyt szanował swoje konie i swoje bażanty, by narażać je na kontakt z byle pierwszym lepszym żółtodziobem.

Sytuacja przedstawiała się więc okropnie. Dziesięć bab: cztery mamuśki i sześć panna, podążało z różnych zakątków Anglii do domostwa z kolejnymi czterema babami (nie żebyśmy Linda i ja się liczyły, niemniej nosiłyśmy spódnice, nie spodnie, i naprawdę byłyśmy za duże, by trzymać nas przez cały czas w pokoju szkolnym) i tylko dwoma osobnikami płci męskiej, z których jeden nie nosił jeszcze fraka.

Rozgrzała się linia telefoniczna, telegramy płynęły we wszystkich kierunkach. Ciotka Sadie wyzbyła się całej dumy, porzuciła wszelkie udawanie, że wszystko jest w porządku, że goście są zapraszani wyłącznie dla własnych zalet, i rozpoczęła serię rozpaczliwych apeli. Pan Wills, pastor, zgodził się zostawić panią Wills w domu i wziąć udział w kolacji *en garçon* w Alconleigh. Pierwszy raz od czterdziestu lat przyszło im się rozstać. Pani Aster, małżonka rządcy, dokonała podobnej ofiary, a panicz Aster, syn rządcy, niespełna siedemnastoletni, został pospiesznie wysłany do Oksfordu po gotowy strój wieczorowy.

Daveyowi Warbeckowi kazano opuścić ciotkę Emily i przyjechać. Zgodził się, acz niechętnie i tylko po tym, gdy przedstawiono mu kryzys w całej rozciągłości. Podstarzali kuzyni i wujowie, od wielu lat zapomniani jako duchy, zostali wezwani z niebytu i nakłaniani do zmaterializowania się. Prawie wszyscy odmówili, niektórzy wręcz niegrzecznie – każdy z nich w przeszłości doznał tak głębokiej i gorzkiej obrazy ze strony wuja Matthew, że nie mogło być mowy o przebaczeniu.

W końcu wuj Matthew doszedł do wniosku, że należy wziąć sprawy we własne ręce. Guzik go obchodził bal, nie poczuwał się do obowiązku zabawiania swoich gości, których traktował niczym hordę nacierających barbarzyńców niedających się powstrzymać, nie zaś jak grupę uroczych przyjaciół zaproszonych do wspólnej zabawy i wesołej hulanki. Ale zależało mu na spokoju ciotki Sadie, nie mógł znieść, że ona się zamartwia, więc zdecydował się wkroczyć. Pojechał do

Londynu i wziął udział w ostatnim posiedzeniu Izby Lordów przed wakacjami. Podróż okazała się niesłychanie owocna.

– Stromboli, Paddington, Fort William i Curtley przyjęli zaproszenie – oznajmił ciotce Sadie z miną magika wyciągającego cztery imponujące tłuste króliki z jednego małego kapelusza. – Ale obiecałem im polowanie. Bob, powiedz Cravenowi, że chcę go widzieć rano.

Dzięki tym skomplikowanym zabiegom uzyskano przy stole parzystą liczbę gości i ciotka Sadie odetchnęła z ulgą, chociaż z trudem powstrzymywała się od śmiechu, słysząc o królikach wuja Matthew. Lord Stromboli, lord Fort William i diuk Paddington byli niegdyś jej tancerzami, sir Archibald Curtley, dyrektor Biblioteki Parlamentu, dobrze znany w eleganckim intelektualnym środowisku pieczeniarsz, liczył sobie lat ponad siedemdziesiąt i cierpiał na artretyzm. Tańce po kolacji stanowiły oczywiście następny problem. Do pana Willsa dołączy wtedy pani Wills, do kapitana Astera pani Aster, na wuja Matthew i Boba doprawdy trudno było liczyć jako partnerów do tańca, natomiast co do ekipy z Izby Lordów należało raczej przypuszczać, że prędzej skierują się do stolika brydżowego niż na parkiet.

– Boję się, że to będzie wóz albo przewóz dla dziewcząt – powiedziała ciotka Sadie sennym głosem.

Pod jednym wszakże względem wszystko ułożyło się szczęśliwie. Starsi panowie stanowili wybór samego wuja Matthew, byli jego kolegami, zapewne więc powinien być dla nich grzeczny; zresztą wiedzieli, jaki jest, akceptując zaproszenie. Ciotka Sadie zdawała sobie sprawę, że napełnienie domu obcymi młodymi ludźmi oznacza duże ryzyko. Wuj Matthew nienawidził obcych, nienawidził młodych i nienawidził myśli o ewentualnych konkurentach córek; ciotka Sadie widziała przed sobą skały, ale tym razem udawało się je opłynąć.

Zatem mamy bal. Oto życie, na jakie czekałyśmy przez te wszystkie lata, jesteśmy tu, na balu, który się właśnie odbywa, właśnie teraz trwa wokół nas. Co za dziwne uczucie nierealności niczym we śnie. Ale niestety tak całkowicie różne od tego, co sobie wyobrażałyśmy i czego się spodziewałyśmy; trzeba przyznać, że nie jest to miły sen. Mężczyźni tacy mali i brzydzy, kobiety tak niechlujne, w wygniecionych sukniach, z czerwonymi twarzami, grzejniki olejne tak śmierdzące i bynajmniej nie za ciepłe, ale przede wszystkim ci mężczyźni – albo starzy, albo brzydzy. A kiedy już poproszą cię do tańca (popchnięci, jak można domniemywać, przez zacnego Daveya, który stara się ze wszystkich sił, żebyśmy się dobrze bawiły na naszym pierwszym przyjęciu), nie ma to nic wspólnego z płynięciem w rozkosznej chmurze, gdy męskie ramię przyciska cię do męskiego torsu, ale jest to potknięcie, potknięcie, kopnięcie, kopnięcie. Balansują jak Król Bocian na jednej nodze, po czym drugą spadają ciężko niczym Król Kłoda na twój

paluch<sup>12</sup>. A co do dowcipnej rozmowy, był to prawdziwy cud, jeśli w ogóle jakakolwiek rozmowa, nawet najbardziej banalna i urywana, utrzymała się przez cały taniec i odprowadzenie na miejsce. Przeważnie ograniczało się to do: „Och, przepraszam, och to moja wina”, choć Lindzie udało się zaprowadzić jednego ze swoich partnerów do galerii, żeby obejrzał martwe kamienie.

Nigdy nie nauczyliśmy się tańczyć i z jakiegoś powodu uważaliśmy, że to coś takiego, co każdy potrafi robić z łatwością i naturalnie. Myślę, że Linda zdała sobie sprawę tam i wtedy z tego, czego zrozumienie mnie zabrało lata, że zachowanie człowieka cywilizowanego nie ma nic wspólnego z naturą, że wszystko to sztuczność i sztuka mniej lub więcej doskonała.

Wieczór nie stał się dla nas całkowitym rozczarowaniem, gdyż uratowali go goście z Merlinford. Przyjechali potwornie późno, szczerze mówiąc, wszyscyśmy już o nich zapomnieli, ale kiedy przywitawszy się z ciotką Sadie, ruszyli na parkiet, z miejsca tchnęli w przyjęcie nowe życie. Kwitli i błyszczeli dzięki klejnotom, oszłamiającym strojom, lśniącem włosom i olśniewającej cerze; w tańcu rzeczywiście wydawali się płynąć, chyba że był to charleston, a ten, choć kanciasty, wykonywali z taką perfekcją, że zamurowało nas z podziwu. Ich konwersacja bez wątplenia była zarówno śmiała, jak i dowcipna, płynęła niczym rzeka, pluskająca, rwąca, skrząca się w słońcu. Oczarowali Lindę, i zdecydowała tam i wtedy, że stanie się jedną z tych błyszczących istot i będzie żyła w ich świecie, choćby nawet musiała poświęcić całe życie, by to osiągnąć. Ja nie żywiłam takich ambicji. Uważałam ich za godnych podziwu, ale byli tak dalecy ode mnie i mojej orbity, należeli raczej do orbity moich rodziców; pozostawałam odwrócona do nich plecami od dnia, kiedy ciotka Emily wzięła mnie pod swój dach, i nie miałam wyboru – ani go sobie nie życzyłam. Niemniej patrzyłam na nich jak na fascynujący spektakl i czy to siedząc z Lindą, czy też poruszając się niezdarnie po sali z poczciwym Daveyem, który nie będąc już w stanie skłonić żadnego z młodych ludzi do przejścia nas, sam od czasu do czasu zapraszał nas do tańca, nie mogłam oderwać od nich oczu. Davey zdawał się znać ich wszystkich całkiem nieźle i najwyraźniej był bardzo zaprzyjaźniony z lordem Merlinem. Kiedy nie czynił uprzejmości mnie i Lindzie, przyłączał się do tej grupy i uczestniczył w ich inteligentnej pogawędce. Nawet zaproponował, że nas przedstawi, ale pelerynki z tafty, które wydawały się tak oryginalne i śliczne w domku pani Josh, wyglądały dziwacznie w zestawieniu z wzorzystymi szyfonami, tak miękkimi i tak pięknie się układającymi, również nasze doświadczenia z początku wieczoru sprawiły, że czułyśmy się gorsze – błagałyśmy go więc, by tego nie robił.

Tej nocy w łóżku myślałam więcej niż zwykle o bezpiecznych opiekuńczych ramionach mojego farmera z Shenley. Następnego rana Linda oświadczyła mi, że wyrzeka się księcia Walii.

– Doszłam do wniosku – powiedziała – że dworskie kręgi byłyby dość

nudne. Lady Dorothy jest damą dworu i tylko popatrz na nią.



Bal miał nieoczekiwany dalszy ciąg. Matka lorda Forta Williama zaprosiła ciotkę Sadie i Louisę do ich posiadłości w Sussex na bal myśliwski, a wkrótce potem jego zamężna siostra zaprosiła ich na polowanie i bal dobroczynny na rzecz szpitala. W trakcie tej wizyty lord Fort William oświadczył się Louisie i został przyjęty. Wróciła do Alconleigh zaręczona i znalazła się w centrum uwagi po raz pierwszy od czasu, kiedy narodziny Lindy definitywnie utarły jej nosa. Rzeczywiście było to podniecające i w kryjówce Honsów nie ustawały gorączkowe rozmowy, zarówno w obecności Louisy, jak i bez niej. Louisa nosiła ładny pierścionek z niewielkim brylantem na czwartym palcu, ale nie była tak rozmowna, jakbyśmy sobie życzyli, na temat zalotów lorda (teraz dla nas Johna, ale jak mogliśmy o tym pamiętać?). Chowiała się, mocno zarumieniona, za dymną zasłoną wykrętów, że to zbyt święte, by o tym mówić. On wkrótce pojawił się znów we własnej osobie, więc mogliśmy mu się przyjrzeć jako jednostce, a nie części, wraz z lordem Stroboli i diukiem Paddington, sędziwej trójcy. Linda dokonała podsumowania:

– Biedactwo. Chyba go lubi, ale muszę powiedzieć, że gdyby miało się takiego psa, należałoby go uśpić.

Lord Fort William liczył sobie trzydzieści dziewięć lat, ale niewątpliwie wyglądał na więcej. Jego włosy wydawały się ześlizgiwać w tył niczym kołdra w nocy, oświadczyła Linda, i wyglądał na zaniedbanego osobnika w średnim wieku. Louisa jednak go kochała i po raz pierwszy w życiu czuła się szczęśliwa. Zawsze bardziej bała się wuja Matthew niż ktokolwiek z pozostałych, i nie bez powodu: uważał ją za głupią i nigdy nie zachowywał się wobec niej miło, była zatem w siódmym niebie na myśl o opuszczeniu Alconleigh na zawsze.

Myślę, że Linda, wbrew biednemu psu i kołdrze, w istocie bardzo Louisie zazdrościła. Odbywała sama długie przejażdżki konne i snuła coraz bardziej fantastyczne rojenia; jej tęsknota za miłością stała się obsesją. Musiała jakoś przepędzić całe dwa lata do swojego towarzyskiego debiutu, ale, och! jak te dni się wlokły. Linda przesiadywała w salonie, stawiając (czy raczej zaczynając i nie kończąc) jednego pasjansa po drugim, czasem sama, czasem z Jassy, którą zaraziła swoim podenerwowaniem.

- Która godzina, kochanie?
- Zgadnij.
- Za kwadrans szósta?
- Lepiej.
- Szósta!
- Nie aż tak dobrze.

– Za pięć?

– Tak.

– Jeśli ten wyjdzie, poślubię człowieka, którego kocham. Jeśli ten wyjdzie, stanę na ślubnym kobiercu w wieku osiemnastu lat.

Jeśli ten wyjdzie – przetasowanie – jeśli ten wyjdzie – rozdzanie. Królowa na spodzie talii, nie może wyjść, zaczynamy od początku.

Louisa wyszła za mąż na wiosnę. Jej suknia ślubna, z tiulowymi falbankami, przybrana gałązkami kwiatu pomarańczy, była do kolan i miała tren według ówczesnej okropnej mody. Jassy bardzo się tym zdenerwowała.

– Wyjątkowo nieodpowiednia.

– Dlaczego, Jassy?

– Do trumny. Kobiety zawsze się chowa w sukniach ślubnych, prawda? Pomyśl o swoich wystających biednych starych nogach.

– Och, Jassy, nie bądź makabryczna. Zawiną je w tren.

– Niezbyt to przyjemne dla grabarzy.

Louisa nie chciała druchen. Myślę, że zależało jej, by choć raz w życiu patrzono na nią więcej niż na Lindę.

– Nie wyobrażasz sobie, jak głupio będziesz wyglądała z tyłu bez ani jednej druhny – oponowała Linda. – No, ale skoro tak uważasz. Wcale się nie palimy, żeby się wystroić w niebieski szyfon, mam tylko twoje dobro na myśli.

Na urodziny Louisy John Fort William, zapalony kolekcjoner antyków, подарował jej kopię klejnotu króla Alfreda<sup>13</sup>. Linda, której zgryźliwość w tym okresie nie znała granic, powiedziała, że to po prostu wygląda jak kurza kupka.

– Ten sam kształt, ten sam rozmiar, ten sam kolor. Nie tak wyobrażam sobie klejnot.

– Ja uważam, że jest piękny – odpowiedziała ciotka Sadie, ale słowa Lindy zostawiły zadrę.

Ciotka Sadie miała wówczas kanarka, który wyśpiewywał cały dzień, konkurując nawet z Galli-Curci w czystości i głośności swoich treli. Ilekroć słyszę kanarka śpiewającego tak nieskrępowanie, przypomina mi się ten szczęśliwy pobyt, nieskończony napływ prezentów ślubnych, rozpakowywanie ich, układanie w sali balowej z okrzykami podziwu lub zgrozy, krzątanie, bieżanie i dobry humor wuja Matthew trwający, tak jak czasami trwa piękna pogoda, jeden niewiarygodny dzień po drugim.

Louisa miała posiadać dwa domy, jeden w Londynie na Connaught Square, drugi w Szkocji. Jej fundusz na stroje miał wynosić trzysta funtów rocznie, otrzymała diamentową tiarę, naszyjnik z pereł, własny samochód i futrzaną pelerynę. Prawdę mówiąc, przy założeniu, że zdoła znieść Johna Forta Williama – straszego nudziarza – jej los był godny pozazdroszczenia.

W dzień ślubu pogoda była piękna, powietrze balsamiczne. Kiedy rano poszliśmy zobaczyć, jak panie Wills i Josh radzą sobie z dekorowaniem kościoła, ujrzałyśmy nasz skromny kościółek tonący w wiosennych kwiatkach. Później, gdy wobec niespotykanego tłumu ludzi jego znane kontury się zatarły, wyglądał już zupełnie inaczej. Pomyślałam, że osobiście wolałabym brać w nim ślub, kiedy był tak pusty i ukwiecony, i napełniony Duchem Świętym.

Ani Linda, ani ja nie byłyśmy nigdy na żadnym ślubie, jako że ciotka Emily, bardzo nieładnie, jak uważałyśmy wtedy, brała ślub w prywatnej kaplicy domu Daveya w północnej Anglii, nie byłyśmy więc przygotowane na to, że poczciwa stara Louisa i potwornie nudny John przemienią się nagle tego dnia w nieśmiertelne typy Panny Młodej i Pana Młodego, Bohaterki i Bohatera Romansu.

Od chwili, kiedy zostawiłyśmy Louise w Alconleigh samą z wujem Matthew – mieli wyjechać daimlerem dokładnie jednaście minut po naszym wyjściu – atmosfera zrobiła się zdecydowanie dramatyczna. Louisa, spowita od stóp do głów w tiul, przysiadła ostrożnie na brzeжку krzesła, podczas gdy wuj Matthew z zegarkiem w dłoni spacerował w tę i z powrotem po hallu. My jak zawsze poszłyśmy do kościoła piechotą i usadowiłyśmy się w ławce rodzinnej z tyłu, skąd mogłyśmy z fascynacją obserwować naszych sąsiadów zmienionych nie do poznania w najlepszych odświętnych strojach. Jediną osobą wśród zgromadzonych parafian, która wyglądała dokładnie tak samo, jak zawsze, był lord Merlin.

Nagle nastąpiło poruszenie. John i jego drużba, zmaterializowawszy się znikąd jak diabeł z pudełka, stali na stopniach ołtarza. W jaskółkach, z włosami mocno wybrylantowanymi prezentowali się całkiem wytwornie, ale ledwo miałyśmy czas to odnotować, kiedy pani Wills zaczęła grać *Oto oblubienica*, z użyciem wszystkich rejestrów organowych, i już Louise, z twarzą zakrytą welonem, ciągnął z podwojoną prędkością przez nawę do ołtarza wuj Matthew. Myślę, że w tym momencie Linda bardzo chętnie zamieniłaby się z Louisą miejscami, nawet za cenę – słoną cenę – bycia odtąd szczęśliwą do końca życia u boku Johna Forta Williama. Po czym w mgnieniu oka, jak się wydawało, Louise, z twarzą odsłoniętą, ciągnął przez nawę, tym razem od ołtarza, John, a pani Wills niemal powybiła szyby, tak głośno i tryumfalnie zabrzmiał jej marsz weselny.

Wszystko poszło jak z płatka i zdarzył się tylko jeden mały incydent. Davey, prawie niezauważenie wyslizgnął się z ławki rodzinnej w środku *Jak bije serce* (ulubiony hymn Louisy) i udał się prosto do Londynu, każąc, by jedna z weselnych limuzyn zawiozła go na stację. Wieczorem zatelefonował, aby powiedzieć, że śpiewając, skreślił sobie migdał i zdecydował się pojechać natychmiast do sir Andrew Macphersona, laryngologa, który kazał mu zostać w łóżku przez tydzień.

Biednemu Daveyowi zawsze przydarzały się najdziwaczniejsze wypadki.

Kiedy Louisa odjechała i goście weselni opuścili Alconleigh, w domu zapanowało poczucie pustki, jak to zawsze bywa przy takich okazjach. Linda pograżyła się wtedy w tak rozpaczliwym przygnębieniu, że nawet ciotka Sadie się zaniepokoiła. Linda zwierzyła mi się później, że bardzo dużo myślała o tym, żeby się zabić, i byłaby to zrobiła, gdyby konkretne zrealizowanie tego nie okazało się takie trudne.

– Wiesz, jak to jest, kiedy się próbuje zabić króliki – powiedziała. – No to pomyśl o zabiciu siebie.

Dwa lata wydawały się absolutną wiecznością, niewartą, by przez nią brnąć, nawet z perspektywą (w którą nigdy nie zwątpiła, tak jak osoba religijna nie wątpi w istnienie nieba) cudownej miłości na końcu. Oczywiście w tym okresie Lindę należało zmusić, żeby, tak jak ja, pracowała ciężko przez cały dzień i nie miała czasu na głupie mrzonki, poza kilkoma minutami wieczorem przed zaśnięciem. Myślę, że ciotka Sadie mglście zdawała sobie z tego sprawę, nakłaniając ją, żeby nauczyła się gotować, zajęła się pracą w ogrodzie, przygotowywała do konfirmacji. Linda z wściekłością odmawiała, nie interesowały jej też żadne zajęcia w wiosce, nie próbowała ulżyć ciotce Sadie w stu jeden obowiązkach, którymi jest obarczona żona wiejskiego dziedzica. Była, prawdę mówiąc, uparta jak osioł, co wuj Matthew powtarzał jej codziennie niezliczoną ilość razy, rzucając groźne spojrzenia swoimi niebieskimi oczami.

Na ratunek przyszedł jej lord Merlin. Wpadła mu w oko na ślubie Louisy i poprosił ciotkę Sadie, żeby ją kiedyś przywiozła do Merlinford. Po paru dniach zadzwonił. Odebrał wuj Matthew i nie zakrywając słuchawki, zawołał do ciotki Sadie:

– Ta świnia Merlin chce z tobą mówić!

Lord Merlin, który musiał to słyszeć, bynajmniej się nie przejął. Sam był oryginałem i rozumiał dziwactwa innych. Natomiast biedna ciotka Sadie bardzo się skonfundowała i w rezultacie przyjęła zaproszenie, żeby przywieźć Lindę do Merlinford na obiad, które inaczej prawdopodobnie by odrzuciła.

Lord Merlin z miejsca zorientował się w stanie psychicznym Lindy, zszokowało go odkrycie, że nie pobiera ona żadnych lekcji, i zrobił, co mógł, żeby ją czymś zainteresować. Pokazał jej swoje obrazy, objaśnił je, wiele mówił o sztuce i literaturze i dał jej książki do czytania. Zasugerował też, co ciotka Sadie podchwyciła, że mogłyby z Lindą uczyć się na cykl wykładów w Oksfordzie, a także wspominał, że w Stratfordzie trwa właśnie Festiwal Szekspirowski.

Tego rodzaju wypadki, które samej ciotce Sadie sprawiały wielką przyjemność, wkrótce stały się regularnym rysem życia w Alconleigh. Wuj Matthew trochę sobie pokpiwał, ale z zasady nie przeciwstawiał się niczemu, co chciała robić ciotka Sadie; poza tym obawiał się nie tyle edukacji dla swoich córek,

ile tego, że w szkole z internatem mogłyby nabrać wulgarnych manier. Co do guwernantek, próbowano zatrudnić kolejne, jednak żadna nie była w stanie wytrzymać dłużej niż kilka dni terroru zgrzytającej sztucznej szczęki wuja Matthew, przeszywających, wściekłych błysków jego niebieskich oczu, strzelania z bata na trawniku pod oknem sypialni.

Wuj Matthew wybrał się raz z ciotką Sadie i Lindą na sztukę Szekspira *Romeo i Julia*. Nie był to wieczór udany. Wuj płakał rzewnie i wpadł w dziką wściekłość, ponieważ sztuka źle się kończyła.

– Wszystko to wina tego przekłętego księdza – powtarzał w drodze powrotnej, nadal ocierając oczy. – Ten młokos, jak mu tam, Romeo, powinien był wiedzieć, że przekłety klecha wszystko spaprze. Piastunka też stara kretyńka, założyła się, że katoliczka, beznadziejna stara krowa.

Tak więc życie Lindy zamiast toczyć się na płaskiej równinie nudy, było odtąd do pewnego stopnia wypełnione różnymi zewnętrznymi zainteresowaniami. Spostrzegła, że świat, do którego chciała należeć, dowcipny, pełen blasku świat lorda Merlina i jego przyjaciół, zajmowały sprawy umysłu i że będzie mogła błyszczeć w nim tylko wtedy, jeśli uzyska jakie takie wykształcenie. W zapomnienie poszły jałowe pasjanse; cały dzień spędzała zgarbiona w kącie biblioteki, czytając, dopóki nie rozboleły jej oczy. Często jeździła konno do Merlinfeld bez wiedzy rodziców, którzy nigdy nie pozwoliliby jej tam pojechać samej, jak i zresztą nigdzie indziej, zostawiała Josha w stajniach, gdzie miał sympatycznych kolegów, i godzinami gawędziła z lordem Merlinem na przeróżne tematy. Wiedział, że Linda ma wysoce romantyczne usposobienie, przewidywał wiele kłopotów w przyszłości i nieustannie wbijał jej do głowy, jak ważne jest intelektualne zaplecze.

Co na litość boską mogło skłonić Lindę, by wyszła za Anthony'ego Kroesiga? W ciągu dziewięciu lat ich wspólnego życia zadawano to pytanie z irytującą regularnością, niemal za każdym razem, kiedy padały ich nazwiska. Co zamierzała osiągnąć, przecież nie mogła być w nim zakochana, co jej strzeliło do głowy, jak mogło do tego dojść? Prawda, że był bardzo bogaty, ale inni też byli i chyba ta fascynująca Linda mogła wybierać? A ona po prostu się w nim zakochała. Linda była o wiele za romantyczna, żeby wyjść za mąż bez miłości, i ja, obecna przy ich pierwszym spotkaniu, której dane było obserwować dalszy rozwój wydarzeń, zawsze rozumiałam, jak do tego doszło. Tony w owym czasie i w oczach takich nieobytych wieśniaczek jak my wydawał się kimś porywającym i szykownym. Kiedy ujrzałyśmy go po raz pierwszy, na balu wprowadzającym w świat mnie i Lindę, studiował na ostatnim roku w Oksfordzie, był wspaniałym młodym człowiekiem, członkiem ekskluzywnego klubu Bullingdon, posiadaczem rolls-royce'a, stadniny pięknych koni, wytwornych ubrań, a w Oksfordzie zajmował przestronne, luksusowo wyposażone pokoje, w których urządzał przyjęcia na dużą skalę. Fizycznie był wysokim blondynem, nieco przyciężkim, ale dobrze zbudowanym; już wtedy dała się w nim zauważyć pewna pompatyczność, z którą to cechą Linda nie zetknęła się wcześniej i której nie uznała za nieatrakcyjną. Krótko mówiąc, wyceniła go według jego własnej miary.

Co natychmiast zyskało mu ogromny prestiż w jej oczach, to to, że na bal przyszedł z lordem Merlinem. Rzeczywiście trudno było o większego pecha, zwłaszcza że Tony zaproszony został za pięć dwunasta jako zatkajdziura.

Bal Lindy nawet w przybliżeniu nie był takim fiaskiem jak bal Louisy. Louisa, obecnie zameżna londyńska dama, ściągnęła na przyjęcie ciotki Sadie gromadę młodych mężczyzn, przeważnie nudnych, jasnowłosych, dobrze wychowanych Szkotów – nic przeciwko czemu wuj Matthew miałby protestować. Nieźle się dogadywali z różnymi nudnymi, ciemnowłosymi dziewczętami zaproszonymi przez ciotkę Sadie, tak więc ogólnie przyjęcie przebiegało w „bardzo miłej atmosferze”, chociaż Linda, z głową w chmurach, oświadczyła, że wszyscy oni są wprost nie do opowiedzenia okropni. Ciotka Sadie przez wiele tygodni wcześniej błagała wuja Matthew, żeby był uprzejmy dla młodzieży i na nikogo nie krzyczał, wuj zatem był całkiem stonowany, niemal wzruszający w swojej chęci, by wszyscy byli zadowoleni; stapał na paluszkach, jak gdyby na górze leżał ktoś chory, a ulicę wysłano słomą dla stłumienia hałasu.

Davey i ciotka Emily zatrzymali się w Alconleigh, żeby patronować mojemu debiutowi (ciotka Sadie ofiarowała się wprowadzić mnie w świat razem z Lindą i zorganizować nam londyński sezon, co ciotka Emily przyjęła z wielką

wdzięcznością), wobec czego Davey wziął na siebie rolę swego rodzaju ochroniarza wuja Matthew, mając nadzieję powstrzymać go od co bardziej niezdolnych form irytacji.

– Będę niesłychanie uprzejmy dla każdego, ale nie zniosę żadnych chłystków w moim gabinecie i koniec – oznajmił wuj Matthew po jednym z przydługich napomnień ciotki Sadie i rzeczywiście większość weekendu (bał był w piątek, a zaproszeni goście pozostawali do poniedziałku) spędził tam zamknięty, puszczając na gramofonie *Rok 1812*<sup>14</sup> i *Haunted Ballroom*<sup>15</sup>. W tamtym roku nie miał raczej ochoty na wokal.

– Jaka szkoda – zauważyła Linda, kiedy wbijałyśmy się w nasze suknie balowe (tym razem prawdziwe londyńskie bez żadnych pelerynek) – że się tak stroimy i tak ładnie wyglądamy, a wszystko tylko dla tych protegowanych Louisy. Ja to nazywam marnotrawstwem.

– Na wsi to nigdy nie wiadomo – odpowiedziałam – ktoś może przyprowadzić księcia Walii.

Rzuciła mi spod rzęs wściekle spojrzenie.

– Prawdę mówiąc – powiedziała – pokładałam wielkie nadzieje w gościach lorda Merlina. Jestem pewna, że on przyprowadzi trochę naprawdę interesujących ludzi.

Towarzystwo lorda Merlina przybyło, tak jak przedtem, mocno spóźnione i w doskonałych nastrojach. Linda natychmiast spostrzegła młodego dużego blondyna w pięknym czerwonym fraczku. Tańczył z dziewczyną, która często zatrzymywała się w Merlinford, nazywaną Dzidzią Fairweather; Dzidzia przedstawiła go Lindzie. Poprosił ją do następnego tańca, a ona odprawiła jednego z młodych Szkotów Louisy, któremu go obiecała, i dumnie ruszyła z Tonym do quickstepa. Obie z Lindą pobierałyśmy lekcje tańca i choć może nie całkiem płynęłyśmy po pokoju, to nasze wyczyny z pewnością nie były tak żenujące jak kiedyś.

Tony tryskał humorem, do czego przyczyniła się znakomita brandy lorda Merlina, a Linda cieszyła się, że tak łatwo i lekko idzie jej z członkiem paczki z Merlinford. Bawiło go wszystko, co mówiła; przysiedli na chwilę, ona rozprawiała, a Tony się zaśmiewał. Była to prosta droga do serca Lindy, najbardziej lubiła ludzi skłonnych do śmiechu; naturalnie nie przyszło jej na myśl, że Tony jest trochę wstawiony. Przesiedzieli razem następny taniec. Co natychmiast spostrzegł wuj Matthew i zaczął przed nimi spacerować tam i z powrotem, rzucając im wściekle spojrzenia, dopóki Davey, zobaczywszy ten niebezpieczny sygnał, nie zerwał się i nie pospieszył do niego z informacją, że jeden z grzejników olejnych dymi.

– Kim jest ten chłystek z Lindą?

– Kroesig, wiesz, prezes Banku Anglii; to jego syn.

– Dobry Boże, nigdy nie spodziewałem się karmić czystej krwi Huna w tym domu. Kto u diabła go zaprosił?

– Mój drogi Matthew, nie denerwuj się. Kroesigowie nie są żadnymi Hunami, żyją tu od pokoleń, są niezwykle szanowaną rodziną angielskich bankierów.

– Szwab zawsze pozostanie Szwabem – obstawał wuj Matthew – zresztą nie przepadam za bankierami. Poza tym facet musiał się tu wkręcić bez zaproszenia.

– Nie, przyszedł z Merlinem.

– Zawsze wiedziałem, że ten cholerny Merlin zacznie prędzej czy później przyprowadzać nam cudzoziemców. Zawsze to mówiłem, ale nie przypuszczałem, że sprowadzi nam tu Szwaba.

– Czy nie sądzisz, że pora, by ktoś zaniósł szampana orkiestrze?

Ale wuj Matthew pomaszerował do kotłowni, gdzie uciął sobie długą i uspokajającą pogawędkę z Timbem, złotą rączką, na temat koksu.

Tony tymczasem uznał Lindę za szalowo urodziwą i bardzo zabawną, co było prawdą. Powiedział to i tańczył z nią jeden taniec po drugim, aż lord Merlin, równie zaniepokojony tym, co się dzieje, jak wuj Matthew, bezlitośnie i bardzo wcześnie zabrał swoich gości do domu.

– Do zobaczenia jutro na odprawie – powiedział Tony, zawiązując na szyi biały szalik.

Linda była milcząca i pogrążona w myślach przez resztę wieczoru.

– Nie pojedziesz na polowanie, Lindo – oświadczyła następnego dnia ciotka Sadie, kiedy Linda zeszła na dół ubrana w amazonkę. – To zbyt niegrzeczne, musisz zostać i bawić gości. Nie możesz ich tak zostawiać.

– Kochana, najdroższa mateńko! – zawołała błagalnie Linda. – Odprawa jest w Cock's Barn, wiesz przecież, że nie sposób się oprzeć. I Flora nie miała ruchu od tygodnia, ona się wścieknie. Bądź aniołem i zabierz gości na wycieczkę do rzymskiej willi czy coś wymyśl, a ja przysięgam, że wrócę wcześniej. W końcu mają Fanny i Louise.

I właśnie to nieszczęsne polowanie przesądziło sprawę, jeśli chodzi o Lindę. Pierwszą osobą, którą zobaczyła na odprawie, był Tony na wspaniałym kasztanku. Sama Linda zawsze miała pięknego wierzchowca, wuj Matthew, dumny z jej umiejętności jeździeckich, podarował jej dwa śliczne, dziarskie koniki. Trop został podjęty od razu i nastąpiła krótka, ostra pogoń. Podczas niej Linda i Tony, oboje trochę nastawieni na popisywanie się, przeskakiwali ramię w ramię kamienne murki. Po czym zwolnili na wiejskich błoniach. Jeden z ich skoków wypłoszył zająca, który stracił głowę, dał susa do stawu na kaczki i zaczął się rozpaczliwie taplać. Oczy Lindy napelniły się łzami.

– Och, biedny zajaczek!



Tony zsiadł z konia i wszedł do stawu. Kiedy wyszedł z powrotem na brzeg, jego piękne białe bryczesy pokrywał zielony muł, ale uratował zająca i mokrego, ciężko dyszącego położył Lindzie na podółku. Był to jedyny romantyczny gest w jego życiu.

Pod koniec dnia Linda odłączyła się od myśliwych, by wrócić do domu skrótem przez pola. Tony otworzył jej furtkę w murze, zdjął kapelusz i powiedział:

– Jesteś najpiękniejszą amazonką. Dobranoc. Gdy wrócę do Oksfordu, zadzwonię do ciebie.

Po powrocie do domu Linda popędziła mnie do kryjówki Honsów i wszystko mi opowiedziała. Była zakochana.

Jeśli wziąć pod uwagę nastrój Lindy w ciągu dwu poprzednich, ciągnących się w nieskończoność lat, jasne jest, że musiała się zakochać w pierwszym napotkanym mężczyźnie. Po prostu nie było wyjścia, inna sprawa, że nie musiała wychodzić za niego za męża. To stało się nieuchronne z powodu zachowania wuja Matthew. Tak się niefortunnie złożyło, że lord Merlin, jedyna osoba zdolna być może przekonać Lindę, że Tony wcale nie jest taki, jak ona sobie wyobraża, wyjechał do Rzymu w następnym tygodniu po balu i pozostał przez rok za granicą.

Tony po wyjeździe z Merlinford wrócił do Oksfordu, a Linda siedziała, czekając i czekając, aż zadzwoni telefon. Wróciły pasjanse. Jeśli mi wyjdzie, on akurat myśli o mnie w tej chwili, jeśli mi wyjdzie, on jutro zadzwoni, jeśli mi wyjdzie, on będzie na odprawie. Ale Tony polował z młodzieżą z Bicester School i nie pojawiał się w naszych stronach. Minęły trzy tygodnie i Linda zaczynała już pogrążyć się w rozpacz. Raptem pewnego wieczoru po kolacji zadzwonił telefon; szczęśliwym trafem wuj Matthew poszedł do stajni zobaczyć się z Joshem w sprawie konia, który dostał kolki, gabinet był pusty i telefon odebrała sama Linda. Dzwonił Tony. Serce jej podeszło do gardła, ledwo mogła mówić.

– Halo, czy to Linda? Tu Tony Kroesig. Może byś przyjechała na lunch we czwartek?

– O! Ale mi nigdy nie pozwolą.

– Och, bzdury – skwitował bardzo niecierpliwie – kilka innych dziewcząt przyjedzie z Londynu, przywieź swoją kuzynkę, jeśli chcesz.

– Dobrze, z wielką przyjemnością.

– Do zobaczenia więc. Około pierwszej. King Edward Street, numer siódmy. Pewnie znasz te pokoje. Altringham w nich mieszkał podczas studiów.

Linda wróciła od telefonu cała drżąca i szepnęła mi, żebym zaraz przyszła do kryjówki Honsów. Pod żadnym pozorem nie wolno nam było widywać się z młodymi ludźmi bez przyzwoitki, a inne dziewczęta się nie liczyły w tej roli. Dobrze wiedziałyśmy, choć tak nieprawdopodobnej ewentualności nigdy nawet nie zasugerowano w Alconleigh, że nie pozwolono by nam zjeść lunchu z młodym człowiekiem w jego pokojach nawet pod opieką przyzwoitki, chyba że samej ciotki

Sadie. W Alconleigh panowały średniowieczne zasady przyzwoitości, w najmniejszym stopniu nieróżniące się od tych, które obowiązywały w młodości siostrę wuja Matthew i ciotkę Sadie. Istniała zasada, że nie wolno było spotykać się z młodym człowiekiem sam na sam, w żadnych okolicznościach, dopóki nie zostało się jego narzeczoną. Jedynymi osobami, na których można było polegać, że wyegzekwują stosowanie się do tej zasady, były matka i ciotki, zatem nie wolno było oddalać się spoza zasięgu ich zawsze czujnych oczu. Argument, jaki często wysuwała Linda, mianowicie że mało jest prawdopodobne, aby młody człowiek oświadczył się dziewczynie, którą ledwie zna, odrzucano jako nonsensowny. Wuj Matthew oświadczył się, czyż nie? ciotce Sadie, kiedy ją tylko zobaczył pierwszy raz, przy klatce z dwugłowym słowikiem na wystawie w White City. „Tym bardziej cię szanują”. Najwyraźniej nigdy nie zaświtało mieszkańcom Alconleigh, że szacunek nie jest postawą, której hołdowniliby młodzi mężczyźni szukający u swoich żon innych cech niż szacowność. Ciotka Emily, pod światłym wpływem Daveya, była o wiele rozsądniejsza, ale oczywiście, kiedy przebywałam u Radlettów, musiałam stosować się do tych samych reguł.

Gadałyśmy bez końca w kryjówce Honsów. Ani przez chwilę nie miałyśmy wątpliwości, że musimy jechać, Linda by umarła, jeśli byśmy nie pojechały, nigdy by tego nie przeboleła. Ale jak się wymknąć? Istniał tylko jeden sposób, i to mocno ryzykowny. W odległości około pięciu mil od Alconleigh mieszkała bardzo nudna dziewczyna w naszym wieku z bardzo nudnymi rodzicami, Lavender Davis, i raz na sto lat Linda, wściekle narzekając, była do nich wysyłana na obiad i udawała się tam małym autkiem ciotki Sadie, które sama prowadziła. Musimy udawać, że to właśnie zamierzamy zrobić, modląc się, by ciotka Sadie przez wiele miesięcy nie zobaczyła się z panią Davis, filarem Instytutu Kobiecego, jak również, by Perkins, szofer, nie skomentował faktu, że przejechałyśmy sześćdziesiąt mil, a nie dziesięć.

Kiedy poszłyśmy na górę do sypialni, Linda powiedziała do ciotki Sadie, jak miała nadzieję, obojętnym tonem, a w rzeczywistości głosem drżącym od poczucia winy:

– To dzwoniła Lavender. Chce, żebyśmy z Fanny przyjechały na obiad w czwartek.

– Niestety, kotku – odpowiedziała ciotka Sadie – nie będę ci mogła dać mojego auta.

Linda przeraźliwie zbladła i oparła się o ścianę.

– Och, mateńko, błagam cię, pożycz mi auto, tak strasznie chcę pojechać.

– Do Davisów? – zdumiała się ciotka Sadie. – Ależ kochanie, ostatnim razem powiedziałaś, że nigdy w życiu tam więcej nie pojedziesz, nudy na pudy, oświadczyłaś, nie pamiętasz? Zresztą pewna jestem, że zaproszą cię kiedy indziej.

– Och, mateńko, nie rozumiesz. Cała rzecz w tym, że będzie tam ktoś, kto wychował małego borsuka i ja tak bardzo chcę go poznać.

Wiadomo było, że jedną z największych ambicji Lindy jest wychowanie małego borsuka.

– Rozumiem. Nie możesz pojechać konno?

– Wartogłowie i grzybica. – Duże niebieskie oczy Lindy z wolna napęniały się łzami.

– Co mówiłaś, kochanie?

– U nich w stajni. Wartogłowie i grzybica. Chyba nie chciałybyś, żebym narażała Florę.

– Jesteś pewna? Ich konie zawsze wyglądają tak wspaniale.

– Zapytaj Josha.

– No cóż, zobaczymy. Może będę mogła pożyczyć morrisa papy, a jeśli nie, może Perkins zawiózłby mnie daimlerem. W każdym razie na to zebranie muszę pojechać.

– Och, jakaś ty dobra, jaka dobra. Och, spróbuj. Ja tak marzę o borsuku.

– Gdy pojedziesz do Londynu na sezon, będziesz zbyt zajęta, żeby myśleć o borsuku. Dobranoc tymczasem, dziewczynki.

– Musimy zdobyć trochę pudru.

– I różu.

Te artykuły były surowo zabronione przez wuja Matthew, który lubił oglądać damską cerę w naturalnym stanie i często głosił, że farba jest dla dziwek, a nie jego córek.

– Przeczytałam w jakiejś książce, że można użyć soku z geranium zamiast różu.

– Geranium nie kwitnie o tej porze roku, głuptasie.

– Możemy pomalować powieki niebieską farbą z pudełka Jassy.

– I spać w papilotach.

– Wezmę mydło werbenowe z mamy łazienki. Jak je rozpuścimy w kąpielni i będziemy się godzinami w tym moczyć, będziemy rozkosznie pachnieć.

– Myślałam, że nie cierpisz Lavender Davis.

– Och, cicho bądź, Jassy.

– Ostatnim razem, gdy tam byłaś, to powiedziałaś, że ona jest okropnym anti-Honsem i że miałabyś ochotę walnąć ją w głupią gębę kijem Honsów.

– Nigdy tak nie mówiłam. Nie wymyślaj kłamstw.

– Dlaczego wkładasz londyński kostium dla Lavender Davis?

– Odczep się, Matt.

– Dlaczego już jedziecie, będziecie o wiele za wcześnie.

– Mamy zobaczyć borsuka przed obiadem.

– Ale jesteś czerwona na twarzy, Lindo. Ha, ha, ale śmiesznie wyglądasz.

– Jeśli się nie zamkniesz i nie odczepisz, Jassy, przysięgam, że wrzucę twoją traszkę z powrotem do stawu.

Docinki jednak nie ustawały, póki nie znalazłyśmy się w samochodzie i nie wyjechały poza obręb podwórza przed garażem.

– Może z powrotem przywiozłybyście ze sobą Lavender na miłą długą serdeczną pogawędkę? – rzuciła na pożegnanie Jassy.

– Nie można powiedzieć, żeby zachowali się po honsowsku – zauważyła Linda. – Sądziś, że mogą się domyślać?

Zostawiłyśmy samochód na dziedzińcu hotelu Clarendon i, ponieważ przyjechałyśmy bardzo wcześnie, uwzględnivszy półgodzinny zapas na wypadek dwukrotnego złapania gumy, udałyśmy się do toalety damskiej domu towarowego Elliston & Cavell, by z lekkim uczuciem niepewności przyjrzeć się sobie w tamtejszych lustrach. Na naszych policzkach kwitły szkarłatne okrągłe plamy, ten sam kolor miały nasze wargi, ale tylko na konturach, bo środek już się starł, a nasze powieki były niebieskie, wszystko dzięki farbom Jassy. Nosy miałyśmy białe, bo niania znalazła trochę talku, którym przed laty pudrowała pupę Robina. Słowem, wyglądałyśmy jak para drewnianych holenderskich lalek.

– Musimy trzymać fason – odezwała się niepewnie Linda.

– O mój Boże – odpowiedziałam – mój problem polega na tym, że czuję się o wiele szczęśliwsza, kiedy nie muszę trzymać fasonu.

Wpatrywałyśmy się w siebie bez końca, mając nadzieję, że dzięki temu jakimś magicznym sposobem przestaniemy się czuć tak dziwnie. W końcu użyłyśmy wilgotnych chusteczek i trochę stonowałyśmy nasz makijaż. Po czym wyruszyłyśmy na ulicę, przeglądając się w każdej mijanej wystawie. (Zauważyłam, że kiedy kobiety rzucają okiem na swoje odbicie w każdej wystawie i ukradkowo zerkają do podręcznych lusterek, rzadko wynika to, jak się zwykle przypuszcza, z próżności, a o wiele częściej z obawy, że nie wszystko jest całkiem w porządku).

Teraz, kiedy osiągnęłyśmy już swój cel, dopadło nas okropne zdenerwowanie, nie tylko czułyśmy się złe, winne, przestraszone, ale opanowała nas trema przed wystąpieniem w nieznanym towarzystwie. Chyba obie miałyśmy ochotę wsiąść z powrotem do samochodu i uciec do domu.

Z uderzeniem godziny pierwszej przybyłyśmy do Tony'ego. Był sam, ale najwyraźniej oczekiwał większego towarzystwa, bowiem na kwadratowym stole, przykrytym białym obrusem z szorstkiego płótna, znajdowało się wiele nakryć. Odmówiłyśmy sherry i papierosów i zapadło niezręczne milczenie.

– Polowałaś ostatnio? – Tony zapytał Lindę.

– Tak, wczoraj.

– Udany dzień?

– Tak, bardzo. Od razu podjęliśmy trop i po pięciomilowym odcinku dostrześliśmy go, a potem... – Linda nagle przypomniała sobie, co jej powiedział

lord Merlin: „Poluj sobie, ile chcesz, ale nigdy nie opowiadaj o tym, to najnudniejszy temat na świecie”.

– Ależ to wspaniałe, po pięciomilowym odcinku. Muszę znowu wybrać się na polowanie z tymi z Heythrop College, podobno szło im rewelacyjnie w tym sezonie. My też wczoraj mieliśmy udany dzień.

Wdał się w szczegółowy opis każdej minuty tego udanego dnia, gdzie podjęli trop, dokąd ruszyli w pościg, jak jego pierwszy koń okulał, jak na szczęście trafił wtedy na swego drugiego konia i tak dalej. Dokładnie zobaczyłam, co lord Merlin miał na myśli. Jednakże Linda chłonęła każde jego słowo z zapartym tchem.

W końcu z ulicy dobiegł jakiś hałas i Tony podszedł do okna.

– Świetnie – oznajmił – są już pozostali.

Pozostali przybyli z Londynu wielkim daimlerem i rozprawiając głośno, wpadli do pokoju. Cztery ładne dziewczyny i młody chłopak. Pojawiło się też paru studentów i towarzystwo było w komplecie. Z naszego punktu widzenia przyjęcie miało swoje mankamenty, tamci wszyscy znali się aż za dobrze. Plotkowali, ryczeli ze śmiechu z prywatnych żartów, popisywali się; niemniej czułyśmy, że to jest Życie i całkowicie by nas zadowoliła rola obserwatorek, gdyby nie to koszarne poczucie winy sprawiające bolesny dyskomfort przypominający niestrawność. Linda gwałtownie bladła, ilekroć tylko otworzyły się drzwi, chyba naprawdę bała się, że wuj Matthew może pojawić się lada moment, trzaskając z bata. Kiedy tylko wypadało to zrobić, a nie było to najwcześniej, bo nikt nie ruszył się od stołu, póki zegar na wieży Christ Church nie wybił czwartej, pożegnałyśmy się i uciekłyśmy do domu.

Nieszczęśni Matt i Jassy huścili się na drzwiach garażu.

– No i jak tam Lavender? Oburzyła się, gdy zobaczyła wasze powieki? Lepiej się umyć, nim papa was zobaczy. Nie było was całe wieki. Podali dorsza? Widziałyście borsuka?

Linda wybuchnęła płaczem.

– Odczepcie się ode mnie, wstrętne anty-Honsy! – krzyknęła i pobiegła do swojej sypialni.

Miłość wzmogła się po trzykroć w ciągu jednego krótkiego dnia.

W sobotę spadł cios.

– Lindo i Fanny, papa każe wam przyjść do gabinetu. Sądząc z jego miny, nie ma czego zazdrościć – oznajmiła Jassy, spotykając nas na podjeździe, kiedy wracaliśmy z polowania.

Serce uciekło nam w pięty. Wystraszone, popatrzyłyśmy jedna na drugą.

– Lepiej miejmy to za sobą – powiedziała Linda.

Pospieszyłyśmy więc do gabinetu, gdzie zobaczyłyśmy, że stało się

najgorsze.

Ciotka Sadie, z nieszczęśliwą miną, i wuj Matthew, zgrzytający zębami, przedstawili nam naszą zbrodnię w całej ohydzie. Pokój wypełniały niebieskie błyskawice z jego oczu, a grom Jowisza nie mógł być bardziej przerażający niż ryk, jakim nas powitał:

– Czy zdajecie sobie sprawę, że gdybyście byli mężatkami, wasi mężowie mogliby rozwieść się z wami po tym, co zrobiłyście?!

Linda zaczęła mówić, że nie, nie mogliby. Znała prawo rozwodowe, bo przeczytała wszystko o sprawie Russella w gazetach, którymi rozpalano kominki w pokojach gościnnych.

– Nie przerywaj ojcu – upomniała ją ciotka Sadie, rzucając ostrzegawcze spojrzenie.

Ale wuj Matthew nawet tego nie spostrzegł. Rozgrzany do czerwoności, atakował z furją.

– Skoro nie możemy wam zaufać, że potrafcie się zachować, będziemy musieli przedsięwziąć pewne kroki. Fanny może jutro jechać prosto do domu, i nie chcę cię tu więcej widzieć, zrozumiano?! Emily będzie musiała trzymać cię krótko w przyszłości, jeśli potrafi, ale jasne jak słońce, że pójdziesz drogą swojej matki. Co do ciebie, panienko, pożegnaj się z londyńskim sezonem. Nie będziemy mogli spuścić cię z oka nawet na minutę! Nie jest bardzo przyjemnie mieć dziecko, któremu nie można ufać, a w Londynie byłoby zbyt wiele okazji, żeby się wymknąć. Możesz się tutaj kisić we własnym sosie. I żadnych polowań w tym roku. Masz diabelne szczęście, że cię nie zbiłem, większość ojców spuściłaby ci zdrowe lanie, słyszysz?! Teraz możecie obie iść do łóżka i nie wolno wam ze sobą rozmawiać do wyjazdu Fanny. Odsyłam ją jutro rano autem.

Upłynęło ileś miesięcy, zanim dowiedziałyśmy się, jak to odkryli. Został szalik w pokojach Tony'ego Kroesiga i ten zadzwonił z pytaniem, czy to może którejś z nas.

Jak zwykle pogrożki wuja Matthew były straszniejsze niż czyny, chociaż gorszej awantury nie pamiętano w Alconleigh. Ja zostałam nazajutrz odesłana do ciotki Emily. Linda, zapłakana, machała z okna swojej sypialni: „Och masz szczęście, że nie jesteś mną”. (Zupełnie nie w jej stylu, gdyż zazwyczaj jej bojowy okrzyk brzmiał: „Czyż to nie cudne być cudną mną!”). I parę razy nie mogła wziąć udziału w polowaniu. Po czym nastąpiło rozluźnienie, „powolutku aż do skutku”, i stopniowo wszystko wróciło do normy, chociaż w rodzinie utrzymywano, że wuj Matthew zniszczył sztuczną szczękę w rekordowym czasie.

Nie przestano układać planów dotyczących londyńskiego sezonu, co więcej, w tych planach uwzględniano mnie. Słyszałam później, że zarówno Davey, jak John Fort William podjęli się wytłumaczyć ciotce Sadie i wujowi Matthew (szczególnie wujowi Matthew), że według współczesnych zapatrywań, to, co zrobiłyśmy, było absolutnie normalne, chociaż oczywiście musieli przyznać, że postąpiłyśmy bardzo źle, uciekając się do tyłu i tak bezwstydnym kłamstw.

Obie bardzo gorąco przeprosiliśmy i obiecałyśmy solennie, że nigdy nie postąpimy tak podstępnie, ale poprosimy ciotkę Sadie, jeśli będzie coś, co szczególnie chciałyśmy zrobić.

– Tylko, że wtedy, oczywiście, odpowiedź zawsze będzie nie – jak zauważyła Linda, rzucając mi smętne spojrzenie.

Ciotka Sadie wynajęła na lato umeblowany dom w pobliżu Belgrave Square. Był to dom tak bez charakteru, że nie pamiętam z niego absolutnie nic, poza tym, że moja sypialnia miała widok na kominy i że w gorące letnie wieczory siadałam i obserwowałam jaskółki, zawsze występujące w parach, i roiłam sentymentalnie, że też mogłabym znaleźć sobie kogoś do pary.

Naprawdę bawiłyśmy się doskonale, chociaż wydaje mi się, że nie tyle tańce sprawiały nam największą przyjemność, ile fakt, iż jesteśmy dorosłe i w Londynie. Przeszkodą, by w pełni cieszyć się tańcami, byli, jak nazywała ich Linda, faceci. Wydawali się nam okropnie nudni, wszyscy w stylu tych, których Louisa przywiozła do Alconleigh; Linda, nadal pogrążona w marzeniu o miłości do Tony’ego, nie potrafiła ich rozróżnić, nawet nie znała ich imion. Ja rozglądałam się z nadzieją na znalezienie życiowego partnera, ale mimo że starałam się usilnie widzieć w nich to, co najlepsze, na horyzoncie nie pojawił się nikt, kto choćby w przybliżeniu odpowiadałby moim wymaganiom.

Tony odbywał ostatni trymestr studiów na Oksfordzie i pojawił się dopiero pod koniec sezonu.

Jak należało oczekiwać, pilnowano nas z wiktoriańską surowością. Ciotka Sadie i wuj Matthew na przemian dosłownie ani na chwilę nie spuszczały nas

z oczu; ponieważ ciotka Sadie lubiła odpoczywać po południu, wuj Matthew uroczyście zabierał nas do Izby Lordów, sadzał na Galerii Pań, a sam drzemał w tylnych ławkach naprzeciw. Kiedy nie spał w Parlamencie, co zdarzało się rzadko, był dla odpowiedzialnych za dyscyplinę skaraniem boskim; nigdy nie głosował dwa razy pod rząd z tą samą partią, niełatwo też dawało się rozeznąć w logice jego myślenia. Głosował na przykład za stalowymi wnykami, krwawymi łowami i gonitwą z przeszkodami, ale przeciwko wiwisekcji i eksportowi starych koni do Belgii. Z pewnością miał swój powód, jak to, zamykając kwestię, zauważyła ciotka Sadie, kiedy wspomnialiśmy o jego niekonsekwencji. Ja dość lubiłam te senne popołudnia w ciemnej gotyckiej sali, fascynowały mnie dochodzące cały czas pomruki i błazeństwa, poza tym można było usłyszeć od czasu do czasu naprawdę fascynujące przemówienie. Linda też te popołudnia lubiła; przebywała daleko, zajęta własnymi myślami. Wuj Matthew budził się w porze podwieczorku, prowadził nas do jadalni parów na herbatę i maślane babeczki, po czym zabierał nas do domu, żebyśmy odpoczęły i przebrały się na bal.

Czas od soboty do poniedziałku Radlettowie spędzali w Alconleigh, dokąd odjeżdżali swoim wielkim, wywołującym chorobę lokomocyjną daimlerem; ja natomiast w Shenley, gdzie ciotka Emily i Davey byli ciekawi każdego szczegółu ubiegłego tygodnia.

W owym czasie chyba głównie zajmowały nas stroje. Odkąd Linda poszła na parę pokazów mody i nabrała rozeznania, wszystkie suknie szyla u pani Josh i były one oryginalne i ładne w sposób, jakiego mnie nigdy nie udało się osiągnąć, chociaż moje, kupione w drogich sklepach, kosztowały mniej więcej pięć razy tyle. To pokazywało, mówił Davey, który odwiedzał nas, ilekroć tylko był w Londynie, że albo sprowadzasz stroje z Paryża, albo jest to ślepy traf. Linda miała jedną szczególnie oszałamiającą toaletę balową z całego mnóstwa bladoszarego tiulu, długą do ziemi. Tego lata nadal przeważały krótkie suknie i Linda wywoływała sensację, kiedy tylko pojawiała się w swoich jardach tiulu, do którego wuj Matthew zresztą odnosił się ze zdecydowaną dezaprobatą, jako że znał trzy kobiety, które spaliły się na śmierć w balowych sukniach z tiulu.

Linda miała tę suknię na sobie, gdy Tony oświadczył się jej w ogrodowej altanie na Berkeley Square o godzinie szóstej pięknego lipcowego poranka. Wrócił z Oksfordu mniej więcej dwa tygodnie wcześniej i wkrótce stało się jasne, że poza Lindą nie widzi świata. Chodził na wszystkie te same bale co ona i pokręciwszy się po sali z kilkoma innymi dziewczynami, zabierał Lindę na kolację, po czym nie odstępował jej na krok przez cały wieczór. Ciotka Sadie wydawała się niczego nie spostrzegać, ale dla całej reszty debiutanckiego świata rezultat był z góry przesądzony, pozostawało tylko pytanie, gdzie i kiedy Tony się oświadczy.

Bal, z którego się wymknęli (odbywał się w pięknym starym domu po wschodniej stronie Berkeley Square, od tego czasu wyburzonym), już dogorywał,



orkiestra sennie łupała swoje kawałki w niemal pustych pokojach; biedna ciotka Sadie przycupnięta na złocym krześle usiłowała utrzymać oczy otwarte i rozpaczliwie tęskniła do łóżka, a ja tkwiłam obok niej, śmiertelnie zmęczona i bardzo zmarznięta; wszyscy moi partnerzy dawno już udali się do domów. Nadszedł jasny dzień. Lindy nie było od paru godzin, wyglądało na to, że nikt jej nie widział od kolacji, ciotka Sadie, choć opanowana przemożną sennością, była zdenerwowana i dosyć poirytowana. Zaczęła się zastanawiać, czy Linda nie popełniła niewybaczalnego grzechu i nie poszła do nocnego klubu.

Raptem orkiestra się ożywiła i zaczęła grać *Johna Peela* jako preludium do *God Save the King*; Linda, w obłoku szarości, galopowała z Tonym w tę i z powrotem przez salę. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz, by domyślić się wszystkiego. Wsiadłyśmy do taksówki za ciotką Sadie (nigdy nie kazałyby szoferowi czekać przez całą noc), przemknęłyśmy w rozbryzgach wody obok wielkich szlauchów zmywających ulice, wspięłyśmy się po schodach do naszych sypialni i żadna przez cały czas nie przemówiła ani słowa. Cienkie, ukośne promienie słońca oświetlały kominy, kiedy otworzyłam okno. Zbyt zmęczona, by myśleć, padłam na łóżko.

Po tańcach pozwalano nam wstawać późno, choć ciotka Sadie zawsze już była przed dziewiątą na nogach i doglądała gospodarstwa. Kiedy zaspana Linda schodziła po schodach następnego ranka, wuj Matthew, wściekły, krzyknął do niej z hallu:

– Ten cholerny Szwab Kroesig telefonował przed chwilą, chciał z tobą rozmawiać! Kazałem mu się wynosić do diabła! Nie życzę sobie, żebyś się zadawała z jakimikolwiek Niemcami, zrozumiano?!

– Niestety zadaję się – odpowiedziała Linda, rzucając niby mimochodem, nonszalancko – tak się składa, że się z nim zaręczyłam.

W tym momencie ciotka Sadie wypadła ze swojego gabineczku na parterze, chwyciła wuja Matthew pod ramię i odciągnęła. Linda zamknęła się w swojej sypialni i płakała przez godzinę, a Jassy, Matt, Robin i ja rozważaliśmy w pokoju dzieciennym dalszy rozwój wypadków.

Zaręczyny napotkały wielki opór nie tylko ze strony wuja Matthew, głęboko rozczarowanego i zniesmaczonego wyborem Lindy, ale w równym stopniu ze strony sir Leicesterza Kroesiga. Ten w ogóle nie chciał, żeby Tony się żenił, póki nie zapewni sobie solidnej pozycji w City, a wtedy miał nadzieję na związek z inną dużą bankierską firmą. Gardził ziemiaństwem, uważając je za nieudolne, skończone, nieliczące się we współczesnym świecie, wiedział też, że olbrzymi, godny pozazdrosczenia kapitał, który takie rodziny niewątpliwie wciąż posiadały i którego tak głupio nie potrafiły wykorzystać, był zawsze jako majorat przekazywany najstarszemu synowi, i że bardzo niewielkie zabezpieczenia, jeśli

w ogóle, czyniono na rzecz posagów córek. Sir Leicester i wuj Matthew spotkali się, powzięli do siebie antypatię od pierwszego wejrzenia i okazali się zgodni w swojej determinacji, by do tego małżeństwa nie dopuścić. Tony'ego wysłano do Ameryki, do pracy w nowojorskim banku, a biedną Lindę, teraz, gdy sezon się skończył, zabrano do domu, by wypłakiwała serce w Alconleigh.

– Och, Jassy, kochana Jassy, pożycz mi swoje pieniądze na ucieczkę, żebym mogła pojechać do Nowego Jorku.

– Nie, Lindo. Oszczędzałam i odkładałam każdy grosz przez pięć lat, odkąd skończyłam lat siedem. Po prostu nie mogę zacząć teraz wszystkiego od nowa. Poza tym będę ich potrzebowała, kiedy sama ucieknę.

– Ale kochanie, zwrócę ci przecież, Tony ci zwróci, gdy się pobierzemy.

– Znam mężczyzn – oświadczyła Jassy ponuro.

Pozostała niewzruszona.

– Gdyby tylko lord Merlin był tutaj – westchnęła płaczliwie Linda. – On by mi pomógł.

Ale lord Merlin nadal przebywał we Włoszech.

Linda miała piętnaście szylingów sześć pensów całego majątku i musiała się zadowolić wypisywaniem codziennie do Tony'ego rozwlekłych elaboratów. W kieszeni nosiła pewną liczbę krótkich, nudnych listów pisanych niewyrobionym charakterem i noszących znaczki z Nowego Jorku.

Po kilku miesiącach Tony wrócił i oznajmił ojcu, że nie może zająć się pracą w biznesie czy bankowości ani w ogóle myśleć o przyszłej karierze, dopóki nie zostanie ustalona data jego ślubu. Była to właściwa droga, by przekonać sir Leicester. Wszystko, co tylko przeszkadzało w robieniu pieniędzy, musiało natychmiast zostać uregulowane. Jeśli Tony, który był rozsądnym chłopcem i nigdy przez całe swoje życie nie sprawił ojcu najmniejszego kłopotu, zapewnia go, że może poważnie zająć się bankowością dopiero, gdy się ożeni, to ożenić się musi i im prędzej, tym lepiej. Sir Leicester długo tłumaczył, jakie są jego zdaniem minusy tego związku. Tony w zasadzie przyznał mu rację, powiedział jednak, że Linda jest młoda, inteligentna, energiczna, że on ma na nią wielki wpływ i nie wątpi, iż ona okaże się ogromnym atutem. Sir Leicester wreszcie wyraził zgodę.

– Mogło być gorzej – powiedział. – W końcu ona jest damą.

Lady Kroesig rozpoczęła negocjacje z ciotką Sadie. Ponieważ Linda doprowadziła się do skrajnego wyniszczenia i zatruwała życie wszystkim naokoło swoim nieznośnym zachowaniem, ciotka Sadie po cichu przyjęła taki obrót spraw z wielką ulgą i przekonała wuja Matthew, że to małżeństwo, choć dalekie od ideału, było nieuchronne, i że jeśli nie chce alienować na zawsze swojego ulubionego dziecka, niech lepiej robi dobrą minę do złej gry.

– Uważam, że mogło być gorzej – powiedział niepewnie wuj Matthew –

przynajmniej facet nie jest katolikiem.

Zaręczyny zostały ogłoszone w „Timesie”. Kroesigowie zaprosili Radlettów do spędzenia dni od soboty do poniedziałku w ich domu pod Guildfordem. Lady Kroesig w liście do ciotki Sadie nazwała to weekendem i napisała, że miło będzie poznać się bliżej. Wuj Matthew wpadł we wściekłość. Jednym z jego dziwactw było nie tylko to, że nigdy nie zatrzymywał się w cudzych domach (chyba że bardzo rzadko u krewnych), ale że na dodatek traktował podobne zaproszenie jako śmiertelną obrazę. Gardził wyrażeniem „weekend” i prychnął sarkastycznie na pomysł, że miło będzie poznać się bliżej z Kroesigami. Kiedy ciotce Sadie udało się go nieco uspokoić, zasugerowała, żeby zamiast tego zaprosić rodzinę Kroesigów – ojca, matkę, córkę Marjorie oraz Tony’ego – na wizytę od soboty do poniedziałku w Alconleigh. Biedny wuj Matthew, przełknąwszy straszliwą gorycz zaręczyn Lindy, postanowił, trzeba mu oddać sprawiedliwość, robić dobrą minę do złej gry, i nie miał ochoty utrudniać jej stosunków z przyszłymi teściami. W głębi ducha bardzo szanował związki rodzinne i kiedy raz Bob i Jassy obmawiali kuzyna, którego wszyscy w rodzinie, łącznie z wujem Matthew, nie cierpieli, napadł na nich, stuknął ich mocno głowami i powiedział:

– Po pierwsze to krewny, a po drugie duchowny, więc zamknijcie się.

Weszło to na stałe do słownika Radlettów.

Zatem Kroesigowie zostali zaproszeni. Przyjęli zaproszenie i ustalono datę. Ciotka Sadie wpadła w panikę i zawezwała ciotkę Emily i Daveya. (Ja i tak przebywałam w Alconleigh ze względu na parotygodniowy sezon polowań). Louisa w Szkocji karmiła swoje drugie dziecko, ale miała nadzieję przyjechać później na ślub.

Przybycie czworga Kroesigów do Alconleigh nie wypadło zbyt fortunnie. Kiedy z podjazdu dało się słyszeć buczenie wysłanej po nich na stację limuzyny, zgasły wszystkie światła w całym domu – Davey przywiózł z sobą lampę UV, która wysadziła korki. Gości wprowadzano do hallu w egipskich ciemnościach, podczas gdy Logan w spiżarni poszukiwał po omacku świecy, a wuj Matthew gnał do bezpieczników. Lady Kroesig i ciotka Sadie gawędziły uprzejmie o tym i owym, Linda i Tony chichotali w kącie, sir Leicester podagryczną stopą wyrzwał w kant jadalnianego stołu, a ze szczytu schodów dobiegał przeprasający jęklivię głos niewidzialnego Daveya. Naprawdę było to ogromnie żenujące.

W końcu zapaliły się światła i wyłonili się Kroesigowie. Sir Leicester okazał się wysokim mężczyzną o jasnej cerze i siwych włosach, którego niezaprzeczalną urodę psuł pewien wyraz głupoty; jego żona i córka były to dwie przysadziste, pulchne damulki. Tony najwyraźniej wdał się w ojca, a Marjorie w matkę. Ciotka Sadie, wytrącona z równowagi nagłą przemianą w ciało i krew tego, co było tylko

głosami w ciemności, i czując się niezdolna do wynalezienia nowych tematów rozmowy, śpiesznie zaprowadziła ich na górę, żeby mogli odpocząć i przebrać się do kolacji. W Alconleigh niezmiennie uważano podróż z Londynu za doświadczenie ogromnie wyczerpujące, po którym przybyli potrzebowali wypoczynku.

– Co to za lampa? – wuj Matthew spytał Daveya, nieprzestającego przepraszać i nadal odzianego w ciasny szlafrok, który włożył do swojej słonecznej kąpieli.

– No wiesz, jak nie można strawić niczego w zimowych miesiącach.

– Ja tam mogę, niech cię dunder świśnie – odparł wuj Matthew. Skierowane do Daveya przekleństwo mogło ująć za wyrażenie pieszczotliwe.

– Wydaje ci się, że możesz, ale w rzeczywistości nie możesz. Ta lampa wysyła swoje promienie do twojego organizmu, twoje gruczoły zaczynają pracować i to, co jesz, znowu działa prozdrowotnie.

– W każdym razie nie wysyłaj więcej promieni, dopóki napięcie nie zostanie dostosowane. Kiedy w domu pełno cholernych Szwabów, człowiek chce widzieć, co u diabła kombinują.

Do kolacji Linda włożyła białą perkalową sukienkę z bardzo szeroką spódnicą i czarny koronkowy szal. Wyglądała absolutnie porywająco i sir Leicester był wyraźnie pod wrażeniem; lady Kroesig i panna Marjorie, w żorżecie i koronkach, pozornie nie zwróciły na tę kreację uwagi. Marjorie okazała się beznadziejnie nudną dziewczyną, kilka lat starszą od Tony'ego, której jak dotąd nie udało się wyjść za mąż i która zdawała się nie mieć żadnego biologicznego powodu egzystencji.

– Czy czytał pan *Braci*? – zagadnęła, by nawiązać konwersację lady Kroesig wuja Matthew, kiedy podano zupę.

– A co to jest?

– Nowa powieść Ursuli Langdok, *Bracia*, o dwóch braciach. Powinien pan to przeczytać.

– Droga pani, przeczytałem w życiu tylko jedną książkę, był to *Biały kiel*. Jest to książka tak fantastyczna, że nie zwracałem już sobie głowy żadną inną. Ale Davey czyta książki, załóż się, Davey, że czytałeś *Braci*.

– Bynajmniej – odburknął Davey.

– Pożyczę panu – zaproponowała lady Kroesig. – Mam ją ze sobą i skończyłam czytać w pociągu.

– Niech pani nigdy – przestrzegł ją Davey – nie czyta w pociągu. To bardzo męczy optyczne ośrodki wzrokowe, stwarza potworne obciążenie. Czy mógłbym zobaczyć menu? Muszę wyjaśnić, że jestem na nowej diecie, jeden posiłek biały, jeden czerwony. Bardzo mi to dobrze robi. Ojej, co za szkoda. Sadie! No tak, nie słucha, Loganie, czy mogę poprosić o jajko, bardzo krótko gotowane, wiecie jak.

To jest mój biały posiłek, a widzę, że mamy comber barani.

– Radzę ci, Davey, zjeść swój czerwony posiłek teraz, a biały na śniadanie – powiedział wuj Matthew. – Otworzyłem Mouton Rothschild, a wiem, że bardzo je lubisz. Otworzyłem je specjalnie dla ciebie.

– Och, to fatalnie – odparł Davey – ponieważ przypadkiem wiem, że na śniadanie są wędzone śledzie, a ja je uwielbiam. Co za okropna decyzja. Nie! Teraz musi być jajko z odrobiną reńskiego. Nigdy nie mógłbym wyrzec się wędzonych śledzi, są tak delikatne, tak lekkostrawne i przede wszystkim mają tyle protein.

– Wędzone śledzie – wtrącił się Bob – są brązowe.

– Brązowe liczy się jako czerwone. Chyba potrafisz to dostrzec.

Ale kiedy zaczęto obnosić krem czekoladowy, w dużych ilościach, choć nigdy całkiem wystarczających, gdy chłopcy byli w domu, okazało się, że liczy się jako biały. Radlettowie mieli często okazję zaobserwować, że nie można całkowicie polegać, iż Davey odmówi jakiejś potrawy, choćby i najbardziej niezdrowej, jeśli była naprawdę wyśmienita.

Ciotce Sadie szło jak po grudzie z sir Leicesterem. Zanudzał ją swoim entuzjazmem dla hodowli roślin i wszelkich spraw ogrodniczych, przekonany, iż ona w pełni ten entuzjazm podziela.

– Ile wy londyńczycy zawsze wiecie na temat ogrodów – zauważyła. – Musi pan porozmawiać z Daveyem, on się świetnie zna na ogrodnictwie.

– Prawdę mówiąc, nie uważam się za londyńczyka – powiedział sir Leicester z wyrzutem. – Pracuję w Londynie, ale dom mam w Surrey.

– Dla mnie – oświadczyła grzecznie, acz stanowczo ciotka Sadie – to to samo.

Wieczór zdawał się ciągnąć bez końca. Kroesigowie najwyraźniej marzyli o brydżu i nie bardzo mieli ochotę na pędzącego demona, zaproponowanego jako substytut. Sir Leicester napomknął, że miał męczący tydzień i właściwie powinien się wcześniej położyć.

– Nie wiem, jak wy, chłopaki, to wytrzymujecie – powiedział ze współczuciem wuj Matthew. – Załedwie wczoraj mówiłem dyrektorowi banku w Merlinford, że to musi być piekło nie życie, przez cały dzień pilnować pieniędzy innych facetów, nie wychodząc na powietrze.

Linda poszła zatelefonować do lorda Merlina, który właśnie wrócił z zagranicy. Tony poszedł za nią, długo ich nie było, wreszcie wrócili zarumienieni i z minami winowajców.

Następnego rana, gdy czekaliśmy w hallu na śledzie, które już zapowiedziały się niebiańskim zapachem, można było ujrzeć dwie tace wędrujące na górę, dla sir Leicesterera i lady Kroesig.

– No to już szczyt wszystkiego, niech mnie diabli! – wykrzyknął wuj Matthew. – Nigdy nie słyszałem, żeby mężczyzna jadł śniadanie w łóżku.

I tęsknie popatrzył na swój wojskowy szpadel.

Trochę się jednak udobruchał, kiedy goście zeszli na dół, tuż przed jedenastą, wyszykowani do kościoła. Wuj Matthew był filarem kościoła, czytał lekcje, wybierał hymny, chodził po kweście i lubił, żeby domownicy uczęszczali na nabożeństwo. Niestety, Kroesigowie okazali się przeklętymi bałwochwalcami, kiedy zwrócili się gwałtownie w stronę wschodu podczas credo. Krótko mówiąc, należeli do grona tych, którzy co robią, to źle, i westchnienia ulgi rozniosły się echem po domu, kiedy zdecydowali się wrócić do Londynu wieczornym pociągiem.

– Tony jest Spodkiem<sup>16</sup> Lindy, co? – zauważyłam z przygnębieniem.

Davey i ja szliśmy przez Kurzy Zagajnik następnego dnia. Davey zawsze wiedział, co się ma na myśli, była to jedna z jego miłych cech.

– Spodkiem – powiedział smutno. Uwielbiał Lindę.

– I nic jej nie obudzi?

– Nie, dopóki nie będzie za późno, obawiam się. Biedna Linda, ma intensywnie romantyczne usposobienie, co jest dla kobiety fatalne. Szczęśliwie dla kobiet, a i dla nas wszystkich, większość z nich jest obłądnie *terre à terre*<sup>17</sup>, inaczej świat przestałby istnieć.

Lord Merlin okazał więcej odwagi niż reszta z nas i powiedział bez ogródek, co myśli. Linda pojechała zobaczyć się z nim i spytała:

– Czy pan się cieszy z moich zaręczyn?

– Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego to robisz?

– Jestem zakochana – odpowiedziała dumnie Linda.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie myślę, wiem.

– Gadanie.

– Widocznie nie ma pan pojęcia o miłości, nie ma więc sensu rozmawiać z panem.

Lord Merlin bardzo się zirytował i powiedział, że niedojrzałe dziewczynki także nie mają pojęcia o miłości.

– Miłość – powiedział – jest dla ludzi dorosłych, co odkryjesz pewnego dnia. Odkryjesz też, że nie ma ona nic wspólnego z małżeństwem. Jestem jak najbardziej za tym, żebyś szybko wyszła za mąż, za rok czy dwa, ale na miłość boską i dla dobra nas wszystkich, nie wychodź za takiego nudziarza, jak Tony Kroesig.

– Jeśli on jest takim nudziarzem, to czemu go pan zaprosił?

– Nie zaprosiłem go. Dzidzia go przywiozła, bo Cecil miał grypę i nie mógł przyjechać. Poza tym nie mogę przewidywać, że poślubisz każdą zatkajdziurę, którą mam u siebie.

– Powinien pan być ostrożniejszy. W każdym razie nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że Tony jest nudziarzem, on zna się na wszystkim.

– O tak, niewątpliwie, zna się. A jak ci się podoba sir Leicester? A czy poznałaś lady Kroesig?

Ale rodzinę Kroesigów opromieniał w oczach Lindy blask doskonałości, jaki oświetlał Tony’ego, i nie chciała słuchać niczego przeciwko nim. Rozstała się z lordem Merlinem dość chłodno, wróciła do domu i ostro go skrytykowała. On ze swej strony czekał, żeby zobaczyć prezent ślubny podarowany jej przez sir Leicester. Okazało się, że to neseser ze świńskiej skóry z ciemnymi szylkretowymi wykończeniami, na których znajdowały się inicjały Lindy w złocie. Lord Merlin posłał jej neseser dwa razy większy, z marokinu, z wykończeniami z jasnego szylkretu, na których zamiast inicjałów wypisane było brylantami LINDA.

Lord Merlin rozpoczął szereg skierowanych przeciwko Kroesigom psikusów, z których ten miał być pierwszy.

Przygotowania do ślubu nie szły gładko. Kłopoty z intercyzą ciągnęły się w nieskończoność. Wuj Matthew, którego majątek zapewniał pewną sumę pieniędzy młodszym dzieciom do rozporządzenia według jego uznania, nie chciał – czemu trudno się dziwić – przepisywać niczego na Lindę kosztem pozostałych, skoro poślubiła syna milionera. Sir Leicester jednak odmówił zapisania choćby grosza, póki nie zrobi tego wuj Matthew – i tak nie palił się do uczynienia zapisu, mówiąc, że jest to wbrew polityce jego rodziny zamrażać kwoty pieniężne. W końcu, przez czysty upór, wuj Matthew uzyskał nędzną sumkę dla Lindy. Cała sprawa bardzo go zmartwiła i zdenerwowała oraz umocniła – jeśli w ogóle istniała jeszcze taka potrzeba – w jego nienawiści do rasy teutońskiej.

Tony i jego rodzice chcieli, żeby ślub odbył się w Londynie. Wuj Matthew oświadczył, że w życiu nie słyszał o czymś tak pospolitym i wulgarnym. Kobiety szły do ślubu ze swoich domów, modne śluby uważał za szczyt degradacji i odmawiał poprowadzenia swojej córki przez nawę kościoła św. Małgorzaty pośród tłumu gapiów. Kroesigowie tłumaczyli Lindzie, że jeśli będzie miała wiejskie wesele, otrzyma tylko połowę prezentów, jak również, że ważni, wpływowi ludzie, którzy mogą być później przydatni Tony’emu, nie pofatygują się do Gloucestershire w środku zimy. Linda była głucha na te wszystkie argumenty. Od czasu, kiedy planowała stanąć na ślubnym kobiercu z księciem Walii, miała mentalny obraz swojego ślubu, to jest czegoś tak teatralnego jak tylko możliwe, w wielkim kościele, z tłumami wewnątrz i na zewnątrz, fotografami, kaliami, tiulem, druhnami i licznym chórem śpiewającym jej ulubioną pieśń *Ostatni akord*. Trzymała więc z Kroesigami przeciwko biednemu wujowi Matthew i gdy los przeważał szalę na ich korzyść, wyłączając ogrzewanie w kościele w Alconleigh, ciotka Sadie wynajęła dom w Londynie i ślub z całą wulgarną pompą i rozgłosem



odbył się u św. Małgorzaty.

Wszystko razem przyczyniło się do tego, że nim jeszcze do ślubu Lindy doszło, jej rodzice i teściowie już ze sobą nie rozmawiali. Wuj Matthew zalewał się łzami przez całą ceremonię; wydawało się, że sir Leicester nie był nawet w stanie zapłakać.

Myślę, że małżeństwo Lindy prawie od początku było nieudane, ale prawdę mówiąc, nigdy nie wiedziałam o nim zbyt dużo. Jak zresztą nikt. Linda wyszła za mąż wbrew znacznemu oporowi, ów opór okazał się całkowicie uzasadniony i Linda, jak to Linda, doskonale nadrabiała miną, póki się dało.

Pobrali się w lutym, spędzili miesiąc miodowy na polowaniach w okolicach Melton, gdzie wynajęli dom, a po Wielkanocy osiedli na dobre na Bryanston Square. Tony rozpoczął pracę w dawnym banku ojca i podjął starania, by zapewnić sobie bezpieczny mandat w Izbie Gmin z ramienia Partii Konserwatywnej, którą to ambicję bardzo szybko zrealizował.

Bliższa znajomość z nowymi krewnymi nie skłoniła rodzin Radlettów i Kroesigów do zmiany wzajemnej o sobie opinii. Kroesigowie uważali Lindę za ekscentryczną, afektowaną i ekstrawagancką. Najgorsze było to, że nie wydawała się użyteczna dla kariery Tony'ego. Radlettowie uznali Tony'ego za pierwszej klasy nudziarza. Miał zwyczaj wybrać sobie jakiś temat i krążyć wokół niego niczym niedokładny bombardier wokół swego celu, nigdy niezdolny trafić; znał masę beznadziejnie nudnych faktów i nie wahał się informować o nich swoich rozmówców, bardzo rozwlekł i bardzo szczegółowo, nie zwracając uwagi, czy ich to interesuje, czy nie. Był niemiłosiernie zasadniczy, nie śmiał się już z żartów Lindy, a dobry humor, którym zdawał się tryskać na początku ich znajomości, należało chyba przypisać młodości, trunkom i dobremu zdrowiu. Obecnie, gdy dorósł i się ożenił, odciął się zdecydowanie od wszystkich trzech, dnię spędzał w banku, a wieczory w Westminsterze; nigdy nie pozwalał sobie na żadne rozrywki ani nie zażywał świeżego powietrza; ujawniło się jego prawdziwe oblicze i okazał się nadętym, chciwym na pieniądze osłem, z każdym dniem coraz bardziej przypominającym swojego ojca.

Linda zawiodła jego nadzieje i nie okazała się atutem. Biedna Linda nie była w stanie zrozumieć punktu widzenia Kroesigów; mimo że starała się jak mogła (a na początku starała się bardzo usilnie, pragnąc gorąco ich zadowolić), pozostał on dla niej niepojęty. Rzecz w tym, że po raz pierwszy w życiu zetknęła się twarzą w twarz z burżuazyjnym sposobem myślenia i że los, który wuj Matthew tak często przewidywał dla mnie jako rezultat mojej mieszczańskiej edukacji, przypadł w udziale jej. Wskazywały na to wszystkie zewnętrzne i widome oznaki, które tak postponował – Kroesigowie mówili blok listowy, weekend i lunch, nawet nakłaniali ją do nazywania ich mamusią i tatusiem, czemu w pierwszym porywie miłości uległa, żeby potem spędzić resztę życia małżeńskiego na próbach omijania tego przez zwracanie się do nich bezosobowo w bezpośrednim kontakcie oraz komunikując się za pomocą pocztówki lub telegramu. Byli merkantylni do szpiku

kości, na wszystko patrzyli przez pryzmat pieniędzy. Stanowiły ich barierę, ich obronę, nadzieję na przyszłość, oparcie w teraźniejszości, wynosiły ich ponad bliźnich, dzięki nim odpędzali zło. Szanowali wyłącznie te cechy umysłu, które produkowały pieniądze w wystarczających ilościach, było to dla nich jedyne kryterium sukcesu, potęga i chwała. Powiedzieć o kimś, że jest biedny, znaczyło napiętnować go jako szuję, źle pracującego, leniwego, nieudolnego, niemoralnego człowieka. Jeśli chodziło o kogoś, kogo w istocie raczej lubili wbrew owemu rakowi, mogli dodać, że miał pecha. Przedsięwzięli wielorakie środki ostrożności, by zabezpieczyć się przed tym śmiertelnym złem. Żeby nie zostać pokonanym przez takie kataklizmy, nad którymi nie ma się kontroli, jak wojna czy rewolucja, umieścili olbrzymie sumy w kilkunastu różnych krajach; posiadali rancza i hacjendy, i farmy w Afryce Południowej, hotel w Szwajcarii, plantację na Malajach, a także liczne wspaniałe brylanty; i nie błyszczały one bynajmniej na ślicznej szyi Lindy, ale spoczywały w sejfach bankowych w formie luźnych kamieni, łatwych do przeniesienia.

Wychowanie Lindy sprawiało, że nic z tego wszystkiego nie rozumiała; pieniądze to temat, którego nigdy się w Alconleigh nie poruszało. Wuj Matthew posiadał bez wątpienia duże dochody, ale pochodziły one z ziemi, były ulokowane w ziemi i w znacznym procencie do ziemi wracały. Jego ziemia była dla niego czymś świętym, a jeszcze bardziej święta była Anglia. Jeśli nieszczęście spadłoby na jego kraj, zostałby i je dzielił, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby się ratować i zostawić starą Anglię w biedzie. On, jego rodzina i jego posiadłości były jej częścią i ona była jego częścią na zawsze. Później, kiedy na horyzoncie pojawiła się możliwość wojny, Tony próbował go przekonać, aby część pieniędzy przesłał do Ameryki.

– Po co? – zapytał wuj Matthew.

– Może mieć pan ochotę sam tam pojechać albo wysłać dzieci. Zawsze dobrze mieć...

– Może jestem stary, ale nadal potrafię strzelać – odparował wuj Matthew z wściekłością – i nie mam żadnych dzieci... jeśli chodzi o walkę, oni wszyscy są dorośli.

– Victoria...

– Victoria ma trzynaście lat. Spełni swój obowiązek. Mam nadzieję, że jeśli jacyś cholerni cudzoziemcy kiedykolwiek tu przyjdą, to każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko będą z nimi walczyć tak długo, aż jedna lub druga strona zostanie zmieciona z powierzchni ziemi. Zresztą nienawidzę zagranicy, nic nie mogłoby mnie skłonić, żeby tam mieszkać, raczej zamieszkałbym w chacie leśniczego w Kurzym Zagajniku, a co do cudzoziemców, to wszyscy oni są tacy sami, wszyscy przyprowadzają mnie o młodości – oświadczył dobitnie, patrząc spode łba na Tony'ego, który nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, tylko perorował dalej

o tym, jakim to sprytem się wykazał, transferując rozmaite fundusze w rozmaite miejsca. Tony zawsze pozostawał doskonale nieświadomy antypatii, jaką darzył go wuj Matthew, i rzeczywiście zachowanie wuja było tak ekscentryczne, że niełatwo było komuś tak gruboskórnemu jak Tony odróżnić jego traktowanie osób, które kochał, od traktowania tych, których nie kochał.

Na pierwsze urodziny po ślubie sir Leicester dał Lindzie czek na tysiąc funtów. Była zachwycona i wydała je tego samego dnia na naszyjnik z dużych pereł połówkowych okolonych rubinami, który od pewnego czasu podziwiała w sklepie jubilerskim na Bond Street. Kroesigowie urządzili na jej cześć małą rodzinną kolację u siebie, Tony miał przyjść do rodziców prosto z pracy i tam się z nią spotkać. Linda przybyła ubrana w bardzo prostą białą satynową suknię z głębokim dekoltem i w naszyjniku, podeszła prosto do sir Leicesterera i powiedziała:

– Och, to bardzo miłe z twojej strony, że dałeś mi taki wspaniały prezent... popatrz...

Sir Leicester osłupiał.

– Czy wydałaś na to całą sumę, którą ci posłałem? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Linda. – Pomyślałam, że będziesz chciał, żebym kupiła za to jedną rzecz i zawsze pamiętała, że to prezent od ciebie.

– Nie, kochanie. Wcale nie takie były moje intencje. Tysiąc funtów można by nazwać kapitałem, czyli czymś, co powinno przynieść procent. Nie powinnaś wydawać tego na błyskotkę, którą włożysz parę razy w roku i która raczej na pewno nie zyska na wartości. (Nawiasem mówiąc, jeśli kupujesz klejnoty, niech to zawsze będą brylanty – rubiny i perły zbyt łatwo podrobić, nie utrzymają swojej ceny). Ale, jak powiadam, liczy się procent. Mogłaś więc albo poprosić Tony'ego, żeby to dla ciebie zainwestował, albo, i o to mi głównie chodziło, wydać to na podejmowanie ważnych ludzi, którzy byliby użyteczni dla jego kariery.

Ci ważni ludzie stanowili wieczne utrapienie biednej Lindy. Kroesigowie niezmiennie uważali, że Linda jest wielką przeszkodą dla kariery Tony'ego, i w polityce, i w City, ponieważ, choć próbowała ze wszystkich sił, nie potrafiła ukryć, jak nudni owi ważni ludzie się jej wydawali. Podobnie jak ciotka Sadie umiała osłonić się chmurą znużenia przy najmniejszej prowokacji, jej spojrzenie stawało się puste, sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Ważni ludzie tego nie lubili, nie byli do tego przyzwyczajeni; lubili, kiedy młodzi ludzie, łaskawie zaszczytzeni ich towarzystwem, zajmowali się nimi i słuchali ich w nabożnym skupieniu. Z powodu ziewnięć Lindy, a także Tony'ego raczącego ich informacjami, ilu kapitanów portu jest na Wyspach Brytyjskich, ważni ludzie skłonni byli unikać młodych Kroesigów. Starzy Kroesigowie głęboko ubolewali nad takim stanem rzeczy, za który obwiniali Lindę. Widzieli, że nie przejawia ona najmniejszego zainteresowania pracą Tony'ego. Na początku próbowała, ale to

przekraczało jej zdolności pojmowania; po prostu nie rozumiała, jak ktoś, kto posiada już masę pieniędzy, może, po to tylko, żeby zarobić ich jeszcze więcej, ignorować boskie świeże powietrze i niebieskie niebo, wiosnę, lato, jesień, zimę, pozwalając im przechodzić jedna w drugą bez świadomości, że przemijają. Była o wiele za młoda, by interesować się polityką, która zresztą, zanim pojawił się Hitler i ją ożywił, stanowiła rozrywkę wielce ezoteryczną.

– Twój ojciec był zły – powiedziała do Tony’ego, gdy wracali po kolacji do domu. Sir Leicester mieszkał na Hyde Park Gardens, wieczór był piękny, więc szli piechotą.

– Nie dziwię się – oparł krótko Tony.

– Ale spójrz, kochanie, jaki ładny jest ten naszyjnik. Nie widzisz, że niemożliwością było się oprzeć?

– Jesteś tak afektowana. Spróbuj może zachowywać się jak dorosła, co?

Pierwszej jesieni po ślubie Lindy ciotka Emily wynajęła niewielki dom na St Leonard’s Terrace, w którym zamieszkała ze mną i Daveyem. Ciocia nie czuła się najlepiej, Davey więc uznał, że dobrze jej zrobi oderwanie się od wiejskich obowiązków i wypoczynek, a żadna kobieta nigdy nie wypocznie w domu. Jego powieść *Frezarka* właśnie się ukazała i cieszyła się wielkim powodzeniem w intelektualnych kręgach. Było to psychofizjologiczne studium zdobywcy bieguna południowego, który uwięziony w chacie zasypanej śniegiem wie, że musi prędzej czy później umrzeć; racje żywności wystarczą mu na parę miesięcy. W końcu umiera. Daveya fascynowały wyprawy polarne; lubił obserwować z bezpiecznego dystansu, ile może wytrzymać ciało żywione wyłącznie pokarmami całkowicie niestrawnymi, pozbawionymi witamin.

– Pemmikan – powiadał z satysfakcją, zjadając się wybornym jedzeniem, z którego słynęła kucharka ciotki Emily – musiał być dla nich taki szkodliwy.

Ciotka Emily, wyrwana z rutyny swojego życia w Shenley, odnowiła stare znajomości, urządziła nam przyjęcia i tak dobrze się bawiła, że zaczęła napomykać o spędzaniu pół każdego roku w Londynie. Co do mnie, nigdy przedtem ani potem nie czułam się tak szczęśliwa. Sezon londyński, który spędziłyśmy z Lindą, dostarczył nam tyle frajdy, ile to tylko możliwe; byłoby nieprawdą, a także niewdzięcznością wobec ciotki Sadie zaprzeczać temu; ale to wszystko wydawało się dziwnie nierealne, czuło się, że ma niewiele wspólnego z życiem. Teraz stałam mocno na ziemi obiema nogami. Mogłam robić, co chciałam, widywać, kogo mi się podobało, o każdej porze, spokojnie, naturalnie, bez łamania zasad; cudownie było przyprowadzać przyjaciół do domu, wiedząc, że będą powitani życzliwie, choć nieco obojętnie przez Daveya, zamiast wprowadzać ich po kryjomu tylnymi schodami w obawie przed awanturą w hallu.

W tym radosnym okresie zaręczyłam się z Alfredem Winchamem, wtedy

młodym nauczycielem akademickim, a obecnie przewodniczącym kolegium św. Piotra w Oksfordzie. Z tym miłym naukowcem żyłam odtąd szczęśliwie, znajdując w naszym oksfordzkim domu tę przystań chroniącą od burz i łamigłówek życia, której zawsze pragnęłam. Tutaj nic więcej o nim nie powiem – to historia Lindy, nie moja.

Lindę właśnie wtedy widywaliśmy bardzo często; wpadała i gawędziła godzinami. Nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej, chociaż czułam, że budzi się już ze swojego transu Tytanii, jednak najwyraźniej czuła się samotna, jako że jej mąż całe dni spędzał w pracy, a wieczory w Parlamencie. Lord Merlin przebywał za granicą, a na razie nie miała żadnych innych bliskich przyjaciół; brakowało jej ruchu, wesołego rozgardiaszu i godzin bezcelowej paplaniny, z których składało się życie rodzinne w Alconleigh. Przypominałam jej, jak bardzo, będąc tam, marzyła, żeby się wyrwać; przyznawała dość niepewnie, że świetnie jest być u siebie. Bardzo ucieszyła się moimi zaręczynami i polubiła Alfreda.

– Ma takie poważne, mądre spojrzenie – powiedziała. – Jakie śliczne czarniutkie dzieci będziecie mieli, oboje jesteście tacy śniadzi.

On nie przepadał za nią, podejrzewał, że potrafi być bezwzględna, ona zaś, muszę przyznać, że raczej ku mojej uldze, nigdy nie próbowała go oczarować, tak jak oczarowała Daveya i lorda Merlina.

Pewnego dnia, kiedy zajęci byliśmy przygotowaniem zaproszeń na ślub, przyszła i oznajmiła:

– Jestem z brzuchem, co wy na to?

– Obrzydliwe wyrażenie, Lindo kochanie – powiedziała ciotka Sadie – ale chyba musimy ci powinszować.

– Chyba tak – zgodziła się Linda. Opadła na krzesło z bardzo głębokim westchnieniem. – Czuję się okropnie, muszę przyznać.

– Ale pomyśl, jak będzie to korzystne na dłuższą metę – w głosie Daveya słychać było zazdrość – takie gruntowne oczyszczenie.

– Dobrze rozumiem, co masz na myśli – powiedziała Linda. – Och, mamy przed sobą taki okropny wieczór. Jacyś ważni Amerykanie. Tony chyba chce zawrzeć jakąś umowę, czy coś w tym guście, a ci Amerykanie zawrą tę umowę tylko wtedy, jeśli ja im się spodobam. Potraficie to wytłumaczyć? Wiem, że ich obrzygam i mój teść będzie wściekły. Och, przekleństwo ważnych ludzi, macie szczęście, że nie znacie żadnych.

Dziecko Lindy, dziewczynka, urodziło się w maju. Linda chorowała długo przed porodem i bardzo w połogu. Lekarze orzekli, że nie wolno jej mieć następnego dziecka, że to niemal na pewno by ją zabiło. Był to cios dla Kroesigów, wydaje się bowiem, że bankierzy jak królowie potrzebują wielu synów, ale Linda najwyraźniej w ogóle się tym nie przejęła. Nie wykazywała najmniejszego

zainteresowania dzieckiem, które urodziła. Poszłam ją odwiedzić, kiedy już było wolno. Leżała w ukwieconej alkowie wśród róż i wyglądała jak na katafalku. Sama spodziewałam się dziecka i naturalnie bardzo interesowało mnie niemowlę Lindy.

– Jak ją nazwiesz, a w ogóle gdzie ona jest?

– W pokoju pielęgniarki. Wrzeszczy. Chyba Moira.

– Nie Moira, kochanie, nie możesz tak jej nazwać. W życiu nie słyszałam równie okropnego imienia.

– Tony’emu się podoba, miał siostrę, która nazywała się Moira i która umarła, i jak myślisz, czego się dowiedziałam (nie od niego, ale od ich starej niani)? Umarła, bo kiedy miała cztery miesiące, Marjorie stuknęła ją młotkiem w głowę. Czy to nie jest ciekawe twoim zdaniem? A oni mówią, że my jesteśmy nieopanowaną rodziną, a przecież nawet papa nigdy nie zamordował nikogo, chyba że liczysz tego naganiacza.

– Wszystko jedno, nie rozumiem, jak możesz obciążyć to małe biedactwo takim imieniem, to okrutne.

– Wcale nie, jeśli się nad tym zastanowić. Będzie musiała dorosnąć do Moiry, jeżeli Kroesigowie mają ją polubić (zauważyłam, że ludzie zawsze dorastają do swoich imion), a lepiej, żeby ją polubili, bo ja, szczerze mówiąc, jej nie lubię.

– Lindo, jak możesz być taka wstrętna, poza tym nie możesz wiedzieć już teraz, czy będziesz ją lubiła, czy nie.

– Owszem, mogę. Zawsze wiem od początku, czy kogoś lubię, czy nie, a Moiry nie lubię i koniec. Straszny z niej anty-Hons, przekonasz się, kiedy ją zobaczysz.

W tym momencie weszła pielęgniarka i Linda nas przedstawiła.

– To pani jest tą kuzynką, o której tyle słyszę – powiedziała. – Pewnie chce pani zobaczyć dziecko.

Wyszła, po czym wróciła, niosąc Mojżeszowy koszyk, z którego rozlegało się głośnie zawodzenie.

– Biedactwo – powiedziała obojętnie Linda. – Naprawdę litościwiej jest nie patrzeć.

– Niech pani nie zwraca na nią uwagi – wtrąciła się pielęgniarka. – Udaje, że jest złą kobietą, ale to tylko poza.

Ja jednak zajrzałam do koszyka, w którego głębi, pośród falbanek i koronek, napotkałam spodziewany przerażający widok ryczącej pomarańczy w peruce czarnych, cienkich włosów.

– Czyż nie jest słodka – rozczuliła się pielęgniarka. – Niech pani popatrzy na te malutkie rączki.

Wzdrygnęłam się lekko i powiedziałam:

– Cóż, wiem, że to brzmi strasznie, ale nie przepadam za tak małymi

dziećmi. Jestem pewna, że za rok czy dwa będzie rozkoszna.

Zawodzenia osiągnęły teraz crescendo i cały pokój wypełnił się potwornym hałasem.

– Biedulka – skomentowała Linda. – Musiała chyba zobaczyć swoje odbicie w lustrze. Proszę ją zabrać, siostró.

Do pokoju wszedł Davey. Miał się tu ze mną spotkać, by mnie zawieźć na noc do Shenley. Pielęgniarka wróciła i przegoniła nas oboje, mówiąc, że Linda ma już dosyć. Gdy wyszliśmy z pokoju, który mieścił się w największej i najdroższej klinice w Londynie, przystanąłam, rozglądając się za windą.

– Tędy – powiedział Davey i dodał, chichocząc z lekkim zażenowaniem: – *Nourri dans le sérail, j'en connais les détours*<sup>18</sup>. O, jak się pani miewa, siostró Thesiger? Jak miło panią widzieć.

– Kapitan Warbeck! Muszę powiedzieć przełożonej, że pan tu jest.

Zajęło mi niemal godzinę wyciągnięcie Daveya z tego miejsca, w którym najwyraźniej czuł się jak w domu. Mam nadzieję, że nie sugeruję, by całe życie Daveya skupiało się wokół jego zdrowia. Był bardzo zajęty swoją pracą, pisaniem i redagowaniem magazynu literackiego, ale własne zdrowie stanowiło jego hobby, co rzucało się bardziej w oczy w jego wolnym czasie, kiedy ja widywałam go najczęściej. Jak on to celebrował! Traktował swoje ciało z czułą troskliwością, niczym farmer prosię, które nie rokuje zbyt wielu nadziei, jest najmniejsze w miocie, ale które trzeba jakimś sposobem przemienić w chlubę farmy. Ważył je, wystawiał na słońce, na powietrze, ćwiczył, stosował specjalne diety, nowe rodzaje patentowanej żywności i leków, wszystko na próżno. Nigdy nie przybrało ani uncji na wadze, nigdy nie stało się chlubą farmy, ale jakoś żyło, cieszyło się dobrymi rzeczami, cieszyło się życiem, chociaż padało ofiarą wstrząsów, których dziedzicem jest to nasze ciało<sup>19</sup>, a także innych, wyobrażonych wstrząsów, podczas których pielęgnowane było z niesłabnącą dbałością i niesłabnącą uwagą przez poczciwego farmera i jego żonę.

Ciotka Emily powiedziała kiedyś, kiedy wspomniałam jej o Lindzie i biednej Moirze:

– Jest za młoda. Nie wierzę, żeby bardzo młode matki kiedykolwiek nie widziały świata poza swoimi dziećmi. To starsze kobiety tak uwielbiają swoje dzieci, a może dla dzieci lepiej jest mieć młode, niewielbiące je matki i prowadzić bardziej osobne życie.

– Ale Linda po prostu jej nie znosi.

– To bardzo w stylu Lindy – wtrącił Davey. – Ona zawsze popada w skrajność.

– Ale robi wrażenie tak bardzo przygnębionej. Musisz przyznać, że to nie jest w jej stylu.



– Bardzo się przechorowała – przypomniała ciotka Emily. – Sadie była w rozpacz. Dwa razy myśleli, że umrze.

– Nie mów o tym – powiedział Davey. – Nie mogę sobie wyobrazić świata bez Lindy.

Mieszkając w Oksfordzie, zajęta mężem i młodą rodziną, mniej widywałam Lindę w następnych latach niż w jakimkolwiek innym okresie mojego życia. Nie miało to jednak wpływu na nasze stosunki, które pozostawały nadal niesłychanie bliskie, i kiedy już się spotkałyśmy, było tak, jakbyśmy widowały się codziennie. Od czasu do czasu zatrzymywałam się u niej w Londynie, a ona u mnie w Oksfordzie, regularnie też korespondowałyśmy. Będzie lepiej, jeśli od razu powiem, że jedyną rzeczą, o której nigdy ze mną nie mówiła, był rozpad jej małżeństwa; zresztą to i tak nie miało znaczenia, bo sprawa była tak jasna, jak to tylko możliwe w wypadku jakiegokolwiek małżeństwa. Najwyraźniej Tony okazał się niedostatecznie porywającym kochankiem, żeby choćby na początku zrekompensować braki w innych dziedzinach: nudę swojej obecności i przeciętność swojego charakteru. Linda odkochała się w nim, zanim jeszcze urodziło się dziecko, i potem nie obchodził już jej ani on, ani córka. Młody człowiek, w którym ulokowała swoje uczucia, przystojny, wesoły, inteligentny i dominujący, rozplynął się przy bliższej znajomości i okazał się chimerą, nieistniejącą poza jej wyobraźnią. Linda nie popełniła pospolitego grzechu, żeby winić Tony'ego za to, co było wyłącznie jej własną pomyłką, po prostu odwróciła się od niego z całkowitą obojętnością. Ułatwiał jej to fakt, że tak mało go widywała.

Lord Merlin postanowił teraz wypłatać Kroesigom potężnego psikusa. Zawsze narzekali, że Linda nigdzie nie bywa, nie urządza przyjęć, chyba że się ją przymusi, i nie dba o towarzystwo. Mówili swoim przyjaciółom, że to wiejska dziewczucha, której w głowie tylko polowania, że jeśli wejdzie się do jej salonu, zastanie się ją przyuczającą retriewera do tropienia zdechłych królików schowanych za poduszkami na sofie. Utrzymywali, że jest miłą, głupkowatą, piękną wieśniaczką, niezdolną pomóc biednemu Tony'emu, który musi sam walczyć o swoją pozycję w życiu. W tym wszystkim znalazłoby się ziarno prawdy, ponieważ krąg znajomych Kroesigów był nieopisanie nudny; biedna Linda, nie będąc w stanie się w tym odnaleźć, zaprzestała usiłowań i uciekła do przyjemniejszego towarzystwa retriewerów i orzesznic.

Lord Merlin, przyjechawszy do Londynu pierwszy raz od czasu ślubu Lindy, od razu wprowadził ją w swój świat, świat, w którego kierunku zawsze tęsknie spoglądała, świat modnej bohemy; i tutaj się odnalazła, była absolutnie szczęśliwa i odniosła natychmiastowy i wielki sukces. Promieniowała radością i bywała wszędzie. Nie ma bardziej popularnej osoby w londyńskim towarzystwie niż młoda, piękna, ale bez cienia wątpliwości porządna kobieta, którą można zaprosić na kolację bez męża, tak więc Linda bardzo szybko znalazła się na dobrej drodze

do tego, żeby przewróciło jej się w głowie. Fotografowie i plotkarscy dziennikarze podążali za nią krok w krok i istotnie trudno było uniknąć wrażenia – dopóki pół godziny spędzone w jej towarzystwie go nie rozwiało – że staje się trochę nudna. Jej dom od świtu do nocy wypełniali rozgadani ludzie. Linda, która uwielbiała paplać, znalazła wiele pokrewnych dusz w beztroskim, goniącym za rozrywką ówczesnym Londynie, kiedy to bezrobocie szalało zarówno wśród wyższych, jak i niższych klas. Młodzi mężczyźni, pensjonowani przez rodziny, które od czasu do czasu napomykały zdawkowo, że może dobrze by było, gdyby znaleźli jakąś pracę, jednak nie pomagały im rzeczywiście takową znaleźć (zresztą jaką pracę mógłby ktoś taki wykonywać?), gromadzili się wokół Lindy niczym pszczoły wokół miodu, bzz, bzz, bzz, ple, ple, ple. W jej sypialni, na jej łóżku, siedząc na zewnątrz na schodach, kiedy się kąpała, w kuchni, kiedy zamawiała jedzenie, na zakupach, spacerach po parku, w kinie, teatrze, operze, na balecie, obiedzie, kolacji, w nocnych klubach, na przyjęciach, dansingach, przez cały boży dzień, całą noc – nic tylko paplanie i paplanie.

– Ale jak myślisz, o czym oni mówią? – pytała z dezaprobatą ciotka Sadie.

O czym, rzeczywiście?

Tony szedł wcześniej do swojego banku, wypadał z domu z miną niesłychanie ważną, dyplomatką w dłoni tudzież plikiem gazet pod pachą. Jego wyjście zapowiadało rój gaduł, jak gdyby tylko czekali za rogiem, aż zniknie, po czym zaludniali dom. Byli bardzo sympatyczni, bardzo przystojni i zabawni, mieli znakomite maniery. Podczas moich krótkich wizyt w Londynie nigdy nie potrafiłam dokładnie ich rozróżnić, ale doceniałam ich urok, niezawodne witalność i fantazję. Jednakże, choćby nie wiem jak wysilić wyobraźnię, trudno byłoby ich nazwać „ważnymi”, więc Kroesigowie nie posiadali się z oburzenia na taki obrót spraw.

Natomiast Tony’emu chyba to nie przeszkadzało; dawno już uznał, że nie ma co liczyć na Lindę, jeśli chodzi o promowanie jego kariery, sprawiało mu też przyjemność i pochlebiało, że zyskała rozgłos jako piękność. „Piękna żona zdolnego młodego parlamentarzysty”. Poza tym zorientował się, że zapraszają ich na duże przyjęcia i bale, na które z ochotą uczęszczał, przychodząc późno z Parlamentu, i gdzie często bywali nie tylko nieważni przyjaciele Lindy, ale również jego koledzy, i to bynajmniej nie nieważni, których mógł przyszpilić i zanudzać przy barze. Nie było jednak sensu wyjaśniać tego starym Kroesigom, mającym głęboko zakorzenioną nieufność wobec modnego towarzystwa, dansingów i wszelkiej zabawy; ich zdaniem prowadziło to do ekstrawagancji i nie przynosiło żadnych korzyści materialnych. Szczęśliwie dla Lindy Tony w tym czasie był w nie najlepszych stosunkach z ojcem, ponieważ nie zgadzali się co do strategii działań w banku; młodzi nie chodzili na Hyde Park Gardens tak często, jak na początku małżeństwa, zawieszane też były na razie wizyty w Planes, posiadłości

Kroesigów w Surrey. Kiedy jednak do spotkania dochodziło, starzy Kroesigowie jasno dawali Lindzie do zrozumienia, że nie spełnia oczekiwań jako synowa. Przypisywali jej nawet winę za zmianę poglądów Tony'ego, a lady Kroesig mówiła swoim przyjaciółkom, smutno potrząsając głową, że Linda nie wydobywa z niego najlepszych cech.

Linda nadal trwoniła lata swojej młodości, nie osiągając niczego istotnego. Gdyby miała jakieś intelektualne zaplecze, to miejsce całej tej bezcelowej paplaniny, żartów i przyjęć mogłoby zająć poważne zainteresowanie sztuką czy lekturą; gdyby była szczęśliwa w małżeństwie, ta część jej natury, która pożądała towarzystwa, mogłaby znaleźć spełnienie przy dziecięcym kojcu; w tym jednak stanie rzeczy żyła blichtrzem i głupstwami.

Alfred i ja posprzeczailiśmy się kiedyś z Daveyem na jej temat i powiedzieliśmy mu to wszystko. Davey zarzucił nam, że jesteśmy strasznie zasadniczy, chociaż w głębi ducha musiał wiedzieć, że mamy rację.

– Ale Linda sprawia człowiekowi tyle radości – powtarzał w kółko. – Jest niczym bukiet kwiatów. Nie chciałoby się, żeby ktoś taki zagrzebał się w poważnych lekturach. Jaki byłby z tego pożytek?

Jednakże nawet on musiał przyznać, że jej postępowanie wobec biednej małej Moiry nie jest w porządku. (Dziecko było grube, jasnowłose, spokojne, nudne i opóźnione w rozwoju i Linda nadal go nie lubiła, natomiast Kroesigowie przepadali za wnuczką i małą, ze swoją nianią, spędzała coraz więcej czasu w Planes. Uwielbiali mieć ją u siebie, ale nie powstrzymywało ich to od krytykowania bez końca postępowania Lindy. Teraz mówili wszystkim, że jest ona głupim towarzyskim motylem, bez serca dla rodzzonego dziecka).

Alfred zauważył niemal gniewnie:

– Jakie to dziwne, że ona nawet nie ma romansów. Nie wiem, co ma z życia, musi ono być przeraźliwie puste.

Alfred lubił mieć ludzi skrupulatnie skatalogowanych pod nagłówkami, które rozumiał: karierowicz, nuworysz, cnotliwa żona i matka albo cudzołożnica.

Towarzyskie życie Lindy było zupełnie bezcelowe; po prostu gromadziła wokół siebie najróżniejszych sympatycznych ludzi, a to, czy byli milionerami czy nędzaczami, księżętami czy rumuńskimi uchodźcami, zupełnie jej nie obchodziło. Choć oprócz mnie i jej sióstr niemal wszyscy jej przyjaciele byli mężczyznami, uchodziła za tak cnotliwą, że podejrzewano ją aktualnie o miłość do własnego męża.

– Linda wierzy w miłość – powiedział Davey. – To gorąca romantyczka. Jestem przekonany, że w tej chwili podświadomie czeka na pokusę nie do odparcia. Przypadkowe romanse nie interesowałyby jej w najmniejszym stopniu. Można tylko mieć nadzieję, że wielka miłość nie okaże się następnym Spodkiem.

– Ona mi trochę przypomina moją matkę – zauważyłam. – A u niej wszyscy byli Spodkami.

– Biedna Narowista! – wykrzyknął Davey. – Ale teraz jest przecież szczęśliwa, ze swoim białym myśliwym<sup>20</sup>, no nie?

Tony stał się wkrótce, jak można było oczekiwać, istnym wcieleniem pompatyczności i z każdym dniem coraz bardziej przypominał swojego ojca. Miał pełno dalekosiężnych, śmiałych pomysłów na temat poprawy sytuacji kapitalistów i nie krył się bynajmniej z nienawiścią i brakiem zaufania do robotników.

– Nienawidzę klas niższych – oświadczył pewnego razu, kiedy Linda i ja piłyśmy z nim herbatę na tarasie Parlamentu. – Żarłoczne bestie usiłujące zabrać moje pieniądze. Niech no tylko spróbują.

– Och, przestań, Tony – powiedziała Linda, wyjmując orzesznicę z kieszeni i karmiąc ją okruchami. – Ja ich kocham, w końcu wychowałam się z nimi. Twój problem polega na tym, że nie znasz klas niższych, a nie należysz do klas wyższych, jesteś tylko bogatym cudzoziemcem, który przypadkiem tu żyje. Nikt, kto nie mieszkał na wsi, przynajmniej przez część swojego życia, nie powinien być w Parlamencie. Przecież mój stary papa wie znacznie lepiej, o czym mówi, kiedy przemawia w Parlamencie, niż ty.

– Mieszkałem na wsi – odparł Tony. – Schowaj tę orzesznicę, ludzie patrzą. Nigdy się nie złościł, był zbyt nadęty.

– Surrey – rzuciła Linda z nieskończoną pogardą.

– W każdym razie ostatnio, kiedy twój papa wygłosił mowę o damach, które miałyby zasiąść w Izbie Lordów, jedynym jego argumentem, żeby nie wpuszczać ich do Parlamentu, było to, że gdyby się tam znalazły, zapewne korzystałyby z toalety dla parów.

– Czyż on nie jest kochany!?! – wykrzyknęła Linda. – Możesz być pewien, że oni wszyscy tak myśleli, tylko on jeden odważył się to powiedzieć.

– To jest najgorsze w Parlamencie – ciągnął Tony. – Te kmiotki zabierające głos, kiedy tylko im przyjdzie ochota i przynoszące wstyd całej izbie kilkoma durnymi uwagami, które zyskują ogromny rozgłos i każą ludziom myśleć, że rządzi nami kupa wariatów. Ci starzy parowie powinni sobie zdać sprawę, że ich obowiązkiem wobec swojej klasy jest pozostać w domu i siedzieć cicho. Ilość wspaniałej, solidnej, koniecznej pracy wykonywanej w Izbie Lordów jest zupełnie nieznaną człowiekowi z ulicy.

Sir Leicester spodziewał się zostać wkrótce parem, stąd temat był bliski sercu Tony'ego. Zazwyczaj uważał, że ten, kogo nazywał człowiekiem z ulicy, powinien znajdować się nieustannie pod lufami karabinów maszynowych; ponieważ to stało się niemożliwe, ze względu na słabość w przeszłości wielkich wigowskich rodzin, należało go omamić fikcją, że wielkie reformy, które miała

wprowadzić Partia Konserwatywna, zawsze czekają tuż za rogiem. W ten sposób można było zapewnić sobie jego uległość w nieskończoność, o ile nie było wojny. Wojna brata ludzi i otwiera im oczy, należy jej unikać za wszelką cenę, a szczególnie wojny z Niemcami, gdzie Kroesigowie mieli interesy finansowe i wielu krewnych. (Byli z pochodzenia rodziną junkierską i snobowali się na swoje pruskie koneksje, podczas gdy tamci gardzili nimi za uprawianie mieszczańskiej profesji).

Sir Leicester i jego syn byli obaj wielkimi admiratorami Herr Hitlera: sir Leicester odwiedził go podczas swojej wizyty w Niemczech i został zabrany na przejażdżkę mercedesem przez doktora Schachta.

Linda nie interesowała się polityką, niemniej była instynktownie i nieracjonalnie proangielska. Nie wątpiła, że jeden Anglik wart jest stu cudzoziemców, podczas gdy Tony uważał, że jeden kapitalista wart jest stu robotników. Ich poglądy w tym względzie, jak i w wielu innych sprawach, różniły się zasadniczo.

Można to nazwać ciekawą ironią losu, że Christiana Talbota Linda poznała w domu swojego teścia w Surrey. Mała Moira, obecnie sześćioletnia, mieszkała teraz na stałe w Planes; wydawało się to dobrym rozwiązaniem, ponieważ zwalniało Lindę, nie lubiącą zajmować się gospodarstwem, z obowiązku prowadzenia dwóch domów, a jednocześnie pozwalało Moirze korzystać z błogosławieństw wiejskiego powietrza i jedzenia. Linda i Tony mieli tam spędzać dwie noce w tygodniu i Tony zazwyczaj spędzał. Linda tak naprawdę jeździła tam na niedzielę raz w miesiącu.

Planes to był okropny dom. Przypominał rodzaj przerośniętej chaty, to znaczy pokoje miał duże, ale ze wszystkimi wadami izb: niskimi sufitami, okienkami o romboidalnych szybkach, nierówną klepką i dużą ilością surowego, pełnego sęków drewna. Umieblowano go ani w dobrym, ani w złym stylu, po prostu bez silenia się na jakikolwiek styl, nie był też wcale szczególnie wygodny. Ogród wokół stanowiłby raj dla akwarelistki, rabaty obsadzone roślinami wieloletnimi, ogródki skalne i wodne urządzone z perfekcyjną wulgarnością popisywały się bogactwem olbrzymich i okropnych kwiatów, z których każdy wydawał się dwa razy większy, trzy razy jaskrawszy niż powinien być i, jeśli możliwe, innego koloru, niż przyroda zaplanowała. Trudno powiedzieć, czy było to bardziej kiczowate, bardziej przypominające pyszny technicolor na wiosnę, w lecie czy na jesieni. Jedynie w środku zimy przykryty łaskawym śniegiem ogród wtapiał się w krajobraz i dawał się znieść.

Pewnego sobotniego ranka w kwietniu 1937 roku Linda, u której zatrzymałam się w Londynie, zabrała mnie tam na wizytę z nocowaniem, jak to czasami robiła. Myślę, że chciała mieć bufor między sobą a Kroesigami, a może przede wszystkim między sobą a Moirą. Nawiasem mówiąc, starzy Kroesigowie ogromnie mnie lubili, a sir Leicester zabierał mnie czasem na spacer i napomykał, jak bardzo życzyłby sobie, żeby to mnie, tak poważną, tak wykształconą, taką dobrą żonę i matkę, Tony poślubił.

Mknęłyśmy samochodem, mijając po drodze ukwiecone akry.

– Wielka różnica – powiedziała Linda – między Surrey a prawdziwą, rzeczywistą wsią polega na tym, że kiedy w Surrey widzisz kwiecie, wiesz, że nie będzie z tego żadnych owoców. Pomyśl o dolinie Evesham, a potem popatrz na te jałowe różowości; odnosi się zupełnie inne wrażenie. Ogród w Planes będzie gąszczem bezpłodności, zobaczysz.

Był. Z trudem dawało się dostrzec piękną, bladą, jaśniejącą żółtozieloność wiosny, zdawało się, że każde drzewo całkowicie pokrywa masa różowej lub lilaróż bibułki. Żonkile rosły tak gęsto, że one też przysłaniały zieleni; należały do

nowych odmian o przerażających rozmiarach, były albo czysto białe, albo ciemnożółte, grube i mięsiste, wcale nie przypominały kruchych przyjaciół naszego dzieciństwa. Efekt ogólny nasuwał skojarzenie ze scenerią do komedii muzycznej, co dokładnie odpowiadało sir Leicesterowi, który na wsi zaskakująco dobrze odgrywał rolę starego angielskiego dziedzica. Malowniczy i rozkoszny obrazek.

Kiedy zajechałyśmy, grzebał w ogrodzie; ubrany w stare sztruksowe spodnie, tak na stare zaprojektowane, że wydawało się nieprawdopodobne, by kiedykolwiek były nowe, starą tweedową marynarkę w podobnym stylu, z sekatorem w dłoni, apatycznym corgi u nogi i łagodnym uśmiechem na ustach.

– Jesteście – powiedział serdecznie. (Niemal widziało się wychodzący jak w komiksach z jego głowy dymek z myślą: „Jesteś najbardziej niezadowolającą synową, ale nikt nie może powiedzieć, że to nasza wina, zawsze witamy cię miło i z uprzejmym uśmiechem”). Auto dobrze się sprawowało, mam nadzieję? Tony i Moira wybrali się na przejażdżkę konną, myślałem, że może ich minęłyście. Czyż ogród nie wygląda o tej porze roku wspaniale? Ciężko mi wyjeżdżać do Londynu i zostawiać całe to piękno, którego nikt nie będzie oglądał. Przejdźmy się trochę przed lunchem, Foster zajmie się waszymi rzeczami, zadzwoń do frontowych drzwi, Fanny, mógł nie usłyszeć samochodu.

Poprowadził nas do krainy Madame Butterfly.

– Muszę was ostrzec – zaznaczył – że będziemy mieć na lunchu raczej nieoszlifowany diament. Nie wiem, czy poznałyście kiedyś starego Talbota, który mieszka w wiosce, tego starego profesora? To jego syn, Christian. Jest trochę komunistą, bystry chłopak, który wybrał niewłaściwą drogę, i dziennikarz w jakiejś codziennej szmacie. Tony go nie znosi, nie cierpiał go już jako dziecko, i bardzo był na mnie zły, że go dzisiaj zaprosiłem, ale mnie się zawsze wydaje, że lepiej jest mieć kontakt z tymi lewicowcami. Jeśli ludzie tacy jak my są dla nich mili, można ich znakomicie oswoić.

Powiedział to tonem kogoś, kto przypuszczalnie ocalił życie komuniście podczas wojny i przez ten akt przemienił go, dzięki uczuciu wdzięczności, w prawdziwego błękitnego torysa. Ale w czasach pierwszej wojny światowej sir Leicester uznał, że z jego wybitnym umysłem szkoda go na mięso armatnie i zadekował się w biurze w Kairze. Ani nie ocalił, ani nie pozbawił nikogo życia, nie ryzykował też własnego, natomiast nawiązał wiele wartościowych kontaktów biznesowych, został majorem i otrzymał Order Imperium Brytyjskiego, w ten sposób wykorzystawszy w pełni wszystkie możliwości.

Christian zatem przyszedł na lunch i wykazał się absolutną nieustępliwością. Był niezwykle przystojnym młodym człowiekiem, wysokim blondynem, na zupełnie inną modłę niż Tony, chudym i bardzo angielskim. Jego ubranie wołało o pomstę do nieba – miał na sobie autentycznie stare flanelowe spodnie z wygryzionymi przez mole okrągłymi dziurami w najbardziej kłopotliwych



miejskach, był bez marynarki, we flanelowej koszuli, w której jeden rękaw był obszarpany i rozdarty od nadgarstka po łokieć.

– Czy twój ojciec coś ostatnio pisał? – zapytała lady Kroesig, kiedy zasiedliśmy do lunchu.

– Chyba tak – odpowiedział Christian – to w końcu jego zawód. Nie żebym go pytał, ale można przyjąć, że tak, tak jak można przyjąć, że Tony dokonywał ostatnio jakichś operacji bankowych.

Oparł na stole pomiędzy sobą a lady Kroesig łokieć prześwitujący przez rozdarcie i obracając się do Lindy, siedzącej po jego prawej stronie, zaczął jej relacjonować, długo i drobiazgowo, przedstawienie *Hamleta*, które niedawno widział w Moskwie. Kulturalni Kroesigowie słuchali w skupieniu, rzucając od czasu do czasu uwagi mające pokazać, że znają *Hamleta* dobrze: „Nie całkiem to się zgadza z moim wyobrażeniem Ofelii” albo: „Ale Poloniusz był starcem”; Christian puszczał to wszystko mimo uszu, ładując jedzenie do ust jedną ręką, z łokciem na stole i oczami utkwionymi w Lindzie.

Po lunchu zaproponował jej:

– Chodź na herbatę do mojego ojca, spodoba ci się.

Wyszli razem, zostawiając Kroesigów, którzy przez resztę popołudnia zachowywali się jak stado kur, które zobaczyły lisa.

Sir Leicester zaprowadził mnie do swojego ogrodu wodnego.

– Naprawdę to nieładnie ze strony Lindy. Mała Moira tak bardzo chciała jej pokazać swoje kucyki. To dziecko ubóstwia matkę.

Nie było to w najmniejszym stopniu prawdą. Moira, przywiązana do Tony’ego i całkowicie obojętna wobec Lindy, spokojna i flegmatyczna, nie była skłonna do ubóstwiania, ale przekonanie, że dzieci powinny ubóstwiać swoje matki, należało do creda Kroesigów.

– Czy znasz Pixie Townsend? – zapytał mnie nagle.

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Nic nie wiedziałam o Pixie Townsend. – Kto to?

– To bardzo sympatyczna osoba. – I zmienił temat.

Linda powróciła akurat na czas, żeby przebrać się do kolacji. Wyglądała przepięknie. Chciała, żebym przyszła pogadać z nią, kiedy brała kąpiel – Tony czytał Moirze na górze w dzieciennym pokoju sypialnym. Linda była zachwycona swoją wizytą. Ojciec Christiana, opowiadała, mieszka w najmniejszym domu, jaki można sobie wyobrazić, stanowiącym absolutny kontrast z tym, co Christian nazywał Kroesighof, bo chociaż naprawdę maciupki, nie miał w sobie nic z chaty, był wytworny i pełen książek. Książki zakrywały każdą dostępną przestrzeń na ścianach, piętrzyły się na stołach i krzesłach, leżały w stosach na podłodze. Pan Talbot stanowił dokładne przeciwieństwo sir Leicesterera, nie było w nim nic malowniczego ani nic, co wskazywałoby na uczonego, był energiczny i rzeczowy

i żartował sobie bardzo zabawnie z Daveya, którego dobrze znał.

– Jest absolutnie boski – powtarzała Linda z błyszczącymi oczami. Naprawdę chodziło jej o to, co widziałam aż nazbyt wyraźnie, że absolutnie boski jest Christian. Była nim olśniona. Odniosłam wrażenie, że on nie przestawał mówić, a jego przemowy stanowiły warianty jednej tezy; ulepszenia świata przez zmianę polityczną. Linda, odkąd wyszła za męża, była świadkiem niekończących się rozmów Tony’ego i jego znajomych o polityce, ale dotyczyły one wyłącznie spraw personalnych i posad. Ponieważ wszyscy ci rozmówcy wydawali jej się beznadziejnie starzy i nudni i zupełnie jej nie obchodziło, czy dostaną te posady, czy nie, uznała politykę za nudziarstwo i pograżała się w marzeniach, kiedy o niej dyskutowano. Ale polityka Christiana jej nie nudziła. Kiedy tego wieczora wracali z domu jego ojca, zabrał ją w podróż naokoło świata. Pokazał jej faszyzm we Włoszech, nazizm w Niemczech, wojnę domową w Hiszpanii, kulawy socjalizm we Francji, tyranię w Afryce, głód w Azji, reakcyjne tendencje w Ameryce i prawicową plagę w Anglii. Tylko ZSRR, Norwegia i Meksyk zasłużyły na skromną pochwałę.

Linda była śliwką dojrzałą do strącenia. Teraz drzewem potrząsnęto i spadła. Inteligentna i energiczna, ale bez ujścia dla swojej energii, nieszczęśliwa w małżeństwie, nieinteresująca się dzieckiem i gnębiona wewnątrz poczuciem bezsensu, była w nastroju, żeby albo zaangażować się w jakąś sprawę, albo wdać się w romans. A ponieważ sprawę reprezentował teraz atrakcyjny młody mężczyzna, zarówno niej, jak i jemu nie można się było oprzeć.

Biedni Radlettowie stanęli teraz niemal jednocześnie w obliczu kryzysu w życiu trojga dzieci. Linda uciekła od Tony'ego, Jassy uciekła z domu, a Matt uciekł z Eton. Radlettowie musieli stawić czoło faktowi, jak muszą to zrobić rodzice wcześniej czy później, że ich dzieci wymknęły się spod kontroli i przejęły panowanie nad własnym życiem. Zdenerwowani, mający im to za złe, nic nie byli w stanie poradzić; stali się widzami spektaklu, który nie sprawiał im najmniejszej przyjemności. Tego roku rodzice naszych rówieśników, jeśli sprawy ich dzieci nie toczyły się tak, jakby sobie życzyli, pocieszali się, mówiąc: „Trudno, pomyśl o biednych Radlettach”.

Linda odrzuciła dyskrecję i wszelką światową mądrość, którą udało jej się nabyć w latach spędzonych w londyńskim towarzystwie; stała się zdeklarowaną komunistką, zanudzała na śmierć i wprawiała w zażenowanie wszystkich naokoło, głosząc swoją nowo odkrytą doktrynę nie tylko przy obiedzie, ale również ze skrzynki w Hyde Parku tudzież innych równie nędznych mównic, aż wreszcie ku niewypowiedzianej uldze rodziny Kroesigów wyprowadziła się i zamieszkała z Christianem. Tony wszczął postępowanie rozwodowe. Był to ogromny cios dla mojego wujostwa. To prawda, że nigdy nie lubili Tony'ego, ale mieli stuprocentowo staroświeckie poglądy, małżeństwo to małżeństwo, a cudzołóstwo to zło. Ciotka Sadie była szczególnie głęboko wstrząśnięta beztroską, z jaką Linda porzuciła małą Moirę. Myślę, że zbyt jej to przypominało moją matkę i że widziała przyszłość Lindy jako serię niekontrolowanych ucieczek.

Linda przyjechała do Oksfordu zobaczyć się ze mną. Wracała do Londynu po wizycie w Alconleigh i powiadomieniu rodziców o swojej nowej sytuacji. Uważałam, że wykazała się wielką odwagą, czyniąc to osobiście, i istotnie przede wszystkim poprosiła o (całkiem do niej niepodobne) drinka. Była zupełnie wytrącona z równowagi.

– Boże – powiedziała – zapomniałam, jak przerażający potrafi być papa, nawet teraz, kiedy nie ma już nad człowiekiem żadnej władzy. Odbyło się to zupełnie tak jak po tym lunchu z Tonym. Też w gabinecie i on wprost ryczał, a biedna mama miała nieszczęśliwą minę, ale też była wściekła, a wiesz, że potrafi być sarkastyczna. No cóż, mam to za sobą. Kochanie, cudownie cię znowu widzieć.

Nie widziałyśmy się od czasu owej niedzieli w Planes, kiedy poznała Christiana, więc chciałam usłyszeć wszystko o jej życiu.

– No więc – zaczęła – mieszkam z Christianem w jego mieszkaniu, muszę jednak powiedzieć, że ono jest bardzo małe, co może i lepiej, bo ja się zajmuję domem i nie jestem w tym za dobra, na szczęście on jest.

– Cóż, musi – zauważyłam.

Linda słynęła w rodzinie z dwóch lewych rąk, nie potrafiła nawet zawiązać sobie halsztuka i w dniach polowań zawsze musiał jej w tym pomagać wuj Matthew albo Josh. Dobrze pamiętam Lindę stojącą przed lustrem w hallu i wuja Matthew próbującego od tyłu zawiązać jej halsztuk, oboje wyglądają na uosobienie koncentracji, a Linda mówi: „O, teraz widzę jak. Następnym razem już będę umiała”. Nigdy w życiu nawet nie posłała swojego łóżka, trudno mi więc było wyobrazić sobie, by mieszkanie Christiana mogło być wysprzątane czy wygodne, jeśli to ona się nim zajmowała.

– Jesteś okropna. Ale, och, co to za koszmar, chodzi mi o gotowanie. Ten piekarnik! Christian coś tam wkłada i mówi: „Wyjmij to mniej więcej za pół godziny”. Boję się mu powiedzieć, jaka jestem przerażona, i po pół godzinie zbieram się na odwagę i otwieram piekarnik, a tu w twarz bucha mi straszne gorąco. Nie dziwię się, że ludzie czasem wkładają tam głowę z czystej rozpaczy. O matko, chciałabym też, żebyś zobaczyła, jak odkurzacz mnie ciągnął, poniosł nagle i ruszył w kierunku szybu windy. Ale narobiłam krzyku, Christian ledwo zdążył mnie uratować. Wydaje mi się, że sprzątanie jest o wiele bardziej wyczerpujące niż polowanie, a jednak po polowaniu dostajemy jajka na podwieczorek i każą nam godzinami wypoczywać, a po sprzątaniu uważa się, że powinno się wszystko normalnie robić jak gdyby nigdy nic. – Westchnęła. – Christian jest bardzo silny i bardzo odważny. Nie lubi, gdy krzyczę.

Wyglądała na zmęczoną i dość strapioną. Próżno szukałam oznak wielkiego szczęścia czy wielkiej miłości.

– A co z Tonym, jak on to przyjął?

– O, on jest strasznie zadowolony, bo teraz może ożenić się ze swoją kochanką bez wywoływania skandalu czy ponoszenia winy za rozwód, czy narażania się Stowarzyszeniu Konserwatywnych Klubów.

Było to bardzo podobne do Lindy, że nigdy nie zająknęła się, iż Tony ma kochankę, nawet do mnie.

– Kim ona jest? – spytałam.

– Nazywa się Pixie Townsend. Znasz ten typ, młoda twarz, siwe włosy ufarbowane na niebiesko. Uwielbia Moirę, mieszka blisko Planes i co dzień jeździ z nią konno. Jest strasznym anty-Honsem, ale ja jestem głęboko wdzięczna, że istnieje, bo nie muszę się czuć w najmniejszym stopniu winna; oni wszyscy o wiele lepiej dają sobie radę beze mnie.

– Mężatka?

– O tak i rozwiodła się z mężem wieki temu. Świetnie się zna na wszystkim, co interesuje biednego Tony’ego, golfie, biznesie i konserwatyzmie, całkiem przeciwnie niż ja, i sir Leicester uważa ją za ideał. Będą szczęśliwi, nie ma obawy.

– Teraz bądź łaskawa powiedzieć mi coś więcej o Christianie.

– On jest boski. Wiesz, jest strasznie poważny, komunista, ja też teraz jestem

komunistką, przez cały dzień otaczają nas towarzysze, którzy są fantastycznymi Honsami, jest też anarchista. Towarzysze nie lubią anarchistów, czy to nie dziwne? Zawsze myślałam, że to jedno i to samo, ale tego akurat Christian lubi, ponieważ on rzucił bombę w króla Hiszpanii, musisz przyznać, że to romantyczne. Nazywa się Ramón, siedzi cały dzień i rozmyśla o górnikach w Oviedo, bo jego brat jest tam górnikiem.

– Tak, kochanie, ale opowiadaj o Christianie.

– O, on jest absolutnie boski, musisz przyjechać do nas, choć może to nie byłoby zbyt wygodne, musisz przyjechać i odwiedzić nas. Nie wyobrażasz sobie, co to za niezwykle człowiek, jest tak oderwany od innych ludzi, że prawie nie spostrzega, czy są, czy ich nie ma. Interesują go tylko idee.

– Mam nadzieję, że ty go interesujesz.

– Chyba tak, ale on jest bardzo dziwny i roztargniony. Muszę ci powiedzieć, że w wieczór przed tym, zanim z nim uciekłam (pojechałam tylko do Pimlico taksówką, ale ucieczka brzmi romantycznie) on był na kolacji z bratem, więc naturalnie sądziłam, że rozmawiać będą o mnie i omówią całą sprawę, toteż nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zadzwonić koło północy i zapytać: „Halo, kochanie, jak wam się udał wieczór i o czym rozmawialiście?”, a on powiedział: „Nie pamiętam, zdaje się o wojnie partyzanckiej”.

– Czy jego brat też jest komunistą?

– Och, nie, pracuje w Foreign Office. Strasznie napuszony, wygląda jak potwór z głębin morskich, no wiesz.

– Ach, ten Talbot, tak, rozumiem. Nie skojarzyłam ich. Więc jakie masz teraz plany?

– On mówi, że się ze mną ożeni, kiedy dostanę rozwód. Uważam, że to dość głupie, jestem skłonna zgodzić się z mamą, że jedno małżeństwo wystarczy, ale on mówi, że ja należę do tych osób, które się poślubia, jeśli się z nimi zamieszka, poza tym cudownie by było nie nazywać się już Kroesig. Nie wiem, zobaczymy.

– A jak wygląda twoje życie? Przypuszczam, że nie chodzisz teraz na przyjęcia i inne imprezy, co?

– Kochanie, takie zabójcze przyjęcia, nie wyobrażasz sobie, bo w ogóle nie pozwala, żebyśmy chodzili na normalne. Grandi wydawał kolację z tańcami w zeszłym tygodniu, sam do mnie zadzwonił i prosił, żebym przyprowadziła Christiana, nawiasem mówiąc, uważałam, że to bardzo miłe z jego strony, on zawsze był dla mnie miły, ale Christian się wściekł i powiedział, że jeśli nie widzę powodu, żeby nie iść, to niech idę, ale jego nic nie skłoni do pójścia. Więc w końcu oczywiście żadne z nas nie poszło, a potem słyszałam, że zabawa była świetna. Pewnie nie pójdziemy też do Ribów ani do... – Wymieniła kilka rodzin znanych zarówno z gościnności, jak i prawicowych przekonań. – Najgorsze w byciu komunistą jest to, że przyjęcia, na które można chodzić, są, no cóż, strasznie

zajmujące i wzruszające, ale niezbyt wesołe i odbywają się zawsze w takich ponurych miejscach. W przyszłym tygodniu, na przykład, mamy trzy: jacyś Czesi w Sacco and Vanzetti Memorial Hall w Golders Green, Etiopczycy w Paddington Baths i w sprawie chłopców ze Scottsboro w jakichś nudnych starych pomieszczeniach. No wiesz.

– Chłopcy ze Scottsboro? – wtrąciłam. – Czy ta sprawa rzeczywiście jest jeszcze aktualna? Musieli już się zestarzeć.

– Owszem i zainteresowanie nimi w towarzystwie bardzo osłabło – Linda zachichotała. – Pamiętam wprost fantastyczne przyjęcie, które zorganizował na ich cześć Brian, było to pierwsze przyjęcie, na które zabrał mnie Merlin, więc dobrze je pamiętam, och, ale to była frajda. Przyszły czwartek w żadnym razie nie będzie taki. (Kochanie, jestem nielojalna, ale to tak cudownie sobie poplotkować po tak długim czasie. Towarzysze są przemili, ale nigdy nie plotkują, cały czas przemawiają). Ale zawsze mówię Christianowi, jak bardzo bym chciała, żeby towarzysze albo troszeczkę rozweselili swoje przyjęcia, albo przestali je organizować, bo nie widzę sensu w smutnych przyjęciach, a ty? A osoby lewicowe są zawsze smutne, ponieważ straszliwie się przejmują sprawami, o które walczą, a te sprawy zawsze przyjmują zły obrót. Widzisz, założę się, że ci chłopcy ze Scottsboro skończą na krześle elektrycznym, to znaczy o ile wcześniej nie umrą ze starości. Człowiek jest całym sercem po ich stronie, ale to na nic, wygrywają zawsze tacy ludzie jak sir Leicester, więc co można zrobić? Jednak towarzysze chyba nie zdają sobie z tego sprawy i szczęśliwie dla siebie nie znają sir Leicester, uważają więc, że muszą nadal organizować te smutne przyjęcia.

– Jak się na nie ubierasz? – zapytałam z pewną ciekawością, myśląc, że Linda w swoich kosztownie wyglądających sukniach musi wydawać się zupełnie nie na miejscu w tych łaźniach i salkach.

– Wiesz, na początku to był wielki kłopot i okropnie się tym martwiłam, ale odkryłam, że jeśli nosi się wełnę lub bawełnę, wszystko jest w porządku. Jedwab i satyna byłyby gafą. Ponieważ ja zawsze noszę tylko wełnę lub bawełnę, więc liczy mi się na plus. Oczywiście żadnej biżuterii, ale i tak zostawiłam wszystko na Bryanston Square, tak mnie wychowano, choć muszę powiedzieć, że zrobiłam to z żalem. Christian nie zna się na biżuterii; powiedziałam mu, bo sądziłam, że będzie mu przyjemnie, jeśli się dowie, że zrezygnowałam z niej dla niego, ale on tylko powiedział: „Zawsze jest przecież Kompania Importu Klejnotów z Birmy”. Doprawdy, on jest taki zabawny, musisz znowu spotkać się z nim niedługo. No to lecę, kochanie, bardzo mi dobrze zrobiło, że się z tobą zobaczyłam.

Nie wiem dokładnie dlaczego, ale odniosłam wrażenie, że Linda jeszcze raz została zawiedziona w swoich uczuciach, że ta podróżniczka po piaszczystych bezkresach zobaczyła tylko kolejny miraż. Było jezioro, rosły drzewa, spragnione wielbłądy ruszyły napić się przed nocą; niestety, po paru krokach ukazał się tylko

kurz i pustynia, jak przedtem.

Kilka minut po wyjściu ode mnie Lindy, która udała się z powrotem do Londynu, Christiana i towarzyszy, zjawił się u mnie inny gość. Lord Merlin. Bardzo go lubiłam, podziwiałam, byłam jak najlepiej do niego nastawiona, ale w żadnym wypadku nie byłam z nim tak blisko jak Linda. Prawdę mówiąc, przerażał mnie. Bałam się, że w moim towarzystwie mógł w każdej chwili poczuć się znudzony i że niezależnie od wszystkiego istniałam dla niego tylko w powiązaniu z Lindą, nie sama przez się, najwyżej jako nudna żonka akademika. Byłam tylko powiernicą Lindy, niczym więcej.

– Bardzo to niefortunne – oznajmił szorstko i bez żadnych wstępów, mimo że nie widziałam go od kilku lat. – Właśnie wróciłem z Rzymu i co znajduję: Linda i Christian Talbot. Dziwne, że nie mogę wyjechać z Anglii, żeby Linda nie wplątała się w związek z jakimś kompletnie nieodpowiednim typem. To katastrofa, jak daleko to zaszło? Czy nic nie da się zrobić?

Powiedziałam mu, że minął się z Lindą i dodałam coś w tym sensie, że jej małżeństwo z Tonym nie było szczęśliwe. Lord Merlin zbył tę uwagę machnięciem ręki; ten lekceważący gest sprawił, że poczułam się jak idiotka.

– Jasne, że ona nigdy nie zostałaby z Tonym, nikt tego nie oczekiwał. Rzecz w tym, że spadła z deszczu pod dziurawą rynną. Ile to już trwa?

Powiedziałam, iż myślę, że częściowo komunizm ją przyciągnął.

– Linda zawsze potrzebowała sprawy.

– Sprawy – powiedział wzgardliwie. – Moja droga Fanny, chyba mylisz przyczynę ze skutkiem. Nie, Christian jest pociągającym facetem i doskonale rozumiem, że mógł stanowić dokładną przeciwwagę Tony'ego, ale to katastrofa. Jeśli jest w nim zakochana, on ją unieszczęśliwi, a jeśli nie, to znaczy, że wstąpiła na drogę twojej matki, a to dla Lindy byłoby fatalne. Nie widzę znikąd promyka nadziei. Oczywiście też żadnych pieniędzy, a ona potrzebuje pieniędzy, powinna je mieć.

Podszedł do okna i spojrzał na drugą stronę ulicy, na Christ Church ozłocony zachodnim słońcem.

– Znam Christiana – powiedział – od dziecka. Jego ojciec jest moim wielkim przyjacielem. Christian to człowiek, który idzie przez życie, nie oglądając się na nikogo. Ludzie w jego życiu się nie liczą. Kobiety, które się w nim kochały, bardzo cierpiały, bo on nawet nie zauważał, że są. Myślę, że nawet nie jest świadom, że Linda się do niego wprowadziła, żyje z głową w chmurach i ciągle ściga jakąś nową ideę.

– Linda to mniej więcej mówiła.

– Aa, więc już to spostrzegła? Nie jest głupia, a to oczywiście z początku czyniło go tym bardziej atrakcyjnym, kiedy zstępuje z tych chmur, trudno mu się

oprzeć, nie ulega to dla mnie wątpliwości. Ale jakim cudem mogliby sobie ułożyć życie? Christian nigdy nie miał domu, nie odczuwał też potrzeby, żeby go mieć; nie umiałby się w nim odnaleźć, dom by go ograniczał. Nigdy nie siądzie i nie pogada z Lindą, nie skupi na niej w żaden sposób uwagi, a ona jest kobietą, która potrzebuje przede wszystkim wyjątkowo dużo uwagi. Że też akurat musiałem wyjechać, kiedy to się stało, jestem pewien, że zdołałbym temu zapobiec. Teraz oczywiście nikt nie może nic poradzić.

Odwrócił się od okna i popatrzył na mnie tak gniewnie, że poczułam się, jakby to wszystko było moją winą – w gruncie rzeczy przypuszczam, że nie dostrzegał mojej obecności.

– Z czego oni żyją? – zapytał.

– Bardzo skromnie. Linda chyba dostaje niewielką sumkę od wuja Matthew, przypuszczam też, że Christian trochę zarabia swoimi artykułami w gazecie. Podobno Kroesigowie chodzą i opowiadają, że jedno jest w tym wszystkim dobre: ona niechybnie będzie przymierać głodem.

– Ach, tak opowiadają? – Lord Merlin wyjął notes. – Czy mogę prosić o adres Lindy? Jadę teraz do Londynu.

Wszedł Alfred, jak zwykle nieświadomy zewnętrznych wydarzeń i pochłonięty jakąś broszurą, którą pisał.

– Nie wie pan przypadkiem – zwrócił się do lorda Merlina – jakie jest dzienne spożycie mleka w Watykanie?

– Nie, oczywiście że nie – odparł z irytacją lord Merlin. – Niech pan spyta Tony’ego Kroesiga, on na pewno będzie wiedział. Do widzenia, Fanny, muszę zobaczyć, co mogę zrobić.

Zrobił mianowicie to, że obdarował Lindę tytułem własności do małego domku na końcu Cheyne Walk. Był to najładniejszy na świecie domek dla lalki, umiejscowiony na tym wielkim zakręcie rzeki, gdzie mieszkał Whistler. Wodne refleksy oraz południowe i zachodnie słońce oświetlały pokoje; domek porastała winorośl i miał balkon z żelazną balustradą. Linda go uwielbiała. Dom na Bryanston Square, zwrócony na wschód, pierwotnie był ciemny, zimny i pompatyczny. Po tym jak Linda przeprowadziła remont, zatrudniając jednego z przyjaciół, który zajmował się dekoracją wnętrz, stał się biały, zimny i przypominający grobowiec. Jedyną piękną rzeczą, jaką posiadała, był obraz kąpiącej się grubej kobiety pomidorowego koloru, подарowany jej przez lorda Merlina, żeby zezłościć Kroesigów. Rzeczywiście byli źli, i to bardzo. Ten obraz prezentował się wspaniale w domu na Cheyne Walk, z trudem dawało się odróżnić, gdzie kończą się rzeczywiste wodne refleksy, a gdzie zaczyna Renoir. Myślę, że Linda uważała, iż przyjemność, jaką czerpie ze swojego nowego otoczenia, ulgę z powodu pozbycia się raz na zawsze Kroesigów, zawdzięcza Christianowi. W ten sposób odkrycie, że prawdziwa miłość i szczęście znowu jej się wymknęły,



musiało jeszcze całkiem długo poczekać.

Radlettowie byli zszokowani i przerażeni całą sprawą z Lindą, ale musieli myśleć o innych dzieciach, a aktualnie planowali debiut ślicznej niczym obrazek Jassy. Mieli nadzieję, że ona wynagrodzi im rozczarowanie Lindą. Ogromnie niesprawiedliwe, choć bardzo typowe dla nich było to, że Louisa, która wyszła za mąż dokładnie po ich myśli i była wierną żoną oraz najpłodniejszą matką mającą już pięcioro dzieci, prawie przestała się liczyć. Szczerze mówiąc, dość ich nudziła.

Pod koniec londyńskiego sezonu, tuż po tym, gdy Linda zostawiła Tony'ego, Jassy poszła z ciotką Sadie na kilka tańców. Uważano, że jest dość delikatnego zdrowia, więc ciotka Sadie pomyślała, że lepiej będzie urządzić jej właściwy debiut podczas mniej wyczerpującego sezonu jesiennego i wynajęła w październiku niewielki dom w Londynie, do którego zamierzała się wprowadzić z kilkorgiem służby, pozostawiając wuja Matthew na wsi, żeby mógł upolować trochę ptactwa i zwierząt. Jassy bardzo narzekała, że młodzi ludzie, których spotykała dotychczas, są nudni i okropni, ale ciotka Sadie się tym nie przejęła. Powiedziała, że wszystkie dziewczęta tak myślą z początku, dopóki się nie zakochają.

Parę dni przed ich przeprowadzką do Londynu Jassy uciekła. Miała spędzić dwa tygodnie u Louisy w Szkocji, ale odwołała tę wizytę, nic nie mówiąc ciotce Sadie, wyjęła swoje oszczędności i zanim ktokolwiek się zorientował, że jej nie ma, przybyła do Ameryki. Biedna ciotka Sadie otrzymała ni stąd, ni zowąd telegram o treści: „W drodze do Hollywood. Nie martwcie się. Jassy”.

Z początku Radlettowie niczego nie rozumieli. Jassy nigdy nie przejawiała najmniejszego zainteresowania sceną czy kinem, byli pewni, że nie ma wcale ochoty zostać gwiazdą filmową, więc skąd ten Hollywood? Po czym przyszło im na myśl, że Matt może coś wiedzieć, jako że on i Jassy uchodzili w rodzinie za nierozłącznych. Ciotka Sadie zatem wsiadła do daimlera i pojechała do Eton. Matt był w stanie wszystko wyjaśnić. Poinformował ciotkę Sadie, że Jassy zakochała się w hollywoodzkim gwiazdorze Garym Coonie (czy Garym Goonie, nie pamiętał dokładnie) i napisała do niego, zapytując, czy jest żonaty; Mattowi oznajmiła, że jeśli nie, to ona jedzie prosto do Hollywood, żeby go poślubić. To wszystko, swoim rozstrojonym pół dorosłym, pół chłopięcym głosem, Matt relacjonował tak, jakby była to najzwyczajniejsza sytuacja pod słońcem.

– Więc przypuszczam – zakończył – że dostała list, że nie jest żonaty, i po prostu pojechała. Szczęściem miała te swoje odkładane na ucieczkę pieniądze. Może byśmy coś zjedli, mamó?

Ciotka Sadie, mimo że bardzo zajęta, znała reguły zachowania i wiedziała, czego się od niej oczekuje, została więc z Mattem na czas jego konsumpcji kielbasek, homarów, jajek, bekonu, smażonej soli, deseru bananowego i deseru

czekoladowego.

Jak zawsze w czasach kryzysu, Radlettowie i teraz posłali po Daveya, i jak zawsze Davey wykazał się pełną kompetencją w opanowaniu sytuacji. Błyskawicznie odkrył, że Cary Goon jest drugorzędnym aktorem filmowym, którego Jassy musiała zobaczyć, kiedy pojechała do Londynu na ostatnie letnie tańce. Występował w granym wtedy filmie *One Splendid Hour*. Davey zdobył ten film i lord Merlin wyświetlił go dla rodziny Jassy w swoim prywatnym kinie. Film opowiadał o piratach, a Cary Goon nie był nawet jego bohaterem, ale jednym z piratów, nie dało się też dostrzec w nim jakichś szczególnych zalet – ani urody, ani talentu, ani zauważalnego uroku, chociaż pokazał pewną zwinność we wdrapywaniu się i zsuwaniu po linach. Zabił też człowieka narzędziem przypominającym nieco wojskowy szpadel, co mogło, naszym zdaniem, wzbudzić pewne dziedziczne sentymenty w piersiach Jassy. Film należał do gatunku tych, z których przeciętnemu Anglikowi – w przeciwieństwie do kinomana – trudno cokolwiek wyrozumieć, za każdym więc razem, gdy na ekranie pojawiał się Cary Goon, trzeba było powtarzać scenę dla wuja Matthew, który przybył z postanowieniem, że żaden detal mu nie umknie. Całkowicie utożsamiał aktora z rolą i powtarzał:

– Po co facet to robi? Co za kretyn, czy nie widzi, że tu może być zasadzka? Nie słyszę ani słowa, co on gada, puść jeszcze raz ten kawałek, Merlin.

Na końcu oświadczył, że jest marnej opinii o tym gościu, najwyraźniej nie ma on żadnej dyscypliny i zachowywał się bardzo impertynencko wobec swojego dowódcy.

– Powinien się ostrzyc! Nie zdziwiłbym się też, gdyby pił.

Wuj Matthew całkiem grzecznie przywitał się i pożegnał z lordem Merlinem. Naprawdę wyglądało na to, że z wiekiem i pod wpływem zmartwień łagodnieje.

Po długich naradach zdecydowano, że ktoś z rodziny, nie ciotka Sadie ani wuj Matthew, będzie musiał pojechać do Hollywood i przywieźć Jassy. Ale kto? Oczywiście osoba, Linda, popadła w niełaskę i w dodatku była zajęta własnym życiem. Co za sens zresztą posyłać jedną narowistą, żeby sprowadziła drugą, tak więc należało znaleźć kogoś innego. W końcu, po namowach („bardzo nie na rękę właśnie w tej chwili, gdy rozpocząłem ten kurs *piqûres*”) Davey zgodził się pojechać z Louisą, dobrą, rozsądną Louisą.

Jassy tymczasem dotarła do Hollywood, obwieściła swoje matrymonialne zamiary wszem i wobec i cała rzecz przedostała się do gazet, które poświęciły jej mnóstwo miejsca oraz (był sezon ogórkowy i nie mieli niczego innego, żeby zabawić czytelników) uczyniły z niej coś w rodzaju opowieści w odcinkach. Alconleigh znalazło się teraz w stanie obłączenia. Dziennikarze stawili czoło wujowym batom do poganiania bydła, jego posokowcom, jego przerażającym błękitnym błyskom i koczowali wokół wioski, nawet przenikając do samego domu

w poszukiwaniu lokalnego kolorytu. Ich opowieści stanowiły codzienną rozkosz. Wuj Matthew występował tam jako ktoś pomiędzy Heathcliffem, Draculą i hrabią Dorincourtem<sup>21</sup>, a Alconleigh jawiło się jako coś w rodzaju Nightmare Abbey<sup>22</sup> czy też domu Usherów, natomiast ciotka Sadie nosiła pewne podobieństwo do matki Davida Copperfielda. Owi korespondenci wykazywali się taką odwagą, pomysłowością i wytrzymałością, że nikt z nas się nie zdziwił, kiedy później dawali sobie doskonale radę podczas wojny. „Z frontu donosi Ten-a-Ten...”. Wuj Matthew mówił wtedy: „Czy to nie ten cholerny nicpoń, którego znalazłem ukrywającego się pod moim łóżkiem?”.

Czuł się w swoim żywiole. Oto znaleźli się godni go przeciwnicy, nie strachliwe pokojówki czy płaczliwe guwernantki o zranionych uczuciach, ale twardzi młodzi mężczyźni, którzy nie przebierali w metodach, byle tylko dostać się do jego domu i zdobyć sensacyjny materiał.

Chyba też bardzo lubił czytać o sobie w gazetach, zaczęliśmy więc wszyscy podejrzewać, że wuj Matthew skrycie uwielbia rozgłos. Natomiast ciotka Sadie uważała całą sprawę za mocno niesmaczną.

Bardzo istotne wydawało się utrzymanie w tajemnicy przed prasą, że Davey i Louisa udają się na ratunek, bo szok ich nagłego pojawienia się mógł okazać się ważnym czynnikiem skłaniającym Jassy do powrotu. Niestety Davey nie mógł wyruszyć w tak długą i wyczerpującą podróż bez specjalnie zaprojektowanej apteczki. Podczas kompletowania apteczki odpłynął ich statek, a kiedy wreszcie została ukończona, detektywi byli już na tropie – nieszczęsna apteczka odegrała taką samą rolę jak neseser Marii Antoniny w ucieczce do Varennes.

Kilku dziennikarzy towarzyszyło im podczas rejsu, ale ich trud nie został wynagrodzony, gdyż Louise zmogła choroba morska, a Davey cały czas spędzał zamknięty z lekarzem okrętowym, który stwierdził, że przyczyną jego dolegliwości jest kurcz jelit, co można łatwo wyleczyć przez zabiegi, promienie, dietę, ćwiczenia i zastrzyki, które wszystkie, lub też odpoczynek po nich, zajmowały Daveyowi każdą chwilę dnia.

Jednak po przybyciu do Nowego Jorku zostali niemal rozszarpani przez dziennikarzy, a my mieliśmy możliwość, wraz z całymi dwoma wielkimi anglojęzycznymi narodami, śledzić każdy ich krok. Nawet pojawili się w kronice filmowej: wyglądali na zmartwionych i kryli twarze za książkami.

Podróż okazała się bezużyteczna. Dwa dni po ich przyjeździe do Hollywood Jassy została panią Goon. Louisa telegraficznie przekazała tę wiadomość do domu, dodając: „Cary jest fantastycznym Honsem”.

Jedyną pociechą było to, że małżeństwo położyło kres tematowi.

– On jest absolutnie kochany – oznajmił po powrocie Davey. – Malutki jak orzeszek facecik. Jestem pewien, że Jassy będzie z nim obłędnie szczęśliwa.

Ciotki Sadie jednak to nie uspokoiło ani nie pocieszyło. W końcu nie po to

wychowuje się ukochaną i śliczną córeczkę, żeby ta poślubiła malutkiego jak orzeszek facecika i zamieszkała z nim w odległości tysiąca mil od domu. Siedzibę w Londynie zlikwidowano, a Radlettowie popadli w taki stan przygnębienia, że kiedy spadł następny cios, przyjęto go w poczuciu fatalizmu.

Szesnastoletni Matt uciekł z Eton, również w pełnym świetle prasowych reflektorów, na hiszpańską wojnę domową. Bardzo to zmartwiło ciotkę Sadie, ale chyba nie wuja Matthew. Pragnienie uczestniczenia w walce wydawało mu się całkiem naturalne, chociaż oczywiście ubolewał nad faktem, że Matt walczy dla cudzoziemców. Nie miał nic szczególnie przeciw hiszpańskim czerwonym, byli to dzielni chłopcy i mieli na tyle zdrowego rozsądku, by wykańczać masowo bałwochwalczych zakonników, zakonnice i księży, które to postępowanie aprobował, niemniej chyba szkoda było walczyć w drugorzędnej wojnie, kiedy wkrótce miała pojawić się okazja wojny pierwszorzędnej. Zdecydowano, że żadne kroki nie zostaną podjęte, by sprowadzić Matta do domu.

Boże Narodzenie tego roku było bardzo smutne w Alconleigh. Dzieci wydawały się znikać niczym dziesięciu małych Murzynków. Bob i Louisa, z których żadne w ciągu całego swojego życia nie przyczyniło rodzicom ani chwili niepokoju, John Fort William, tak nudny, jak tylko można to sobie wyobrazić, dzieci Louisy, takie grzeczne, takie ładne, ale pozbawione szczypty oryginalności, nie mogły zrekompensować nieobecności Lindy, Matta i Jassy, podczas gdy Robina i Victorię, skądinąd skorych do psikusów i zabawy, przygasił ogólny nastrój; trzymali się razem i kiedy tylko mogli, uciekali do kryjówki Honsów.

Ślub Lindy odbył się w Caxton Hall zaraz po otrzymaniu przez nią rozvodu. Różnił się od jej poprzedniego ślubu tak, jak lewicowe przyjęcia różniły się od przyjęć londyńskiej socjety. Był nie tyle smutny, co posępny, pozbawiony pogodnego nastroju i atmosfery radości. Przyszło niewielu przyjaciół Lindy, nie pojawił się też nikt z rodziny oprócz mnie i Daveya; lord Merlin przysłał dwa gobeliny z Aubusson i bukiet orchidei, ale osobiście się nie stawił. Uczestnicy przed-Christianowych pogawędek zniechęceni zniknęli z życia Lindy, głośno oplakując jej stratę w swoim.

Christian przyszedł późno i wszedł spiesznie; za nim podążało kilku towarzyszy.

– Muszę przyznać, że jest rewelacyjnie przystojny – zasyczał mi w ucho Davey – ale niech to licho porwie!

Nie wydano żadnego weselnego śniadania i po kilku minutach bezcelowego i raczej niepewnego sterczenia na ulicy przed urzędem Linda i Christian udali się do domu. Czując się prowincjuską, która przyjechała na dzień do Londynu i ma zamiar nieco użyć życia, namówiłam Daveya, żeby mnie zabrał na lunch do Ritz. To jeszcze bardziej mnie przygnębiło. Moje ubranie, tak ładne i odpowiednie

u George'a w Oksfordzie, tak podziwiane przez inne akademickie żony („Moja droga, gdzie zdobyłaś taki piękny tweed?”) były, zdałam sobie teraz sprawę, niemal dziwacznie pozbawione szyku; to znowu był przypadek taftowych pelerynek. Pomyślałam o tych kochanych czarnych dzieciach, już trójce, w ich dzieciennym pokoju w domu, o kochanym mężu w jego gabinecie, ale akurat w tej chwili ta myśl nie przyniosła mi pociechy. Rozpaczliwie chciałam mieć maleńki futrzany toczek albo kapelusik ze strusim piórem, jak te dwie damy przy sąsiednim stoliku. Marzyłam o szykownej czarnej sukni, brylantowych kolczykach, ciemnych norkach, pantoflach przypominających buty ortopedyczne, długich marszczonych rękawiczkach z czarnego zamszu i gładkich lśniących włosach. Kiedy próbowałam wyjaśnić to wszystko Daveyowi, zauważył z roztargnieniem:

– Ależ to nie ma najmniejszego znaczenia w twoim wypadku, Fanny, zresztą jak miałabyś znaleźć czas na *les petits soins de la personne*<sup>23</sup> przy tak wielu innych, ważniejszych sprawach na głowie.

Zapewne myślał, że to mnie pocieszy.

Wkrótce po jej ślubie Radlettowie przyjęli z powrotem Lindę do swego grona. Nie uznawali powtórnych małżeństw rozwodników i Victoria dostała solidną burę, kiedy powiedziała, że Linda jest zaręczona z Christianem.

– Nie można być zaręczoną, jeśli się jest mężatką.

Nie sama ceremonia ich zmiękczyła, w ich oczach Linda miała odtąd żyć w stanie cudzołóstwa, niemniej zbyt mocno im jej brakowało, by chcieli podtrzymywać kłótnię. Rozpoczęło się „powolutku...” od obiadu z ciotką Sadie u Guntera i niebawem wszystko znów się między nimi ułożyło. Linda często przyjeżdżała do Alconleigh, chociaż nigdy nie przywoziła ze sobą Christiana, czując, że nikomu nic to nie da.

Linda i Christian mieszkali w domku na Cheyne Walk, a jeśli Linda nie znalazła tego szczęścia, na które miała nadzieję, to jak zwykle znakomicie zachowywała pozory. Christian na pewno był bardzo do niej przywiązany i na swój sposób starał się być dla niej dobry, ale, zgodnie z przewidywaniami lorda Merlina, był zbytym dystraktem, by uszczęśliwić jakąkolwiek normalną kobietę. Całymi tygodniami ledwo zauważał jej obecność, kiedy indziej wychodził i nie pokazywał się przez wiele dni, zbyt pochłonięty tym, co robi, żeby dać jej znać, gdzie jest lub kiedy mogłaby się spodziewać go z powrotem. Jadł i spał, gdzie popadło – na ławce na dworcu St Pancras albo siedząc na schodach jakiegoś pustego domu. Na Cheyne Walk zawsze pełno było towarzyszy, którzy nie plotkowali z Lindą, ale przemawiali jeden do drugiego, miotając się niespokojnie, dzwoniąc, pisząc na maszynie, pijąc, często śpiąc w ubraniu, choć bez butów, na sofie w salonie Lindy.

Narastały kłopoty finansowe. Christian, mimo że z pozoru nic nie wydawał, w niepokojący sposób trwonił pieniądze. Miał mało rozrywek, ale za to były

kosztowne; lubił na przykład zabawiać się telefonowaniem do nazistowskich przywódców w Berlinie oraz innych polityków europejskich i prowadzić z nimi długie szydercze rozmowy w cenie funta za minutę. „Nigdy nie potrafią oprzeć się telefonowi z Londynu”, powiadał, i na nieszczęście, rzeczywiście nie potrafili. Wreszcie, ku wielkiej uldze Lindy, wyłączono im telefon z powodu niezapłaconych rachunków.

Muszę wyznać, że oboje z Alfredem bardzo lubiliśmy Christiana. Sami jesteśmy różowymi intelektualistami, entuzjastycznymi czytelnikami „New Statesmana”, tak więc jego poglądy, mimo że bardziej postępowe niż nasze, miały ten sam fundament cywilizowanego humanizmu i wydawało nam się, że w porównaniu z Tonym nastąpiła zdecydowana zmiana na korzyść. Niemniej był beznadziejnym mężem dla Lindy. Ona łaknęła miłości, osobistej i szczególnej, skupionej na sobie; miłość ogólniejsza, do biednych, smutnych i nieatrakcyjnych, zupełnie do niej nie przemawiała, choć szczerze próbowała wierzyć, że jest inaczej. Im więcej widywałam Lindę w owym czasie, tym bardziej nabierałam pewności, że do kolejnej ucieczki może dojść niebawem.

Dwa razy w tygodniu Linda pracowała w komunistycznej księgarni. Prowadził ją wielki, milczący jak grób towarzysz imieniem Borys. Borys lubił od czwartkowego popołudnia, kiedy to w tej dzielnicy zamykano wcześniej sklepy, do poniedziałku rano pozostawać w stanie upojenia alkoholowego, tak że Linda przejmowała kontrolę na piątek i sobotę. Następową wtedy niezwykłą przemianą. Książki i traktaty, które butwiały miesiąc po miesiącu, coraz bardziej wilgotniejąc i pokrywając się kurzem, aż trzeba je było wreszcie wyrzucić, pospiesznie wypychano na zaplecze, a ich miejsce zajmowało kilka ulubionych tytułów Lindy. I tak *Dokąd, Brytyjskie Koleje* zostało zastąpione przez *Dookoła świata w czterdzieści dni*; *Karol Marks, kształtujące lata* ustąpiło *Sekretowi markizy*, a *Gigant z Kremla – Dziennikowi nikogo ważnego*, natomiast *Wyzwanie rzucone właścicielom węgla* zrobiło miejsce *Kopalniom króla Salomona*.

Ledwie Linda pojawiała się na miejscu w swoje dni i otwierała księgarnię, a już obskurna uliczka wypełniała się samochodami z elektrycznym broughamem lorda Merlina na czele. Lord Merlin zrobił księgarni wspaniałą reklamę, rozpowiadając, że Linda jest jedyną osobą, której udało się zdobyć dla niego *Braciszka Froggy’ego* oraz *Le Père Goriot*. Partnerzy pogawędek zbiegali się tłumnie, zachwyceni, że Linda znów jest tak łatwo dostępna, i bez Christiana; czasami jednak zdarzały się trudne momenty, kiedy przyszło im spotkać się twarzą w twarz z towarzyszami. Kupowali wtedy książkę i pospiesznie się wycofywali, wszyscy z wyjątkiem lorda Merlina, który w życiu nie czuł się zakłopotany. Postępował z towarzyszami z całą stanowczością.

– Jak się miewacie dzisiaj? – zapytywał z wielkim naciskiem i mierzył ich wściekłym wzrokiem, zmuszając do opuszczenia sklepu.

Wszystko to miało znakomity wpływ na wyniki finansowe. Zamiast wykazywanych tydzień po tygodniu olbrzymich strat, pokrywanych można się domyślać skąd, księgarnia ta stała się jedyną księgarnią komunistyczną w Anglii, która przynosiła zyski. Borys zbierał pochwały od pracodawców, sklep otrzymał medal, który przymocowano do szyldu, i wszyscy towarzysze oświadczyli, że Linda jest świetną dziewczyną i przynosi partii chlubę.

Resztę czasu zajmowało Lindzie prowadzenie domu dla Christiana i towarzyszy, a to wiązało się z próbami zatrudnienia na stałe kolejnych służących oraz szczerymi, ale niestety bezowocnymi wysiłkami zastąpienia ich, gdy porzucały służbę, co zwykle czyniły w końcu pierwszego tygodnia. Towarzysze nie byli zbyt uprzejmi czy uważający wobec służących.

– Wiesz, bycie konserwatystą jest o wiele bardziej relaksujące – powiedziała mi kiedyś Linda w chwili zwierzeń, kiedy była niezwykle szczerą na temat swojego życia – chociaż trzeba pamiętać, że to jest złe, niedobre. Ale odbywa się w pewnych godzinach, a potem się kończy, natomiast komunizm wydaje się pożerać człowiekowi całe życie i energię. Towarzysze są fantastycznymi Honsami, ale nieraz strasznie mnie złością, tak jak Tony mnie złościł, kiedy mówił o robotnikach. Czasami czuję to samo, gdy oni mówią o nas; widzisz, tak jak Tony oni nic nie rozumieją. Jestem jak najbardziej za tym, żeby powiesić sir Leicesterą, ale gdyby dobrali się do ciotki Emily i Daveya, a nawet papy, nie sądzę, żebym mogła po prostu stać i patrzeć. Chyba człowiek nie jest do końca ani psem, ani wydrą, i to jest najgorsze.

– Jest jednak różnica – zauważyłam – między sir Leicesterem a wujem Matthew.

– No właśnie to zawsze staram się wytłumaczyć. Sir Leicester robi ciężkie pieniądze w Londynie, Bóg raczy wiedzieć jak, ale papa czerpie swoje z ziemi i bardzo dużo wkłada w ziemię z powrotem, nie tylko pieniędzy, ale i pracy. Popatrz na te wszystkie rzeczy, które robi darmo – te wszystkie nudne zebrania, Rada Powiatu, sędzia pokoju itede. I jest dobrym dziedzicem, stara się. Widzisz, towarzysze nie znają wsi, nie wiedzieli, że można mieć śliczny domek za dwadzieścia pięć szylingów i sześć pensów tygodniowo, póki im nie powiedziałam; nie chcieli wierzyć. Christian wie, ale on uważa, że system jest zły, i myślę, że chyba jest.

– Co dokładnie Christian robi? – spytałam.

– Och, czego on nie robi. Akurat teraz pisze książkę o głodzie. Boże, to takie smutne! Pewien mały towarzysz Chińczyk przychodzi i opowiada mu, czym jest głód. W życiu nie widziałas tak grubego człowieka.

Wybuchnęłam śmiechem.

Linda powiedziała pośpiesznie, zawstydzona:

– Może wydawać się, że śmieję się z towarzyszy, ale przynajmniej wie się,



że oni robią coś dobrego i nikogo nie krzywdzą, nie żyją z cudzego potu jak sir Leicester, i wiesz, naprawdę ja ich po prostu kocham, chociaż czasami chciałabym, żeby trochę bardziej lubili poplotkować, a nie byli aż tak smutni i poważni, i krytyczni wobec wszystkich.

Na początku roku 1939 ludność Katalonii zaczęła tłumnie przedostawać się przez Pireneje do Roussillon, biednej, mało znanej francuskiej prowincji, która teraz, po kilku dniach, liczyła już więcej Hiszpanów niż Francuzów. Podobnie jak lemingi nagle dokonują masowego samobójstwa u wybrzeży Norwegii, nie wiedząc, skąd przybyły ani dokąd zmierzają, gdyż niezwykle silny jest przymus, który pcha je do Atlantyku, tak pół miliona mężczyzn, kobiet i dzieci rzuciło się raptem do ucieczki, nie zważając na mroźną górską pogodę, nie zatrzymując się ani na chwilę, żeby pomyśleć. Jeśli chodzi o czas trwania, była to największa widziana do tej pory wędrówka ludów. Za górami nie znaleźli ziemi obiecanej; rząd francuski, niezdecydowany, jakie zająć stanowisko, ani nie skierował przeciwko nim karabinów maszynowych na granicy, ani nie powitał ich jako towarzyszy broni w walce przeciwko faszyzmowi. Zagonił ich niczym stado bydła na okrutne, słone bagniska wybrzeża, ogrodził drutem kolczastym i zapomniał o nich.

Christian, który moim zdaniem odczuwał zawsze coś na kształt wyrzutów sumienia, że nie walczył w Hiszpanii, natychmiast wyruszył do Perpignan zobaczyć, co się dzieje i co ewentualnie da się zrobić. Pisał bez końca raporty, memoranda, artykuły i prywatne listy na temat warunków, jakie zastał w obozach, a następnie przystąpił do pracy w biurze finansowanym przez różnych angielskich społeczników i mającym na celu poprawę tych warunków, umożliwienie uchodźcom kontaktu z rodzinami, a także wywiezienie jak największej ich liczby z Francji. Biuro prowadził młody człowiek, Robert Parker, który mieszkał wiele lat w Hiszpanii. Gdy tylko stało się jasne, że nie będzie, czego spodziewano się początkowo, wybuchu epidemii tyfusu, Christian zdecydował się sprowadzić Lindę do Perpignan.

Tak się złożyło, że Linda nigdy w życiu nie była za granicą. Tony znajdował wszelkie rozrywki, polowanie, strzelanie i golfa, w Anglii i szkoda mu było poświęcać ileś dni swojego urlopu na podróż; natomiast Radlettom nigdy nie przyszłoby do głowy udawać się na kontynent w innym celu, niż po to, żeby walczyć. Cztery lata między 1914 a 1918 rokiem, które wuj Matthew spędził we Francji i Włoszech, nie dały mu najlepszego wyobrażenia o cudzoziemcach.

– Żabojady – mówił – są trochę lepsi od Szwabów czy czarnuchów, ale zagranica to cholerna zaraza, a cudzoziemcy to diabły.

Zagranica jako zaraza, diabelskość cudzoziemców, stanowiły tak żelazną zasadę w Radlettowskim credo, że Linda wypuściła się w podróż z duszą na ramieniu. Pojechałam odprowadzić ją na dworzec Victoria, wyglądała bardzo angielsko w długim futrze z jasnych norek, z „Tatlerem” pod pachą oraz z neseserem z marokańskiej skóry od lorda Merlina w płóciennym pokrowcu

w ręku.

– Mam nadzieję, że biżuterię umieściłaś w banku – powiedziałam.

– Och, kochanie, przestań, przecież wiesz, że już nie mam żadnej. Ale pieniądze – zachichotała z lekkim zażenowaniem – zaszyłam w gorsecie. Papa zatelefonował do mnie i błagał mnie, żebym je zaszyła, i muszę przyznać, że wydało mi się to dość rozsądne. Och, czemu ty nie jedziesz? Och, jestem przerażona, pomyśl tylko, spać całkiem sama w pociągu.

– Może nie będziesz sama – pocieszyłam ją. – Podobno cudzoziemcy chętnie gwałcą.

– Owszem, to byłoby miłe, pod warunkiem, że nie odkryją mojego gorsetu. Och, już jedziemy, do widzenia, kochanie, myśl o mnie! – zawołała i zaciskając pokrytą zamszem pięść, potrząsnęła nią przez okno w komunistycznym pozdrowieniu.

Muszę wyjaśnić, że wiem wszystko, co się wówczas przydarzyło Lindzie, bo choć przez następny rok jej nie widziałam, później – jak to się okaże dalej – spędziłyśmy razem długi, spokojny okres, podczas którego wszystko mi opowiedziała, i to wielokrotnie. Był to jej sposób na powtórne przeżywanie szczęścia.

Oczywiście podróż okazała się dla niej bajkowa. Bagażowi w niebieskich kitlach, głośnie, ożywione rozmowy, z których, chociaż uważała, że zna francuski całkiem nieźle, nie rozumiała ani słowa, zaparowane, przepojone zapachem czosnku gorące powietrze francuskiego pociągu, znakomite jedzenie, na które wzywał pospiesznie delikatny dźwięk dzwonka, wszystko to było z innego świata, niczym sen.

Wyglądała przez okno i widziała *châteaux*, aleje lipowe, stawy i wioski dokładnie takie, jak te z Bibliothèquę Rose – wydawało jej się, że lada chwila zobaczy Sophie w białej sukni i nienaturalnie czarnych malutkich czółenkach krojącą złotą rybkę, zajadającą się świeżym chlebem i śmietaną albo drapiącą paznokciami twarz dobrego, nienarzekającego Paula<sup>24</sup>. Bardzo sztywna, bardzo angielska francuszczyzna pozwoliła Lindzie gładko przemierzyć Paryż i wsiąść do pociągu do Perpignan. Paryż. Patrzyła przez okno na rozświetlone po zapadnięciu zmierzchu ulice i myślała, że nigdy żadne miasto nie mogło być tak zniewalająco piękne.

Dziwna, zabłąkana myśl przyszła jej do głowy, a mianowicie, że pewnego dnia tu powróci i będzie bardzo szczęśliwa, wiedziała jednak, że to mało prawdopodobne, Christian nigdy nie zechce mieszkać w Paryżu. W owym czasie szczęście nadal wiązało się dla niej ściśle z Christianem.

W Perpignan znalazła go w wirze zajęć. Zgromadzono fundusze, wynajęto statek i wdrażano plany wysłania sześciu tysięcy Hiszpanów z obozów do Meksyku. Wymagało to od personelu biura olbrzymiej pracy, gdyż należało

połączyć rodziny (żaden Hiszpan nie przeprowadziłby się bez całej swojej rodziny) rozsiane po różnych obozach, zebrać je w jednym obozie w Perignan i wysłać pociągiem do portu w Cette, gdzie mieli się zaokrętować. Tę pracę mocno komplikował fakt, że hiszpańscy mężowie i żony nie noszą wspólnego nazwiska. Christian wyjaśnił to wszystko Lindzie, zanim jeszcze wysiadła z pociągu; cmoknął ją z roztargnieniem w czoło i zagnał do biura, ledwo dając jej czas na zostawienie po drodze bagażu w hotelu i nie biorąc pod uwagę, że może chciałaby się wykąpać. Nie zapytał jej, jak się czuje i czy miała dobrą podróż; Christian zawsze zakładał, że ludzie czują się dobrze, chyba żeby powiedzieli mu, iż jest inaczej, a wtedy, jeśli nie byli ubogimi, kolorowymi, ciemieżonymi, trędowatymi czy w inny jeszcze sposób niepociągającymi obcymi, w ogóle nie zwracał na to uwagi. Naprawdę interesowało go tylko masowe nieszczęście, indywidualnymi przypadkami mało się przejmował, choćby cierpienia były nie wiem jak autentyczne, a to, że można jeść trzy solidne posiłki dziennie i mieć dach nad głową i być nieszczęśliwym czy czuć się niedobrze, wydawało mu się skończonym nonsensem.

Biuro mieściło się w wielkiej szopie otoczonej podwórzem. Podwórze stałe roiło się od uchodźców ze stosami bagażu i gromadami dzieci, psów, osłów, kóz i innego dobytku, którzy właśnie przedarli się przez góry, uciekając przed faszyzmem i mając nadzieję, że Anglicy będą w stanie uchronić ich przed umieszczeniem w obozach. Czasem można im było pożyczyć pieniądze albo dać bilety kolejowe umożliwiające połączenie się z rodzinami we Francji i francuskim Maroku, ale olbrzymia większość wyczekiwała godzinami na rozmowę, żeby tylko usłyszeć, że nie ma dla nich żadnej nadziei. Wtedy z wielką i ściskającą za serce grzecznością przepaszali za kłopot i wychodzili. Hiszpanie mają wysoce rozwinięte poczucie godności osobistej.

Przedstawiono teraz Lindę Robertowi Parkerowi i Randolphowi Pine'owi, młodemu pisarzowi, który porzuciwszy życie playboya na południu Francji, pojechał walczyć do Hiszpanii, a obecnie pracował w Perpignan z poczuciem pewnej odpowiedzialności wobec dawnych towarzyszy broni. Obaj mężczyźni wydawali się zadowoleni z przybycia Lindy, powitali ją serdecznie, mówiąc, że miło jest zobaczyć nową twarz.

– Musicie mi dać coś do roboty – powiedziała Linda.

– Oczywiście, co możemy dla ciebie wymyślić? – odparł Robert. – Roboty jest huk, nie martw się, chodzi tylko o to, żeby znaleźć coś odpowiedniego. Znasz hiszpański?

– Nie.

– Nie szkodzi, prędko złapiesz.

– Niestety, jestem pewna, że nie – powiedziała Linda z powątpiewaniem.

– Co wiesz o pomocy społecznej?

– O Boże, zdaje się, że jestem beznadziejna. Boję się, że nic.

– Lavender znajdzie jej zajęcie – powiedział Christian, który usadowił się przy stole i przerzucał karty indeksu.

– Lavender?

– Lavender Davis.

– O! Znam ją dobrze, mieszkała niedaleko nas na wsi. Była nawet jedną z moich druhien.

– Fakt – powiedział Robert – powiedziała, że cię zna, zapomniałem. Jest wspaniała, naprawdę pracuje z kwakrami w obozach, ale nam też bardzo dużo pomaga. Wie absolutnie wszystko o kaloriach, dziecięcych pieluchach, przyszłych mamusiach i tak dalej i nigdy nie spotkałem osoby, która potrafiłaby ciężiej pracować.

– Powiem ci, co możesz robić – wtrącił Randolph Pine. – To jest zajęcie, które po prostu czeka na ciebie, a polega na rozlokowaniu pasażerów na statku odpływającym w przyszłym tygodniu.

– Tak, oczywiście – przyklasnął Robert – świetny pomysł. Może usiąść przy tym stole i zacząć od razu.

– Popatrz – powiedział Randolph. – Pokażę ci. (Jaki rozkoszny zapach, Après l’Ondée? Tak myślałem). Tutaj jest plan statku, spójrz, najlepsze kajuty, nie tak dobre kajuty, nędzne kajuty i pomieszczenia pod pokładem. A tu jest lista rodzin, które płyną. Masz tylko przydzielić kajutę każdej rodzinie. Kiedy zadecydujesz jaką, umieść numer kajuty przy danej rodzinie, o tu, widzisz? A numer rodziny tutaj przy kajucie, o, w ten sposób. To łatwe, tylko że zabiera czas, a musi być zrobione, żeby, kiedy będą już na statku, wiedzieli dokładnie, gdzie udać się ze swoimi rzeczami.

– Ale jak zadecyduję, kto dostaje dobrą kajutę, a kto ma iść pod pokład? To przecież strasznie trudne.

– Wcale nie. Rzecz w tym, że jest to absolutnie demokratyczny statek działający według republikańskich zasad, klasa w to nie wchodzi. Ja bym przydzielił przyzwoite kajuty rodzinom z małymi dziećmi czy niemowlętami. Poza tym rób tak, jak uważasz za stosowne. Użyj szpilki, jeśli chcesz. Najważniejsze, żeby to zrobić, inaczej będzie awantura o najlepsze miejsca, kiedy wsiądą na pokład.

Linda spojrzała na listę rodzin. Miała ona formę kartoteki: do głowy każdej rodziny przypisano kartę, na której umieszczono numer oraz osoby na jej utrzymaniu.

– Nie ma tu ich wieku – zauważyła. – Skąd mam wiedzieć, czy są małe dzieci?

– Słusznie – powiedział Robert. – Skąd ma wiedzieć?

– To łatwe – wyjaśnił Christian. – Z Hiszpanami zawsze wiadomo. Przed wojną dostawali imiona świętych albo związane z wydarzeniami z życia Dziewicy:

Anunciación, Asunción, Purificación, Concepción, Consuelo itepe. Od czasu wojny domowej nazywają się Carlos na cześć Karola Marksa, Frederigo na cześć Fryderyka Engelsa czy Estalina (bardzo popularne imię, dopóki Rosjanie koncertowo ich nie zawiedli) albo też za imiona mają sympatyczne slogany w rodzaju Solidaridad-Obrera, Libertad i tak dalej. Wtedy wiesz, że są to dzieci poniżej trzech lat. Nic prostszego, naprawdę.

Tymczasem pojawiła się Lavender Davis. Rzeczywiście była to ta sama Lavender, nieszykowna, zdrowa, zwyczajna w tweedowym kostiumie i brogsach, niczym na angielskiej prowincji. Miała krótkie, ciemne, kręcone włosy i nie nosiła żadnego makijażu. Entuzjastycznie powitała Lindę, istotnie w rodzinie Davisów istniał mit, jakoby Lavender i Linda były najlepszymi przyjaciółkami. Linda była zachwycona, że ją widzi, jak zachwycony jest każdy, kiedy za granicą zobaczy znajomą twarz.

– Proponuję – powiedział Randolph – skoro już jesteśmy tu wszyscy razem, żebyśmy poszli na drinka do Palmarium.

Przez następne tygodnie, dopóki życie prywatne nie zaczęło pochłaniać uwagi Lindy, żyła na przemian w atmosferze fascynacji i koszmaru. Pokochała Perpignan, dziwne stare miasteczko, tak różne od wszystkiego, co знаła dotychczas, z jego rzeką i szerokimi nabrzeżami, z olbrzymimi, rozrośniętymi dziko platanami, i cały otaczający je smętny krajobraz winnic regionu Roussillon, wybuchający teraz przed jej oczami letnią zielenią. Wiosna nadeszła późno i powoli, ale kiedy już nadeszła, to w towarzystwie lata i niemal od razu wszystko się zagotowało, zrobiło się ciepło i ludzie w wioskach tańczyli co wieczór na wybetonowanych tanecznych platformach pod platanami. W weekendy Anglicy, nie będąc w stanie wykorzenić tego narodowego obyczaju, zamykali biuro i udawali się do Collioure na wybrzeżu, gdzie się kąpali i opalali, i bawili na pirenejskim pikniku.

Ale wszystko to nie miało nic wspólnego z ich obecnością w tym czarującym otoczeniu – z obozami. Linda chodziła do obozów niemal codziennie i one napełniały jej serce rozpaczą. Ponieważ niewiele mogła pomóc w biurze ze względu na nieznajomość hiszpańskiego ani też z dziećmi, bo nic nie wiedziała o kaloriach, została zatrudniona jako kierowca i była zawsze w drodze w furgonetce Forda pełnej zapasów albo uchodźców lub też przekazując wiadomości do i z obozów. Często musiała godzinami siedzieć i czekać, aż przypadek takiego to a takiego człowieka został rozpatrzony; szybko wtedy otaczała ją cała gromada mężczyzn mówiących do niej swoją ciężką gardłową francuszczyzną. W tym czasie obozy były już zupełnie przyzwoicie zorganizowane; stały tam rzędy schludnych, choć przygnębiających baraków, mężczyźni dostawali regularne posiłki, które choć może nie najbardziej apetyczne, utrzymywały przynajmniej razem ciało i duszę. Ale widok owych tysięcy istot

ludzkich, młodych i zdrowych, stłoczonych za drutem kolczastym z daleka od swoich kobiet, spędzających w kompletnej bezczynności jeden ponury dzień za drugim, był dla Lindy nawracającą torturą. Zaczęła myśleć, że wuj Matthew miał rację, że zagranica, gdzie mogły się wydarzać takie rzeczy, to cholerna zaraza, a cudzoziemcy, którzy potrafili je robić jedni drugim, to diabły.

Pewnego dnia, gdy siedziała w swojej furgonetce, znajdującej się jak zwykle w centrum tłumy Hiszpanów, usłyszała głos:

– Lindo, co ty u licha tutaj robisz?

Był to Matt.

Wyglądał na starszego o dziesięć lat, niż kiedy go widziała ostatni raz, wyrósł, był niezwykle przystojny, z Radlettowskimi niesamowicie niebieskimi oczami w opalonej na ciemny brąz twarzy.

– Widziałem cię kilka razy – powiedział – i myślałem, że cię wysłano, żeby mnie sprowadzić do domu, więc się nie ujawniałem, ale później odkryłem, że jesteś żoną tego Christiana. To jest ten facet, z którym uciekałeś od Tony'ego?

– Tak – odparła Linda. – Nie miałam pojęcia, Matt. Byłam pewna, że musiałeś już wrócić do Anglii.

– No nie. Widzisz, jestem oficerem, muszę zostać z chłopcami.

– Czy mama wie, że wszystko z tobą w porządku?

– Tak, powiedziałem jej... przynajmniej o ile Christian wysłał list, który mu dałem.

– Nie przypuszczam. Nikt nigdy nie słyszał, żeby Christian kiedykolwiek w życiu wysłał jakiś list. Dziwny jest, mógł mi powiedzieć.

– Nie wiedział. Wysłałem go w kopercie zaadresowanej do przyjaciela, który miał go przesłać. Nie chciałem, żeby ktokolwiek z Anglików dowiedział się, że tu jestem, bo zaraz by próbowali odesłać mnie do domu. Jestem pewien.

– Nie Christian – zapewniła Linda. – On jest bezwzględnie za tym, żeby ludzie robili w życiu to, co chcą. Bardzo jesteś chudy, Matt, może miałbyś na coś ochotę?

– Owszem – odparł Matt – trochę papierosów i parę thrillerów.

Po tym spotkaniu Linda widywała go niemal co dzień. Opowiedziała o tym Christianowi, który tylko odchrząknął i rzucił: „Będzie musiał wyjechać, zanim wybuchnie wojna światowa. Dopilnuję tego”. Powiadomiła też rodziców. Rezultatem była paczka z ubraniami od ciotki Sadie, której Matt nie zgodził się przyjąć, tudzież skrzynka pełna witamin w tabletkach od Daveya, której Linda nawet nie ośmieliła mu się pokazać. Matt był pogodny i pełen życia, sypał żartami jak z rękawa, ale, co słusznie zauważył Christian, jest różnica, czy przebywa się w danym miejscu, bo się musi, czy też, bo uważa się, że tak trzeba. Tak czy inaczej, jeśli chodzi o rodzinę Radlettów, pogoda ducha rzadko ich opuszczała.

Poza tym jedyną podnoszącą na duchu perspektywą był statek. Mógł

uratować z piekła tylko kilka tysięcy uchodźców, ułamek całej liczby, jednak przynajmniej ci zostaną ocaleni i znajdą się w lepszym świecie, z nadzieją na szczęśliwą i pożyteczną przyszłość.

Kiedy nie prowadziła furgonetki, Linda ciężko pracowała nad rozdzieleniem kajut i wreszcie udało jej się wszystko rozplanować i zakończyć na czas przed zaokrętowaniem.

Wszyscy Anglicy z wyjątkiem Lindy udali się do Cette na ten wielki dzień, zabierając ze sobą dwóch członków Parlamentu oraz księżnę, którzy pomagali całemu przedsięwzięciu w Londynie i przyjechali obejrzeć owoce swojej pracy. Linda pojechała autobusem do Argelès zobaczyć się z Mattem.

– Jakie dziwne muszą być hiszpańskie klasy wyższe – zauważyła – nie kiwnęli palcem, żeby pomóc własnym rodakom, ale zostawili to wszystko obcym, takim jak my.

– Nie znasz faszystów – odpowiedział ponuro Matt.

– Myślałam sobie wczoraj, kiedy oprowadzałam księżnę po Barcarès, dobrze, ale dlaczego angielska księżna, czy nie ma żadnych hiszpańskich i jeśli już o tym mowa, dlaczego to tylko Anglicy pracują w Perpignan? Znam w Londynie kilkoro Hiszpanów, czemu oni nie przyjadą i trochę nie pomogą? Ogromnie by się przydali. Przypuszczam, że mówią po hiszpańsku.

– Papa miał całkowitą rację, kiedy mówił, że cudzoziemcy to diabły – powiedział Matt – w każdym razie wyższe klasy. Ci chłopcy tutaj to fantastyczni Honsowie, muszą przyznać.

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Anglicy tak zostawili jedni drugich w potrzebie, nawet gdyby tamci należeli do innych partii. Uważam, że to wstyd.

Christian i Robert powrócili z Cette w dobrych nastrojach. Wszystko poszło jak w szwajcarskim zegarku, a dziecko, które urodziło się w ciągu pierwszej półgodziny pobytu na statku, zostało nazwane Embarcación. Był to żart z gatunku tych, które bardzo bawiły Christiana. Robert zapytał Lindę:

– Czy rozłokowywałaś ludzi w kajutach według szczególnego planu, czy jak to robiłaś?

– Dlaczego? Czy coś wyszło nie tak?

– Wszystko wyszło idealnie. Każdy miał przydzielone miejsce i tam się udawał. Zastanawiałem się tylko, czym się kierowałaś, przydzielając dobre kajuty, to wszystko.

– Po prostu – wyjaśniła Linda – dawałam najlepsze kajuty ludziom, którzy na karcie mieli napisane *Labrador*, bo miałam labradora, gdy byłam mała, i on był takim fantastycznym... był taki słodki, rozumiesz.

– Ach tak – odpowiedział z całą powagą Robert – to wszystko wyjaśnia. Tak się składa, że *labrador* znaczy po hiszpańsku rolnik. Więc dzięki twojemu schematowi (znakomitemu, mówiąc nawiasem, najbardziej demokratycznemu, jaki



można sobie wyobrazić) wszyscy robotnicy rolni znaleźli się w luksusie, a intelektualiści pod pokładem. To ich nauczy, żeby tak się nie mądrzyli. Spisałś się doskonale, Lindo, jesteśmy ci wszyscy bardzo wdzięczni.

– Był takim słodkim labradorem – rozmarzyła się Linda. – Szkoda, że go nie widziałeś. Tak mi brakuje jakiegoś zwierzątka.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zainteresujesz się kupnem *la sangsue* – podsunął Robert.

Jedną z osobliwości Perpignan była pijawka w butelce na wystawie apteki; notatka napisana na maszynie głosiła: SI LA SANGSUE MONTE DANS LA BOUTEILLE IL FERA BEAU TEMPS. SI LA SANGSUE DESCEND – L'ORAGE<sup>25</sup>

– Mogłoby to być miłe – powiedziała Linda – ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby ona zdołała się do kogoś przywiązać, zbyt jest zajęta cały dzień pogodą, w górę i w dół, w górę i w dół, nie ma czasu na ludzkie relacje.

Nigdy później Linda nie potrafiła sobie przypomnieć, czy naprawdę dotknęło ją odkrycie, że Christian zakochał się w Lavender Davis, a jeśli tak, to jak bardzo. Zupełnie nie pamiętała swoich uczuć z tamtego okresu. Na pewno zraniona duma musiała odegrać swoją rolę, choć może w wypadku Lindy mniej niż u innych kobiet, jako że nigdy raczej nie cierpiała na kompleks niższości. Musiała widzieć, że ostatnie dwa lata, jej ucieczka od Tony'ego, wszystko teraz było bezcelowe – ale czy naprawdę zraniło jej to serce, czy nadal kochała Christiana, czy cierpiała normalne ukłucia zazdrości? Nie wydaje mi się.

Niemniej był to wybór mało pochlebny. Lavender wydawała się przez całe lata, sięgając aż do dzieciństwa, uosabiać wszystko, co Radlettowie uważali za wyjątkowo nieromantyczne: zapalona skautka, hokeistka, starosta szkoły; wspinała się na drzewa, jeździła na koniu okrakiem. Nigdy nie żyła miłosnym marzeniem, to uczucie było wyraźnie jak najdalsze jej myślom, chociaż Louisa i Linda, niezdolne wyobrazić sobie, by ktoś mógł istnieć bez najmniejszej choćby jego iskiarki, miały zwyczaj obmyślać romanse dla Lavender: nauczycielka wychowania fizycznego albo dr Simpson z Merlinford (o którym Louisa ułożyła jeden ze swoich nonsensownych wierszyków – „On jest doktorem i królewskim inwigilatorem i ona w nim kocha się, ale on kocha cię”). Od tego czasu Lavender zdobyła dyplom pielęgniarki i pracownicy opieki społecznej, studiowała prawo i ekonomię polityczną i faktycznie wszystko to mogła robić z wyraźną intencją – jak widziała to aż nadto dobrze Linda – by zaprezentować się jako odpowiednia partnerka dla Christiana. W rezultacie w ich obecnym otoczeniu, z jej spokojną i niezachwianą ufnością we własne umiejętności, łatwo przyćmiła biedną Lindę. Nie było żadnej rywalizacji, tylko walkower.

Linda nie odkryła ich miłości w jakiś wulgarny sposób – zobaczywszy, na przykład, że się całują, albo przyłapawszy ich w łóżku. Wszystko to rozegrało się o wiele subtelniej, w sposób o wiele bardziej niebezpieczny, po prostu tydzień po tygodniu przekonywała się, że znajdują w sobie nawzajem doskonale szczęście, że Christian całkowicie polega na Lavender, która daje mu poczucie komfortu psychicznego i zachętę do pracy. A ponieważ pracy oddawał się teraz całym sercem i duszą, ponieważ nie myślał o niczym innym i nie odprężał się ani na moment, poleganie na Lavender w zupełności wykluczało Lindę. Nie wiedziała, co robić. Nie mogła omówić tego z Christianem, nie było nic namacalnego do omówienia, zresztą takie postępowanie byłoby całkowicie obce naturze Lindy. Nic jej tak nie przerażało, jak sceny i awantury, nie miała też złudzeń, co Christian o niej myśli. Czuła, że najprawdopodobniej pogardza nią za to, że tak łatwo porzuciła Tony'ego i dziecko i że, jego zdaniem, patrzy na życie w sposób głupi,

beztroski i powierzchowny. Lubił kobiety poważne, wykształcone, szczególnie te, które ukończyły kurs opieki społecznej, szczególnie Lavender. Nie miała najmniejszej ochoty usłyszeć tego wszystkiego z jego ust. Jednakże zaczęła też myśleć, że dla niej samej będzie najlepiej opuścić Perpignan, zanim, co wydawało się jej nieuchronne, Christian i Lavender wyjadą razem, żeby ręka w rękę przemierzać świat w poszukiwaniu innych form ludzkiego nieszczęścia, które należy łagodzić. Już czuła się zażenowana w obecności Roberta i Randolpha, którzy najwyraźniej serdecznie jej współczuli i stale tak manewrowali, żeby nie spostrzegła, że Christian każdą minutę dnia spędza z Lavender.

Kiedy Linda pewnego popołudnia bezmyślnie wyglądała przez okno swojego pokoju hotelowego, zobaczyła ich, jak idą razem quai Sadi Carnot, całkowicie pogrążeni w rozmowie, zadowoleni ze swojego towarzystwa, promieniejąc szczęściem. Podjęła decyzję pod wpływem nagłego impulsu. Spakowała swoje rzeczy, napisała pospieszny list do Christiana, informując, że opuszcza go na dobre, bo zdała sobie sprawę, że ich małżeństwo się nie udało. Poprosiła, żeby zadbał o Matta. Następnie spaliła za sobą mosty, dodając postscriptum (fatalny kobiecy zwyczaj): „Myślę, że powinieneś ożenić się z Lavender”. Władowała sobie i bagaż do taksówki i wsiadła do nocnego pociągu do Paryża.

Tym razem podróż okazała się okropna. W końcu Linda była bardzo przywiązana do Christiana i ledwo pociąg ruszył ze stacji, zaczęła pytać samej siebie, czy przypadkiem nie postąpiła głupio i źle. Prawdopodobnie jego zauroczenie Lavender przeminie, bo wynika ze wspólnych zainteresowań, gdy tylko Christian powróci do Londynu. Może zresztą to nawet nie było żadne zauroczenie, ale po prostu ze względu na pracę musiał być cały czas z Lavender. Roztargnienie, z jakim odnosił się do Lindy, też nie było niczym nowym, tak przecież zachowywał się niemal od chwili, kiedy ją sprowadził pod swój dach. Zaczęła podejrzewać, że źle zrobiła, pisząc ten list.

Miała bilet powrotny, ale bardzo mało pieniędzy, akurat, jak obliczała, na obiad w pociągu i jakieś jedzenie następnego dnia. Linda zawsze musiała przeliczyć sobie francuskie pieniądze na funty, szylingi i pensy, nim wiedziała, na czym stoi. Wyglądało na to, że ma przy sobie około osiemnastu szylingów i sześciu pensów, tak że sliping odpadał. Nigdy nie spędziła całej nocy w pociągu na siedząco i było to dla niej przerażające doświadczenie; przypominało jakąś okropną chorobę gorączkową, kiedy godziny wloką się nieznośnie, każda dłuższa niż tydzień. Myśli nie przynosiły jej ukojenia. Przekreśliła ostatnie dwa lata swojego życia, wszystko, co usiłowała zainwestować w swoje relacje z Christianem, i wyrzuciła jak makulaturę. Jeśli tak się to miało skończyć, to po co opuściła Tony'ego, swojego prawdziwego męża na dobre i złe, i swoje dziecko. Jej obowiązkiem było zostać przy nich i dobrze o tym wiedziała. Pomyślała o mojej

matce i wzdrygnęła się. Czyżby ona, Linda, była odtąd skazana na życie, którym głęboko pogardzała, życie uciekinierki?

A w Londynie co znajdzie? Mały, pusty, zakurzony domek. Może, myślała, Christian ruszy za nią w pościg, przyjedzie i będzie obstawał, że ona należy do niego. Ale w głębi duszy wiedziała, że on nie przyjedzie i że ona do niego nie należy. Christian zbyt szczerze wierzył, że ludziom trzeba pozwolić postępować w życiu tak, jak chcą, i nie wtrącać się. Był do Lindy przywiązany, wiedziała o tym, ale także zdawała sobie sprawę, że go rozczarowała; sam nie zrobiłby pierwszego kroku, żeby doprowadzić do rozstania, ale nie będzie zbyt boleś nad tym, że ona to zrobiła. Wkrótce zaświta mu w głowie nowy projekt, nowy plan dla cierpiących śmiertelników, jakichkolwiek śmiertelników, gdziekolwiek, byle tylko było ich dostatecznie wielu, a ich nieszczęście ogromne. Zapomni wtedy Lindę, a może także Lavender, jak gdyby nigdy nie istniały. Christian nie poszukiwał namiętnej miłości, miał inne zainteresowania, inne cele i niewiele go obchodziło, która kobieta przypadkowo znalazła się w jego życiu w danym momencie. Jednak Linda wiedziała, że w jego naturze jest pewna bezwzględność. Czuła, że nie wybaczy jej tego, co zrobiła, nie będzie próbował nakłonić jej do powrotu i właściwie dlaczego miałby.

Trudno uznać, rozmyślała Linda, kiedy pociąg przebijał się przez ciemność, jej dotychczasowe życie za szczególnie udane. Nie znalazła ani wielkiej miłości, ani wielkiego szczęścia, nie wzbudziła też wielkiej miłości w nikim, ani nie obdarzyła wielkim szczęściem nikogo. Rozstanie z nią nie było śmiertelnym ciosem dla żadnego z jej mężów, przeciwnie, obydwaj z ulgą zwrócili się do o wiele bliższej im kochanki, która pod każdym względem lepiej im odpowiadała. Jakakolwiek jest ta cecha, która pozwala utrzymać miłość i przywiązanie mężczyzny w nieskończoność, ona najwyraźniej jej nie posiadała i teraz skazana jest na samotne, zaszcute życie kobiety pięknej, ale bez partnera. Gdzie teraz była miłość mająca trwać aż po grób i dużo dłużej? Co zrobiła ze swoją młodością? Łzy z powodu utraconych nadziei i ideałów, łzy, w gruncie rzeczy, żalu nad sobą, zaczęły jej spływać po policzkach. Trzech grubych Francuzów, którzy dzielili z nią przedział, chrapało, pogrążonych we śnie; płakała w samotności.

Choć tak smutna i zmęczona, Linda nie mogła nie dostrzec piękna Paryża o letnim poranku, kiedy jechała przez miasto na Gare du Nord. Paryż wczesnym rankiem ma w sobie coś radosnego, pełnego życia, obietnicę nadchodzących rozkosznych rzeczy, charakterystyczny zapach kawy i croissantów, jedyny w swoim rodzaju.

Mieszkańcy witają nowy dzień, jak gdyby byli pewni, że go polubią, kupcy podciągają żaluzje w błogim oczekiwaniu dobrego handlu, robotnicy z ochotą idą do pracy, ludzie, którzy całą noc spędzili w nocnym klubie, chętnie udają się na spoczynek, orkiestra klaksonów, dzwoniących tramwajów, policyjnych gwizdków

stroi się do codziennej symfonii i wszędzie panuje radość. Ta radość, to życie, to piękno nie przynosiły ulgi biednej Lindzie w jej zmęczeniu i smutku; odczuwała to wszystko, ale nie była jego częścią. Zwróciła swoje myśli w kierunku starego znajomego Londynu, tęskniła przede wszystkim do własnego łóżka, czuła się tak, jak czuje się ranne zwierzę, kiedy czołga się do swego legowiska. Chciała tylko spać niezakłóconym snem we własnej sypialni.

Ale kiedy okazała swój powrotny bilet na Gare du Nord, powiedziano jej z irytacją, głośno i bez cienia współczucia, że jest już nieważny.

– *Voyons, madame, le vingt-neuf Mai. C'est aujourd'hui le trente, n'est-ce pas? Donc...!*<sup>26</sup> – Wielkie wzruszenie ramion.

Lindę sparaliżował potworny strach. Jej osiemnaście szylingów sześć pensów skurczyło się teraz do sześciu szylingów, suma nie bardzo wystarczająca na posiłek. Nie знаła nikogo w Paryżu, nie miała pojęcia, co robić, była zbyt zmęczona i zbyt głodna, żeby jasno myśleć. Stała jak posąg rozpacz. Jej bagażowy, zmęczony czekaniem obok posągu rozpacz, postawił walizkę u jej stóp i oddalił się, gderając pod nosem. Linda opadła na walizkę i zaczęła płakać; nigdy jeszcze nie przydarzyło jej się nic równie strasznego. Płakała gorzko, nie była w stanie przestać. Ludzie przechodzili mimo tam i z powrotem, tak jakby płaczące damy były najzwyczajszym zjawiskiem na Gare du Nord. „Diabły! Diabły!” – szlochała. Dlaczego nie słuchała ojca, dlaczego w ogóle jechała za granicę? Kto jej pomoże? Wiedziała, że w Londynie istnieje stowarzyszenie opiekujące się paniami, które znalazły się w opałach na dworcu; tutaj prędzej może istnieć towarzystwo wysyłające je do Ameryki Południowej. W każdej chwili ktoś, jakaś sympatycznie wyglądająca stara kobieta, może podejść i zrobić jej zastrzyk, po którym Linda zniknie na zawsze.

Zaczęła być świadoma, że ktoś stoi obok, nie stara kobieta, ale niski, krępy, bardzo ciemny Francuz w czarnym homburgu. Śmiał się. Linda nie zwracała na niego uwagi i nie przestawała płakać. Im bardziej ona płakała, tym bardziej on się śmiał. Jej łzy były teraz łzami wściekłości, już nie żalu nad sobą.

W końcu powiedziała, zamierzając przybrać ton wyniośle poirytowany, ale zamiast tego piszcząc drżącym głosem zza chusteczki:

– *Allez-vous en?*<sup>27</sup>.

W odpowiedzi wziął ją za rękę i postawił na nogi.

– *Bonjour, bonjour* – powiedział.

– *Voulez-vous vous en aller?*<sup>28</sup> – Linda zawahała się. W końcu jakaś istota ludzka przynajmniej okazała pewne nią zainteresowanie. Raptem pomyślała o Ameryce Południowej.

– *If faut expliquer que je ne suis pas* – powiedziała – *une esclave blanche. Je suis la fille d'un très important lord anglais*<sup>29</sup>.

Francuz ryknął śmiechem.

– Nie trzeba – powiedział doskonałą angielszczyzną kogoś, kto mówi nią od dziecka – być Sherlockiem Holmesem, żeby to odgadnąć.

Lindę dość to zirytowało. Angielka za granicą może być dumna ze swojej narodowości i cnoty, ale niekoniecznie chce, żeby to się od razu rzuciło w oczy.

– Francuskie damy – kontynuował – noszące *les marques extérieures de la richesse*<sup>30</sup> nie siedzą, płacząc na walizkach na Gare du Nord bardzo wczesnym rankiem, natomiast *esclaves blanches* zawsze mają opiekunów, a widać aż nazbyt jasno, że pani w tej chwili jest bez opieki.

To brzmiało uspokajająco i Linda złagodniała.

– Zatem – oznajmił – zapraszam panią na obiad w moim towarzystwie, ale najpierw musi pani się wykapać, odpocząć i położyć sobie zimny kompres na twarz.

Podniósł jej walizkę i podszedł do taksówki.

– Proszę wsiadać.

Linda wsiadła. Bynajmniej nie miała pewności, że ta droga nie prowadzi do Buenos Aires, ale coś jej kazało go posłuchać. Jej zdolność oporu była na wykończeniu, poza tym naprawdę nie widziała alternatywy.

– Hotel Montalembert – powiedział taksówkarzowi. – Rue du Bac. *Je m’excuse, madame*, że nie zabieram pani do Ritza, ale mam uczucie, że hotel Montalembert będzie w tej chwili lepiej odpowiadał pani nastrojowi dzisiejszego ranka.

Linda siedziała wyprostowana w kącie taksówki, mając nadzieję, że wygląda bardzo cnotliwie. Milczała, gdyż nie przychodziło jej do głowy nic do powiedzenia. Jej towarzysz nucił jakąś melodyjkę i wydawało się, że się doskonale bawi. Kiedy przyjechali do hotelu, wynajął jej pokój, kazał windziarzowi zaprowadzić ją do niego, zlecił *concierge*, żeby przysłała jej na górę *café complet*, ucałował jej dłoń i powiedział:

– *A tout à l’heure*<sup>31</sup>, przyjdę po panią parę minut przed pierwszą i pójdziemy na obiad.

Linda wykąpała się, zjadła śniadanie i położyła się do łóżka. Kiedy zadzwonił telefon, spała tak mocno, że z trudem udało jej się obudzić.

– *Un monsieur qui demande, madame*<sup>32</sup>.

– *Je descends tout de suite*<sup>33</sup> – oznajmiła Linda, ale minęło dobre pół godziny, nim była gotowa.

– A! Każe mi pani czekać – powiedział, całując ją w rękę albo przynajmniej wykonując gest uniesienia jej dłoni ku swoim wargom, a następnie opuszczenia jej dość gwałtownie. – To bardzo dobry znak.

– Znak czego? – zapytała Linda. Podjechał pod hotel autem dwumiejscowym, do którego wsiadła. Znów czuła się bardziej sobą.

– Och, tego i tamtego – odpowiedział, wciskając sprzęgło. – Dobra wróżba dla naszego romansu, że będzie szczęśliwy i potrwa długo.

Linda zrobiła się szalenie sztywna, angielska i skrępowana i powiedziała z zażenowaniem:

– Nie mamy romansu.

– Na imię mi Fabrice, czy mogę zapytać, jak pani się nazywa?

– Linda.

– Linda. *Comme c'est joli*<sup>34</sup>. U mnie to zwykle trwa pięć lat.

Zajeżdżał pod restaurację, w której zaprowadzono ich, z pewną rewerencją, do stolika w czerwonej pluszowej niszy. Zamówił obiad i wino szybką francuszczyzną, taką francuszczyzną, której Linda, prawdę mówiąc, nie rozumiała, po czym, kładąc ręce na kolanach, obrócił się do niej i powiedział:

– *Allons, racontez, madame*<sup>35</sup>.

– *Racontez co?*

– No przecież tę historię. Kto panią tak zostawił, że siedziała pani na walizce i płakała?

– Nikt. Ja zostawiłam jego. To był mój drugi mąż i odeszłam od niego na zawsze, ponieważ on zakochał się w innej kobiecie, pracownicy opieki społecznej, nie sądzę, żeby pan wiedział, co to takiego, bo jestem pewna, że pracownicy opieki społecznej nie istnieją we Francji. Chodzi o to, że przez to, to jest jeszcze gorsze.

– Cóż to za dziwny powód, żeby zostawić drugiego męża. Chyba z pani doświadczeniem w sprawach mężów musiała pani zauważyć, że zakochywanie się w innych kobietach to jedna z tych rzeczy, które robią. Jednak nie ma złego bez dobrego i ja nie narzekam. Ale czemu walizka? Dlaczego nie wsiadła pani do pociągu i nie wróciła do monsieur ważnego lorda, pani ojca?

– To właśnie miałam zamiar zrobić, ale mi powiedzieli, że mój bilet powrotny stracił ważność. Zostało mi tylko sześć szylingów trzy penty, nie znam nikogo w Paryżu i byłam okropnie zmęczona, więc się rozplakałam.

– Co z tym drugim mężem... dlaczego nie pożyczyła pani pieniędzy od niego? Czy może zostawiła mu pani liścik na poduszce, kobiety nigdy nie mogą sobie odmówić odrobiny literatury, a po tym powrót jest raczej żenujący, wiem.

– Pomijając wszystko, on jest w Perpignan, więc i tak bym nie mogła.

– Aha, przyjechała pani z Perpignan. A cóż tam pani robiła, na miłość boską?

– Na miłość boską, próbowaliśmy powstrzymać was, żabojady, od dokuczania biednym Epaniardom! – zawołała Linda dość ostro.

– E-spa-niolom! To my im dokuczamy, tak?

– Teraz już mniej, straszliwie na początku.

– A co mianowicie mielibyśmy z nimi robić? Wie pani, nigdy ich nie zapraszaliśmy.

– Popędziliście ich do obozów w tym okrutnym wietrze i przez całe tygodnie nie dawaliście im żadnego schronienia. Setki zmarło.

– Nie takie to proste dostarczyć schronienie natychmiast dla pół miliona ludzi. Robiliśmy, co mogliśmy, karmiliśmy ich, w końcu większość z nich żyje nadal.

– Nadal stłoczona w obozach.

– Moja droga Lindo, chyba nie oczekuje pani, żebyśmy puścili ich samopas w głąb kraju bez pieniędzy. Do czego by to doprowadziło? Niech pani myśli rozsądnie.

– Powinniście ich zmobilizować do walki w wojnie przeciwko faszyzmowi, która wybuchnie lada dzień.

– Niech pani mówi o tym, co pani zna, a nie będzie się pani tak złościć. Nie mamy dostatecznej ilości sprzętu dla własnych żołnierzy do wojny przeciwko Niemcom, która wybuchnie nie lada dzień, ale po żniwach, przypuszczalnie w sierpniu. Proszę mi w dalszym ciągu opowiadać o swoich mężach, to o wiele bardziej interesujące.

– Było tylko dwóch. Pierwszy był konserwatystą, drugi komunistą.

– Tak się domyślałem, pierwszy jest bogaty, drugi biedny. Mogłem się zorientować, że miała pani bogatego męża po tym neseserze i futrze, zresztą w okropnym kolorze i, o ile można dostrzec, bo przerzuciła je pani zwinięte przez ramię, niewątpliwie okropnego kroju. Niemniej *vison*<sup>36</sup> zdradza zwykle istnienie gdzieś bogatego męża. Natomiast ten straszny płócienny kostium, który pani nosi, ma wielkimi literami wypisane „odzież gotowa”.

– Jest pan niegrzeczny, to bardzo ładny kostium.

– I zeszloroczny. Przekona się pani, że żakiety są obecnie dłuższe. Kupię pani trochę ubrań. Kiedy się pani porządnie ubierze, będzie pani całkiem przystojną kobietą, chociaż faktem jest, że ma pani małe oczy. Niebieskie, ładnego koloru, ale małe.

– W Anglii – oświadczyła Linda – jestem uważana za piękność.

– Cóż, ma pani pewne zalety.

I tak toczyła się ta niemądra rozmowa, ale to było tylko pianą na powierzchni. Linda czuła coś, czego nigdy nie czuła do żadnego mężczyzny



– obezwładniający pociąg fizyczny. Przyprawiało ją to o zawrót głowy, przerażało. Widziała, że Fabrice jest zupełnie pewien rezultatu, sama też miała tego absolutną pewność i właśnie to napełniało ją lękiem. Jak mogła ona, Linda, dla której przygodne miłostki były czymś szokującym i godnym pogardy, pozwolić, żeby poderwał ją jakiś cudzoziemski przybłęda i zaledwie po godzinie znajomości nic tylko marzyć, żeby pójść z nim do łóżka? Nie był nawet przystojny, wyglądał jak tuziny innych ciemnych mężczyzn w homburgach, których widuje się na ulicach każdego francuskiego miasta. Ale w sposobie, w jakim patrzył na nią, kryło się coś, co zdawało się pozbawiać ją wszelkiej równowagi. Była głęboko wstrząśnięta, a jednocześnie intensywnie podniecona.

Po obiedzie wyszli z restauracji na oślepiające słońce.

– Niech pani przyjdzie zobaczyć moje mieszkanie.

– Wolalabym raczej zobaczyć Paryż – powiedziała Linda.

– Dobrze zna pani Paryż?

– Nigdy wcześniej tu nie byłam.

Fabrice wyglądał na naprawdę zaskoczonego.

– Nigdy wcześniej pani nie była? – Nie mógł uwierzyć. – Co za przyjemność dla mnie móc pani to wszystko pokazać. Tyle jest do zobaczenia, zajmie to wiele tygodni.

– Niestety – zauważyła Linda – jutro rano wyjeżdżam do Anglii.

– Tak, oczywiście. Wobec tego musimy wszystko zobaczyć dzisiejszego popołudnia.

Przejechali wolno kilka ulic i placów, po czym udali się na przechadzkę po Lasku Bulońskim. Linda nie mogła uwierzyć, że dopiero co tu przybyła, że to ciągle ten sam dzień, którego budzenie się, tak pełne obietnic, widziała przez mgłę porannych łez.

– Jakie pan ma szczęście, że mieszka pan w takim mieście – powiedziała do Fabrice’a. – Tu niemożliwe by było czuć się bardzo nieszczęśliwym.

– Nie niemożliwe – odparł. – W Paryżu uczucia nabierają intensywności, tutaj można być bardziej szczęśliwym, a także bardziej nieszczęśliwym niż gdziekolwiek indziej. Ale na pewno życie tutaj jest zawsze istotnym źródłem radości i nikt nie jest tak smutny, jak paryżanin wygnany ze swojego miasta. Reszta świata wydaje nam się nieznośnie zimna i ponura, prawie niewarta, by w niej żyć. – Mówił bardzo emocjonalnie.

Po podwieczorku, który zjedli w Lasku na otwartym powietrzu, wrócili do Paryża. Fabrice zatrzymał samochód przed starym domem na rue Bonaparte i ponowił zaproszenie:

– Niech pani przyjdzie zobaczyć moje mieszkanie.

– Nie, nie – powiedziała Linda. – Nadszedł teraz dla mnie moment, żeby podkreślić, że jestem *une femme sérieuse*<sup>37</sup>.

Fabrice wybuchnął swoim głośnym śmiechem.

– Och – mówił, zanosząc się od śmiechu – jaka pani jest zabawna. Co to za zwrot *femme sérieuse*, gdzie go pani znalazła? A skoro tak poważną, to skąd ten drugi mąż?

– Tak, przyznaję, że postąpiłam źle, naprawdę bardzo źle i popełniłam wielki błąd. Ale to nie powód, by dać się ponieść, ześlizgnąć się już całkiem, pozwolić się poderwać obcym panom na Gare du Nord i natychmiast iść z nimi oglądać ich mieszkanie. I bardzo proszę, czy byłby pan tak uprzejmy i pożyczył mi trochę pieniędzy, chcę jutro rano złapać pociąg do Londynu.

– Oczywiście, jak najbardziej – odpowiedział Fabrice.

Wcisnął jej do ręki zwitek banknotów i odwiózł do hotelu Montalembert. Wydawał się zupełnie nieporuszony jej przemową i oznajmił, że wróci o ósmej wieczorem, żeby zabrać ją na kolację.

Sypialnia Lindy była pełna róż, przypomniało jej to narodziny Moiry.

– Naprawdę – pomyślała rozbawiona – to uwodzenie jest niczym z groszowej powieści, jak mogę się na to nabierać?

Ale wypełniało ją dziwne, dzikie, nieznanne przedtem szczęście i wiedziała, że to miłość. Dwa razy w życiu wzięła za nią coś innego: tak, jak widząc kogoś na ulicy, myśli się, że to znajomy, gwizdże się, macha i biegnie za nim, a to nie tylko nie ten znajomy, ale ktoś nawet mało do niego podobny. Parę minut później ów prawdziwy znajomy się pojawia i trudno nawet sobie wyobrazić, jak można było wziąć za niego tamtą osobę. Linda wiedziała, że patrzy teraz w autentyczną twarz miłości i to ją przerażało. Przerażające było, że miłość mogła nadejść tak mimochodem, w wyniku serii przypadków. Próbowwała przypomnieć sobie, co czuła, kiedy zakochała się w swoich dwóch mężach. Uczucie musiało być silne i zniewalające; w obydwu wypadkach, żeby ich poślubić, zburzyła własne życie, nie wahała się zmartwić rodziców i przyjaciół, ale go nie pamiętała. Wiedziała tylko, że nigdy przedtem, nawet w marzeniach, a marzenia o miłości snuła wielkie, nie zaznała czegoś podobnego. Powtarzała sobie wciąż, że musi jutro wracać do Londynu, ale nie miała najmniejszego zamiaru tego robić i wiedziała o tym.

Fabrice zabrał ją na kolację, a potem do nocnego klubu, gdzie nie tańczyli, ale rozmawiali bez końca. Opowiadała mu o wuju Matthew i ciotce Sadie, o Louisie, Jassy i Matcie, a jemu wciąż było mało i prowokował ją do coraz większej przesady w anegdotach o rodzinie i o rozmaitych dziwactwach jej członków.

– *Et Jassy, et Matt, alors, racontez.*

I opowiadała godzinami.

W powrotnej taksówce znów odmówiła pójścia do niego i nie pozwoliła mu iść z nią do hotelu. Nie nalegał, nie próbował trzymać jej za rękę czy w ogóle dotykać. Tylko powiedział:

– *C'est une résistance magnifique, je vous félicite de tout mon coeur, madame*<sup>38</sup>.

Pod hotelem podała mu rękę na dobranoc. Ujął ją w obie swoje i naprawdę pocałował.

– *A demain*<sup>39</sup> – powiedział i wszedł z powrotem do taksówki.

– *Allô, allô.*

– Halo.

– Dzień dobry. Je pani śniadanie?

– Tak.

– Zdawało mi się, że słyszę brzęk filiżanki. Kawa smakuje?

– Jest tak pyszna, że ciągle ją odstawiam, żeby nie wypić za szybko. Pan też je śniadanie?

– Już zjadłem. Muszę pani powiedzieć, że uwielbiam bardzo długie poranne rozmowy i będę oczekiwał od pani *raconter des histoires*.

– Jak Szeherazada?

– Właśnie. I nie wolno pani mieć w głosie tej nuty: „teraz się wyłączę”, którą zawsze mają Anglicy.

– Jakich Anglików pan zna?

– Kilku znam. Chodziłem do szkoły w Anglii i studiowałem w Oksfordzie.

– Nie! Kiedy?

– W roku dwudziestym.

– Kiedy ja miałam dziewięć lat. Pomyśleć, może widziałam pana na ulicy, wszystkie zakupy robiliśmy w Oksfordzie.

– Elliston & Cavell?

– Oczywiście, i Webbers.

Zapadło milczenie.

– Proszę dalej – ponaglił.

– Co dalej?

– Proszę się nie wyłączać. Proszę mówić dalej.

– Nie wyłączę się. Prawdę mówiąc, uwielbiam rozmawiać. To moje ulubione zajęcie i podejrzewam, że pan zechce się wyłączyć na długo przede mną.

Prowadzili długą i bardzo głupią rozmowę, aż wreszcie Fabrice powiedział:

– Teraz proszę wstać, za godzinę przyjadę po panią i pojedziemy do Wersalu.

W Wersalu, który oczarował Lindę, przypomniała jej się przeczytana kiedyś opowieść o dwóch angielskich damach, które zobaczyły ducha Marii Antoniny siedzącego w jej ogrodzie w Petit Trianon. Fabrice uznał tę opowieść za wyjątkowo nudną i nie omieszkał wyrazić swojej opinii.

– *Histoires* – powiedział – są tylko wtedy ciekawe, kiedy są prawdziwe, albo

wtedy, kiedy wymyśliła je pani specjalnie, żeby mnie zabawić. *Histoires de revenants*<sup>40</sup>, stworzone przez jakieś bliżej nieznanne stare angielskie dziewice, nie są ani prawdziwe, ani interesujące. *Donc plus d'histoires de revenants, madame, s'il vous plaît*<sup>41</sup>.

– Dobrze – powiedziała z irytacją Linda. – Staram się, jak mogę, żeby pana zadowolić. Niech pan teraz coś opowie.

– Owszem, opowiem, i jest to historia prawdziwa. Moja babka była bardzo piękna i przez całe życie miała wielu kochanków, nawet kiedy była całkiem stara. Na krótko przed śmiercią pojechała do Wenecji z moją matką, swoją córką, i pewnego dnia, płynąc którymś kanałem w gondoli, zobaczyły pałacyk z różowego marmuru, bardzo piękny. Zatrzymały gondolę, żeby mu się przyjrzeć, i moja matka powiedziała: „Nie wydaje mi się, żeby ktoś w nim mieszkał, może spróbujemy zajrzeć do środka?”. Zadzwończyły, przyszedł stary sługa i powiedział, że nikt tu nie mieszka od wielu, wielu lat, i jeśli sobie życzą, to je oprowadzi. Weszły więc i udały się schodami do *salone*, który miał trzy okna wychodzące na kanał i ozdobiony był piętnastowieczną sztukaterią, białą na błękitnym tle. Pokój marzenie. Moja babka wydawała się bardzo poruszona i przez długi czas stała w milczeniu. W końcu powiedziała do mojej matki: „Jeśli w trzeciej szufladzie tej sekretery jest filigranowe pudełko, w którym znajduje się złoty klucz na czarnej aksamitce, ten dom należy do mnie”. Matka zajrzała, klucz był i dom należał do babki. Jeden z kochanków babki podarował jej go przed laty, kiedy była młoda. Zupełnie o tym zapomniała.

– Boże – powiedziała Linda – jakie fascynujące życie prowadzicie wy, cudzoziemcy.

– Teraz dom należy do mnie.

Położył dłoń na czole Lindy i odgarnął z niego luźny kosmyk włosów.

– Zabrałbym panią tam jutro, gdyby...

– Gdyby co?

– Trzeba, widzi pani, czekać tu na wojnę.

– Och, ciągle zapominam o wojnie – powiedziała Linda.

– Tak, zapomnijmy o niej. *Comme vous êtes mal coiffée ma chère*<sup>42</sup>.

– Jeśli nie podobają się panu moje ubrania i nie podobają się moje włosy, i uważa pan, że mam za małe oczy, to nie wiem, co pan we mnie widzi.

– *Quand même j'avoue qu'il y a quelque chose*<sup>43</sup> – odparł Fabrice.

Znowu zjedli razem kolację.

Linda zapytała:

– Czy nie ma pan innych spotkań?

– Tak, mam. Odwołałem je.

– Kim są pańscy przyjaciele?

– *Les gens du monde*<sup>44</sup>. A pani?

– Kiedy wyszłam za Tony’ego, to znaczy mojego pierwszego męża, bywałam w *monde*, to było moje życie. Wtedy uwielbiałam to. Ale Christian tego nie popierał, sprawił, że przestałam chodzić na przyjęcia, zniechęcił moich przyjaciół, których uważał za frywolnych i głupich, i nie widywaliśmy nikogo, tylko poważnych ludzi próbujących naprawić świat. Kiedyś się z nich śmiałam i raczej tęskniłam za dawnymi przyjaciółmi, ale teraz nie wiem. Od czasu pobytu w Perpignan może sama stałam się bardziej poważna.

– Każdy staje się bardziej poważny wobec tego, co się dzieje. Ale niezależnie od tego, w jakim kierunku zmierza polityka, czy na prawo, czy na lewo, faszyzm czy komunizm, tylko *les gens du monde* nadają się na pani przyjaciół. Widzi pani, oni uczynili sztukę z relacji osobistych i z tego wszystkiego, co się z tym wiąże: sposób bycia, ubrania, piękne domy, dobre jedzenie, wszystko, co uprzyjemnia życie. Głupio byłoby z tego nie skorzystać. Przyjaźń jest czymś, co musi być starannie budowane przez ludzi, którzy mają czas; to sztuka, natura nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie powinno się gardzić życiem towarzyskim, *de la haute société*<sup>45</sup> może dawać wiele satysfakcji, jest oczywiście całkowicie sztuczne, ale potrafi być absorbujące. Poza życiem intelektu oraz kontemplacyjnym życiem religijnym, do których nadaje się niewielu ludzi, co jeszcze może odróżnić człowieka od zwierząt, jeśli nie życie towarzyskie? A kto rozumie je tak dobrze i kto potrafi uczynić je tak bez troskim i tak zabawnym jak *les gens du monde*? Ale nie można go prowadzić, mając równocześnie romans, trzeba pogрузić się w nie całą duszą, jeśli chce się czerpać z niego radość, więc odwołałem wszystkie moje spotkania.

– Szkoda – powiedziała Linda – bo ja wracam jutro rano do Londynu.

– Rzeczywiście. Zapomniałem. Szkoda.

– *Allô, allô?*

– Halo.

– Spała pani?

– Tak, oczywiście. Która godzina?

– Około drugiej. Mogę do pani przyjść?

– Teraz?

– Tak.

– Muszę powiedzieć, że byłoby to bardzo miłe, tylko kłopot polega na tym, co by pomyślał nocny portier?

– *Ma chère*, jak bardzo jest pani angielska. *Eh bien; je vais vous le dire – il ne se fera aucune illusion*<sup>46</sup>.

– Chyba nie.

– Ale nie wyobrażam sobie, żeby obecnie miał jakieś złudzenia. W końcu

przychodzę tu po panią trzy razy dziennie, nikogo innego pani nie widuje, a Francuzi, wie pani, są bardzo spostrzegawczy w tych sprawach.

– Tak, rozumiem...

– *Alors, c'est entendu, à tout à l'heure*<sup>47</sup>.

Następnego dnia Fabrice umieścił ją w mieszkaniu, stwierdził, że tak jest *plus commode*<sup>48</sup>. Powiedział: „Kiedy byłem młody, lubiłem być bardzo romantyczny i podejmować wszelkiego rodzaju ryzyko. Chowałem się po szafach, kazałem wnosić się do domu kochanki w kufrze, przebierałem się za lokaja i wspinałem się, żeby wejść przez okno. I to jak się wspinałem! Pamiętam raz w połowie drogi na pnączu napotkałem gniazdo os. Co za agonია! Potem przez tydzień nosiłem biustonosz firmy Kestos. Ale teraz wolę wygodę, wolę działać według pewnej rutyny i mieć własny klucz”.

Rzeczywiście, pomyślała Linda, trudno o kogoś mniej romantycznego i bardziej praktycznego niż Fabrice; żadnych niedorzeczności. Jakaś jedna mała niedorzeczność, pomyślała, byłaby całkiem sympatyczna.

Mieszkanie było piękne, duże i słoneczne, urządzone w najkosztowniejszej wersji nowoczesnego stylu. Wychodziło na południowy zachód nad Laskiem Bulońskim i znajdowało się na jednym poziomie z czubkami drzew. Z olbrzymich okien rozpościerał się widok na drzewa i niebo. Okna działały jak w samochodzie; cała szyba wpuszczana była w ścianę. Bardzo to cieszyło Lindę, która kochała powietrze i uwielbiała opalać się nago, dopóki zgrzana i opalona nie poczuła się senna i szczęśliwa. Do mieszkania należała, wynajęta najwyraźniej przez Fabrice'a, czarująca, starsza *femme de ménage* imieniem Germaine. Pomagały jej rozmaite inne starsze kobiety, które przychodziły i odchodziły jedna po drugiej w zawrotnym tempie. Germaine była niewątpliwie bardzo kompetentna, w pięć minut wyjęła wszystkie rzeczy Lindy z walizki, wyprasowała i włożyła do szafy, po czym poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać kolację. Linda nie potrafiła się powstrzymać, żeby się nie zastanawiać, jak wiele kobiet Fabrice trzymał w tym mieszkaniu, ponieważ jednak mało było prawdopodobne, że się dowie, i prawdę mówiąc, nie miała ochoty się dowiedzieć, odsunęła te myśli od siebie. Nie było śladu po żadnej poprzedniczce, nigdzie nawet nagryzmołonego numeru telefonicznego ani odcisniętej szminki; mieszkanie mogłoby zostać urządzone wczoraj.

W kąpieli przed kolacją Linda rozmyślała dość tęsknie o ciotce Sadie. Ona, Linda, była teraz utrzymanką i cudzołożnicą, a wiedziała, że ciotce Sadie by się to nie spodobało. Nie podobało jej się, gdy Linda popełniła cudzołóstwo z Christianem, ale on przynajmniej był Anglikiem, został Lindzie właściwie przedstawiony i знаła jego nazwisko. Poza tym Christian od początku chciał się z nią ożenić. O ile jednak mniej podobałoby się ciotce Sadie, że jej córka

poderwała nieznanego, bezimiennego cudzoziemca i rozpoczęła z nim życie w luksusie. Duży krok dzielił to od lunchu w Oksfordzie, choć wuj Matthew bez wątpienia uważałby to za następny krok na tej samej drodze, zastrzelił Fabrice'a, czy też przedsięwziął inne gwałtowne działania, które by mu przysły do głowy. Po czym coś by go rozśmieszyło i wszystko z powrotem byłoby w porządku. Inna sprawa z ciotką Sadie. Nie powiedziałyby dużo, ale by się tym gryzła, wzięła to sobie do serca i zastanawiała się, czy w jej metodzie wychowywania Lindy coś nie szwankowało, doprowadzając do takiego stanu rzeczy; Linda miała głęboką nadzieję, że matka nigdy się nie dowie.

W trakcie owych rozmyślań zadzwonił telefon. Germaine odebrała, zapukała do drzwi łazienki i powiedziała:

– *M. le duc sera légèrement en retard, madame*<sup>49</sup>.

– W porządku, dziękuję – odpowiedziała Linda.

Przy kolacji spytała:

– Czy można poznać pana nazwisko?

– Ach! – westchnął Fabrice. – Jeszcze tego pani nie odkryła? Cóż za zadziwiający brak ciekawości. Moje nazwisko brzmi Sauveterre. Krótko mówiąc, madame, miło mi panią poinformować, że jestem bardzo bogatym księciem, co jest niezwykle przyjemne, nawet w dzisiejszych czasach.

– Pozazdrościć. A skoro już rozmawiamy o pańskim prywatnym życiu, czy jest pan żonaty?

– Nie.

– Dlaczego?

– Moja narzeczona umarła.

– Och, to takie smutne. Jaka ona była?

– Bardzo ładna.

– Ładniejsza ode mnie?

– O wiele ładniejsza. Bardzo correct.

– Bardziej correct niż ja?

– *Vous, vous êtes une folle, madame, aucune correction. Et elle était gentille – mais d'une gentillesse, la pauvre*<sup>50</sup>.

Po raz pierwszy, odkąd go poznała, Fabrice stał się nieskończenie sentymentalny i Lindę przeszły nagłe uczucie straszliwej zazdrości, tak straszliwej, że niemal zrobiło jej się słabo. Gdyby jeszcze wcześniej nie rozpoznała tego faktu, to teraz wiedziałyby już na pewno i na zawsze, że to miała być wielka miłość jej życia.

– Pięć lat – powiedziała – to długi okres, kiedy ma się wszystko przed sobą.

Ale Fabrice nadal myślał o narzeczonej.

– Ona umarła znacznie dawniej niż pięć lat temu, piętnaście będzie na jesieni. Zawsze kładę późne róże na jej grobie, te małe, ściśnięte róże o bardzo

ciemnozielonych liściach, które nigdy nie otwierają się w pełni. Przypominają mi ją. *Dieu, que c'est triste*<sup>51</sup>.

– Jak miała na imię? – zapytała Linda.

– Louise. *Enfant unique du dernier Rancé*<sup>52</sup>. Często odwiedzam jej matkę, która nadal żyje, niezwykła starsza pani. Wychowała się w Anglii na dworze cesarzowej Eugenii, a mimo to Rancé ją poślubił, z miłości. Może pani sobie wyobrazić, jak to wszystkim zdziwiło.

Oboje pograżyli się w głębokiej melancholii. Linda widziała aż za dobrze, że nie ma żadnych szans w rywalizacji z narzeczoną nie tylko ładniejszą i bardziej correct od niej, ale w dodatku martwą. Wydawało się to bardzo niesprawiedliwe. Gdyby pozostała żywa, jej uroda na pewno, po piętnastu latach małżeństwa, przygasałaby, perfekcyjność stałaby się nudna, natomiast jako martwa została zabalsamowana na zawsze w swojej młodości, piękności i *gentillesse*.

Po kolacji Linda znowu zaznała szczęścia. Kochanie się z Fabrice'em było upajające, zupełnie różne od tego, czego doświadczyła dotąd.

(„Nie mogłam nie dojść do wniosku – powiedziała, relacjonując mi to – że Tony i Christian nie mieli bladego pojęcia o, jak to się zwykle mówi, tych sprawach. Ale przypuszczam, że wszyscy Anglicy są beznadziejnymi kochankami”. „Nie wszyscy – zaoponowałam. – Z większością z nich jest ten kłopot, że się na tym nie skupiają, a to wymaga solidnego zaangażowania. Alfred – dodałam – jest cudowny”. „O, to świetnie” – powiedziała, ale nie sprawiała wrażenia przekonanej).

Siedzieli do późna, wyglądając przez otwarte okno. Wieczór był gorący, a kiedy zaszło słońce, zielone światło sączyło się zza czarnych koron drzew, dopóki nie zapadła kompletna ciemność.

– Czy zawsze się śmiejesz, kiedy się kochasz? – spytał Fabrice.

– Nie myślałam o tym, ale chyba tak. Zwykle śmieję się, kiedy jestem szczęśliwa, albo płaczę, kiedy nie jestem, jestem osobą nieskomplikowaną, wiesz. Czy wydaje ci się to dziwne?

– Bardzo denerwujące z początku, muszę przyznać.

– Ale czemu? Czy większość kobiet się nie śmieje?

– Jasne, że nie. Częściej płaczą.

– Jakie to dziwne. Nie sprawia im to przyjemności?

– To nie ma nic wspólnego z przyjemnością. Jeśli są młode, wzywają swoje matki, jeśli są religijne, wzywają Dziewicę, żeby im wybaczyła. Ale nie znam żadnej oprócz ciebie, która by się śmiała. *Mais qu'est que vous voulez, vous êtes une folle*<sup>53</sup>.

Linda była zafascynowana.

– I co jeszcze robią?

– Wszystkie z wyjątkiem ciebie mówią: *Comme vous devez me mépriser*<sup>54</sup>.



– Ale dlaczego miałbyś nimi gardzić?  
– Och, naprawdę, moja droga, gardzi się i tyle.  
– Moim zdaniem to bardzo niesprawiedliwie. Najpierw biedaczki uwodzisz, a potem nimi gardzisz. Co za potwór z siebie.

– Lubią to. Lubią płaszczyć się i powtarzać: *Qu'est-ce que j'ai fait? Mon Dieu, hélas Fabrice, que pouvez-vous bien penser de moi? O, que j'ai honte*<sup>55</sup>. To należy do ich repertuaru. Ale ty, ty wydajesz się nieświadoma swojej hańby, ty po prostu ryczysz ze śmiechu. To bardzo dziwne. *Pas désagréable, il faut avouer*<sup>56</sup>.

– Wobec tego, co z narzeczoną – zapytała Linda – nie pogardzałeś nią?  
– *Mais no, voyons*<sup>57</sup>. Była kobietą cnotliwą.  
– Chcesz powiedzieć, że nigdy nie poszedłeś z nią do łóżka?  
– Nigdy. Nigdy nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy w ciągu tysiąca tysięcy lat.

– No wiesz – zdziwiła się Linda. – W Anglii robimy tak zawsze.  
– *Ma chère, c'est bien connu, le côté animal des anglais*<sup>58</sup>. Anglicy są rasą pijacką i chutliwą, to rzecz dobrze znana.

– Nie im. Oni myślą, że to cudzoziemcy są właśnie tacy.  
– Francuzki są najbardziej cnotliwymi kobietami na świecie – oświadczył Fabrice z nutą przesadnej dumy w głosie, z jaką Francuzi zawsze mówią o swoich kobietach.

– Ojej – powiedziała smutno Linda. – Byłam kiedyś taka cnotliwa. Zastanawiam się, co się ze mną stało. Postąpiłam źle, wychodząc za mąż za mojego pierwszego męża, ale skąd mogłam wiedzieć? Myślałam, że jest bogiem i że będę go zawsze kochała. Po czym znów postąpiłam źle, kiedy uciekłam z Christianem, ale myślałam, że go Kocham i zresztą kochałam go, dużo bardziej niż Tony'ego, ale on nigdy nie kochał mnie naprawdę i bardzo szybko się mną znudził, chyba nie byłam dostatecznie poważna. Ale gdybym tych wszystkich rzeczy nie zrobiła, nie skończyłabym na walizce na Gare du Nord i nigdy bym nie spotkała ciebie, więc tak naprawdę się cieszę. I w moim następnym życiu, gdziekolwiek przypadkiem się urodzę, muszę pamiętać, żeby pofrunąć na bulwary, gdy tylko osiągnę odpowiedni do małżeństwa wiek, i tam znaleźć męża.

– *Comme c'est gentil* – powiedział Fabrice – *et, en effet*<sup>59</sup>, francuskie małżeństwa są naprawdę bardzo, bardzo szczęśliwe. Mój ojciec i matka wiedli razem życie bez jednej chmurki, tak bardzo się kochali, że prawie nie udzielali się towarzysko. Moja matka wciąż żyje pięknym wspomnieniem tamtego szczęścia. Jaka dobrą jest kobietą!

– Muszę ci powiedzieć – ciągnęła Linda – że moja matka i jedna z moich ciotek, jak również jedna z moich sióstr i moja kuzynka, są kobietami cnotliwymi, zatem cnota nie jest czymś nieznanym w mojej rodzinie. A poza tym, Fabrice, co powiesz o swojej babce?

– Tak – westchnął Fabrice. – Przyznaję, że była wielką grzesznicą. Ale była również *une très grande dame*<sup>60</sup> i umierając, w pełni odkupiła swoje winy według obrządku Kościoła.

Ich życie zostało teraz podporządkowane pewnej rutynie. Fabrice przychodził do niej co wieczór na kolację – nigdy już nie zabierał jej do restauracji – i zostawał do siódmej następnego ranka.

– *J'ai horreur de coucher seul*<sup>61</sup> – powiedział.

O siódmej wstawał, ubierał się i wracał do domu, akurat na czas, żeby być we własnym łóżku o ósmej, kiedy przynoszono mu śniadanie. Zjadał je, czytał gazety i o dziewiątej dzwonił do Lindy i gadał nonsensy przez pół godziny, jakby nie widział jej od wielu dni.

– Dalej – przynaglał ją, kiedy zaczynała okazywać oznaki wyczerpania weny – *allons, des histoires!*

W ciągu dnia prawie go nie widywała. Zawsze jadł obiad z matką, zajmującą mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy, w której on mieszkał na parterze. Czasami po południu zabierał Lindę na zwiedzanie miasta, ale zwykle nie pojawiał się wcześniej niż około wpół do ósmej i wkrótce potem zasiadali do kolacji.

Linda spędzała dni na kupowaniu ubrań, płacąc wielkimi plikami pieniędzy, w które zaopatrzył ją Fabrice.

– Jak spadać, to z wysokiego konia – myślała. – A skoro on i tak mną pogardza, nie robi to wielkiej różnicy.

Fabrice był zachwycony. Okazywał żywe zainteresowanie jej strojami, oglądał je na wszystkie strony, kazał jej paradować w nich po salonie, zmuszał, by zanosila je z powrotem do sklepu dla dokonania poprawek, które jej wydawały się zupełnie zbędne, ale które na końcu okazywały się wprowadzać absolutnie istotną różnicę. Linda nigdy przedtem nie zdawała sobie w pełni sprawy z wyższości francuskich ubrań nad angielskimi. W Londynie, w czasach małżeństwa z Tonym, uchodziła za wyjątkowo dobrze ubraną; teraz zrozumiała, że nigdy, według francuskich standardów, nie mogłaby mieć najmniejszych pretensji do bycia *chic*. Rzeczy, które przywiozła ze sobą, wydawały jej się tak straszliwie niemodne, byle jakie i żałosne, tak pozbawione linii, że wstąpiła do Galeries Lafayette i kupiła sobie gotową suknię, zanim ośmieliła się wejść do wielkich domów mody. Kiedy wreszcie się z nich wynurzyła z kilkoma sztukami odzieży, Fabrice poradził jej, by kupiła o wiele więcej. Jej gust, powiedział, wcale nie jest zły, jak na Angielkę, chociaż wątpił, czy stanie się ona rzeczywiście *élégante* w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

– Tylko metodą prób i błędów – mówił – możesz odnaleźć swój własny *genre*, zobaczyć, dokąd zmierzasz. *Continuez, donc, ma chère, allez-y. Jusqu'à présent, ça ne va pas mal du tout*<sup>62</sup>.

Nastała gorąca, parna pogoda, pogoda wakacyjna, plażowa. Ale był rok 1939

i mężczyźni nie myśleli o wypoczynku, ale o śmierci, nie o kąpielówkach, ale o mundurach, nie o muzyce tanecznej, ale o surmach bojowych, a plaże przez następne kilka lat miały być polami bitew, nie miejscem bez trosk zabawy. Fabrice codziennie mówił, jak bardzo chciałby zabrać Lindę na Riwierę, do Wenecji i do swojego pięknego *château* w Delfinacie. Ale był rezerwistą i teraz mógł zostać lada dzień powołany. Lindzie bynajmniej nie przeszkadzało pozostawanie w Paryżu. Mogła do woli opalać się w swoim mieszkaniu. Nie martwiła się szczególnie zbliżającą się wojną, zasadniczo żyła teraźniejszością.

– Nigdzie indziej nie mogłabym tak się opalać nago jak tutaj – powiedziała – a to jest jedyna rzecz na wakacjach, na której mi zależy. Nie lubię pływać ani grać w tenisa, ani tańczyć, ani uprawiać hazardu, więc widzisz, że najlepiej mi tutaj opalać się i robić zakupy, dwa doskonale zajęcia w ciągu dnia, natomiast w nocy, ty, mój ukochany. Wydaje mi się, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Pewnego upalnego lipcowego popołudnia wróciła do domu w nowym i szczególnie zachwycającym słomkowym kapeluszu. Kapelusz był duży i prosty, z kwietnym otokiem i dwiema niebieskimi kokardami. Prawym ramieniem obejmowała naręczę róż i goździków, a w lewej ręce trzymała pasiaste pudło mieszczące inny wytworny kapelusz. Otworzyła sobie drzwi kluczem i stąpając głośno na wysokich korkowych podeszwach sandałów, podążyła do salonu.

Zielone żaluzje były spuszczone i pokój wypełniały ciepłe cienie, z których dwa przekształciły się nagle w chudego mężczyznę i drugiego nie tak chudego – Davey i lorda Merlina.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Linda, po czym opadła na sofę, rozrzucając róże u swoich stóp.

– No, no, no – powiedział Davey – wyglądasz prześlicznie.

Linda naprawdę była w strachu, jak dziecko złapane na jakiejś psocie, jak dziecko, któremu mają odebrać nową zabawkę. Popatrzyła najpierw na jednego, potem na drugiego. Lord Merlin nosił ciemne okulary.

– Maskujesz się? – zapytała.

– Nie, dlaczego? A, okulary. Muszę je nosić za granicą, tak mi, widzisz, dobrze z oczu patrzy, że żebracy i różni tacy cisną się wokół mnie i mnie denerwują.

Zdjął okulary i zamrugał.

– Po co przyjechaliście?

– Nie wydajesz się zbyt zadowolona, że nas widzisz – wtrącił się Davey. – Przyjechaliśmy, prawdę mówiąc, żeby zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku. A ponieważ jest aż zbyt oczywiste, że i owszem, możemy właściwie zabierać się z powrotem.

– Jak się dowiedzieliście? Czy mama i papa wiedzą? – dodała słabym

głosem.

– Nie, absolutnie nic. Myślą, że jesteś ciągle z Christianem. Nie przybyliśmy w charakterze dwóch wiktoriańskich wujów, moja droga Lindo, jeśli ci o to chodzi. Przypadkiem spotkałem kogoś, kto był w Perpignan, i on wspomniał, że Christian mieszka z Lavender Davis...

– Och, dobrze – powiedziała Linda.

– Co? I że ty wyjechałaś sześć tygodni temu. Zaszedłem na Cheyne Walk, a tam najwyraźniej cię nie było i wtedy zaczęliśmy się z Merlinem trochę martwić, że wędrujesz po Europie, tak źle przygotowana (jakże się myliliśmy), żeby sobie radzić. Jednocześnie byliśmy szalenie ciekawi, gdzie przebywasz, jaka jest twoja obecna sytuacja, więc wszczęliśmy pewną dyskretną detektywistyczną akcję, która ujawniła miejsce twojego pobytu; twoja sytuacja jest teraz jasna jak słońce i, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, odczuwam ogromną ulgę.

– Przestraszyłaś nas – powiedział lord Merlin z irytacją. – Następnym razem, kiedy zechcesz odgrywać Cléo de Mérode, możesz przysłać pocztówkę. Choćby dlatego, że to wielka przyjemność widzieć cię w tej roli, za nic bym tego nie przegapił. Nie zdawałem sobie sprawy, Lindo, że jesteś tak piękną kobietą.

Davey śmiał się cicho pod nosem.

– Mój Boże, jakie to wszystko jest zabawne, tak cudownie staroświeckie. Zakupy! Paczki! Kwiaty! Tak straszliwie wiktoriańskie. Odkąd przybyliśmy, tekturowe pudła dostarczane są co pięć minut. Ile interesujących rzeczy potrafisz wnieść do cudzego życia, droga Lindo. Czy mu już powiedziałaś, że musi zrezygnować z ciebie i poślubić czystą, młodą dziewczynę?

Linda odpowiedziała rozbijając:

– Nie kpij, Davey. Nie możesz sobie wyobrazić, jaka jestem szczęśliwa.

– Owszem, wyglądasz na szczęśliwą, muszę przyznać. Och, to mieszkanie to jakiś żart.

– Zawsze uważałem – wtrącił lord Merlin – że niezależnie od tego, jak bardzo zmienia się gust, to zawsze trzyma się pewnego stereotypu. Niegdyś Francuzi umieszczali swoje kochanki w apartamentach, jednym nieróżniącym się niczym od drugiego, w których przewodnią nutą, można powiedzieć, były koronki i aksamit. Ściany, łóżko, toaletkę, samą wannę obwieszano koronkami, a wszędzie indziej panował aksamit. Dzisiaj koronki zastąpiło szkło, a wszędzie indziej jest satyna. Założę się, że masz szklane łóżko, co, Lindo?

– Tak, ale...

– I szklaną toaletkę, i łazienkę i nie zdziwię się, jeśli twoja wanna jest ze szkła ze złotymi rybkami pływającymi po bokach. Złote rybki to od wieków dominujący motyw.

– Zajrzałeś – powiedziała Linda z nadąsaną miną. – Bardzo sprytnie.

– O nieba! – wykrzyknął Davey. – Więc to prawda! Nie zajrzał, przysięgam,

ale jak widzisz, odgadnięcie tego nie przekracza granic ludzkiej pomysłowości.

– Ale są tu pewne rzeczy – przyznał lord Merlin – które mimo wszystko podnoszą poziom. Gauguin, dwa Matisse’y (pretensjonalne, ale znakomite) i ten dywan z Savonnerie. Twój protektor musi być bardzo bogaty.

– Jest – odpowiedziała Linda.

– Zatem, droga Lindo, czy można poprosić o filiżankę herbaty?

Zadzwoiła i wkrótce Davey zajął się eklerkami i napoleonkami z całym zapamiętaniem małego chłopca.

– Zapłacę za to – powiedział, z uśmiechem wyrażającym co-mi-tam – ale nieważne, nie co dzień jest się w Paryżu.

Lord Merlin spacerował po pokoju z filiżanką w ręku. Zainteresował się tomikiem dziewiętnastowiecznej, romantycznej poezji, który Fabrice dał Lindzie poprzedniego dnia.

– Czytasz to teraz? – spytał – *Dieu, que le son du cor est triste au fond des bois*<sup>63</sup>. Miałem przyjaciela, który mieszkał w Paryżu i trzymał w domu boa dusiciela i ten boa wpełzł do waltorni. Mój przyjaciel zadzwonił do mnie w strasznym stanie i powiedział: *Dieu, que le son du boa est triste au fond du cor*<sup>64</sup>. Nigdy tego nie zapomnę.

– O której zwykle przychodzi twój kochanek? – zapytał Davey, wyjmując zegarek.

– Nie przed siódmą. Zostańcie i poznajcie go, jest fantastycznym Honsem.

– Nie, dziękuję, za nic w świecie.

– Kto to? – zapytał lord Merlin.

– Nazywa się księżę Sauveterre.

Davey i lord Merlin wymienili spojrzenia wyrażające olbrzymie zdumienie pomieszane z pełnym grozy rozbawieniem.

– Fabrice de Sauveterre?

– Tak. Znacie go?

– Lindo, kochanie, człowiek zawsze zapomina, dając się zwieść pozorom tego wielkiego wyrafinowania w spojrzeniu, jaką małą prowincjuszka jesteś w gruncie rzeczy. Oczywiście, że go znamy i wiemy o nim wszystko, a co więcej, wszyscy to wiedzą z wyjątkiem ciebie.

– I co, nie uważacie, że jest fantastycznym Honsem?

– Fabrice – powiedział lord Merlin z naciskiem – jest niewątpliwie jednym z największych drani, jeśli chodzi o kobiety. Muszę jednak przyznać, że jest wyjątkowo sympatycznym kompanem.

– Pamiętasz go z Wenecji? – wtrącił Davey. – Widywało się go przy robocie w tej gondoli. Zaliczał jedną po drugiej, przerzucając je jak króliki, biedactwa.

– Pamiętajcie proszę – odezwała się Linda – że jecie w tej chwili podwieczorek na jego koszt.

– Tak, w rzeczy samej, i to pyszny. Poproszę cię o jeszcze jedną eklerkę, Lindo. Tamtego lata, kiedy uciekł z tą dziewczyną Ciana, jakiż skandal wybuchł, nigdy nie zapomnę, po czym po tygodniu on *plagué*<sup>65</sup> ją w Cannes i pojechał do Salzburga z Marthą Birmingham, a biedny Claud strzelał do niego cztery razy i za każdym razem pudłował.

– Fabrice’a kule się nie imają – zauważył lord Merlin. – Chyba do nikogo innego nie strzelano tyle, co do niego, a o ile wiem, nigdy nie doznał nawet draśnięcia.

Lindy nie wzruszały te rewelacje, które przedtem ujawnił jej sam Fabrice. Zresztą żadnej kobiecie nie przeszkadzają opowieści o dawnych romansach kochanka, moc przerażania ma jedynie przyszłość.

– Chodź, Mer – powiedział Davey. – Czas, by *la petite femme* przywdziała *négligée*. Boże, co to będzie za scena, kiedy on wyczuje cygaro Merlina, nie zdziwiłbym się, gdyby doszło do *crime passionel*. Do widzenia, kochana Lindo, wybieramy się na kolację z naszymi intelektualnymi przyjaciółmi, rozumiesz. Czy zjesz jutro z nami obiad w Ritzu? Zatem koło pierwszej.

Kiedy Fabrice przyszedł i obwąchał pokój, zapytał, czyje to było cygaro. Linda wyjaśniła.

– Mówią, że cię znają.

– *Mais bien sûr, Merlin tellement gentil, et l’autre Warbeck, toujours si malade, le pauvre. Je les connaissais à Venise*<sup>66</sup>. Co oni myślą o tym wszystkim?

– Wyśmiewali się z mieszkania.

– Tak, mogę sobie wyobrazić. Zupełnie nie jest dla ciebie odpowiednie, ale jest wygodne i wobec nadchodzącej wojny...

– Och, ale ja je kocham, nic innego ani w połowie by mi się tak nie podobało. Swoją drogą, czy nie są genialni, że mnie odnaleźli?

– Czy chcesz powiedzieć, że nikomu nie powiedziałaś, gdzie jesteś?

– Szczerze mówiąc, nie myślałam o tym. Dni mijają jeden za drugim, wiesz, jak to jest. Po prostu się o tym nie pamięta.

– I minęło sześć tygodni, zanim pomyśleli, żeby cię poszukać. Jako rodzina wydajecie mi się dziwnie *décousu*<sup>67</sup>.

Linda nagle rzuciła się w jego ramiona i wykrzyknęła namiętnie:

– Nigdy, przenigdy nie pozwól mi do nich wrócić!

– Moje kochanie, ale przecież ich kochasz. Mamę i papę, Matta i Robina, Victorię i Fanny. O co chodzi?

– Nigdy, nie chcę cię opuścić do końca moich dni.

– Ha! Ale wiesz, że będziesz prawdopodobnie musiała, niedługo. Wiesz, że wybuchnie wojna.

– Dlaczego nie mogę tu zostać? Mogłabym pracować, mogłabym być pielęgniarką. No może nie pielęgniarką akurat, ale czymś.

– Jeśli mi obiecasz, że będziesz robić, co ci powiem, możesz tu jeszcze zostać przez jakiś czas. Na początku będziemy siedzieli i patrzyli na Niemców przez Linie Maginota, potem będę dużo w Paryżu, między Paryżem a frontem, ale głównie tu. W tym czasie chcę, żebyś tu była. Wtedy ktoś, my albo Niemcy, ale bardzo się boję, że Niemcy, przekroczy tę linię i rozpocznie się ruch wojenny. Zostanę powiadomiony o tym *étape* i musisz mi obiecać, że z chwilą, kiedy ci powiem, żebyś jechała do Londynu, wyjedziesz, nawet choćbyś nie widziała powodu, żeby tak zrobić. Niewymownie utrudniłoby mi wykonywanie moich obowiązków, gdybyś nadal tu była. Więc przyrzekniesz mi uroczyście, teraz?

– Zgoda – odparła Linda. – Uroczyście. Nie sądzę, żeby coś rzeczywiście okropnego miało mi się przydarzyć, ale obiecuję postąpić tak, jak mi każesz. Teraz, czy ty obiecasz mi przyjechać do Londynu, kiedy tylko będzie po wszystkim i mnie odnaleźć. Obiecujesz?

– Tak – odpowiedział Fabrice. – Obiecuję.

Obiad z Daveyem i lordem Merlinem upłynął w ponurej atmosferze. Panowało przygnębienie. Obydwaj mężczyźni do późna w nocy zabawiali się z literackimi przyjaciółmi i było to po nich widać. Davey zaczynał być świadom okrutnych skurczów niestrawności, lord Merlin mocno cierpiał z powodu zwyczajnego kaca, a kiedy zdjął okulary, bynajmniej mu dobrze z oczu nie patrzyło. Ale najbardziej z całej trójki przybita była Linda, prawdę mówiąc, zupełnie ją rozkojarzyła podsłuchana rozmowa na temat Fabrice'a, którą w westybulu prowadziły dwie francuskie damy. Przyszła, jak miała w zwyczaju, dość wcześnie, bo wuj Matthew wbił jej do głowy, że należy przestrzegać punktualności. Fabrice nigdy nie zabrał jej do Ritza, uznała, że to zachwycające miejsce, wiedziała, że sama wygląda przynajmniej równie ładnie, jak wszystkie obecne panie, i jest prawie równie dobrze ubrana, usadowiła się więc zadowolona w oczekiwaniu na pozostałych. Nagle usłyszała, że skurczem serca, które się odczuwa, kiedy pada imię ukochanej osoby wypowiedane przez obcych:

– Czy widziałaś ostatnio Fabrice'a?

– Owszem, widziałam, bo dość często widuję go u madame de Sauveterre, ale on nigdzie nie chodzi, jak wiesz.

– Więc co z Jacqueline?

– Nadal w Anglii. Biedny Fabrice, on bez niej jest zupełnie zagubiony, przypomina psa szukającego swego pana. Siedzi smutny w domu, nie chodzi na przyjęcia, nie chodzi do klubu, nikogo nie widuje. Matka naprawdę się o niego martwi.

– Kto by kiedykolwiek się spodziewał, że Fabrice będzie tak wierny. Jak długo to trwa?

– Jakieś pięć lat. Cudownie szczęśliwy *ménage*.



- Chyba Jacqueline niedługo wróci.
- Dopiero, gdy umrze jej stara ciotka. Ona, zdaje się, bez końca zmienia testament i Jacqueline uważa, że powinna być na miejscu cały czas. W końcu musi myśleć o mężu i dzieciach.
- Niełatwe to dla Fabrice’a.
- *Qu’est que vous voulez?*<sup>68</sup> Jego matka mówi, że dzwoni do niej co rano i rozmawia przez godzinę...

W tym momencie nadeszli Davey i lord Merlin, najwyraźniej zmęczeni i źli, i zabrali Lindę na obiad. Bardzo chciała zostać i usłyszeć więcej z tej będącej dla niej torturą rozmowy, ale oni, odrzuciwszy ze wstrętem samą myśl o koktajlach, pospieszyli do jadalni, gdzie byli dla niej tylko względnie mili, a dla siebie otwarcie nieprzyjemni.

Myślała, że posiłek nigdy się nie skończy, a kiedy wreszcie to nastąpiło, rzuciła się do taksówki i pojechała do domu Fabrice’a. Musi dowiedzieć się czegoś o Jacqueline, musi poznać jego intencje. Czy z chwilą, gdy Jacqueline wróci, to ona, Linda, będzie musiała wyjechać, tak jak obiecała? Ruch wojenny, rzeczywiście!

Służący ją poinformował, że księżę właśnie wyszedł z księżną, ale wróci za jakąś godzinę. Linda powiedziała, że zaczeka, zaprowadził ją więc do salonu Fabrice’a. Zdjęła kapelusz i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Przychodziła tu już przedtem kilka razy z Fabrice’em i salon wydawał jej się, po jej zalanym słońcem mieszkaniu, trochę ponury. Teraz, gdy znalazła się tu sama, zaczęła uświadamiać sobie niezwykle piękno tego pomieszczenia, poważne, uroczyste piękno, które przeniknęło ją do głębi. Salon był wysoki, prostokątny, z szarymi boazeriami i zasłonami z wiśniowego brokatu. Wychodził na dziedziniec i żaden promień słońca nie mógł się tu zabłąkać, tego plan nie przewidywał. To było cywilizowane wnętrze, nie miało nic wspólnego z przebywaniem na dworze. Każdy przedmiot cechowała doskonałość: meble o surowych liniach i wspaniałych proporcjach roku 1780, portret damy z papugą na nadgarstku pędzla Lancreta, popiersie tej samej damy dłuta Bouchardona, dywan podobny do dywanu w mieszkaniu Lindy, tylko większy i wspanialszy, z olbrzymim herbem pośrodku. Wysoka rzeźbiona półka na książki mieściła wyłącznie francuską klasykę, oprawną we współczesny marokin, z koroną Sauveterre’ów, a na wielkim stole do rozkładania map leżał otwarty album róż Redoutégo.

Linda poczuła się o wiele spokojniejsza, ale równocześnie bardzo smutna. Zrozumiała, że ten pokój ukazuje stronę charakteru Fabrice’a, którą ledwie pozwolono jej przeczuwać i która miała swoje korzenie we wspaniałości starej francuskiej cywilizacji. Był to właściwy Fabrice, coś, w czym nigdy nie będzie mogła mieć udziału – zawsze pozostanie na zewnątrz w swoim słonecznym nowoczesnym mieszkaniu, trzymana od tego wszystkiego z daleka, trzymana

rygorystycznie na dystans, nawet gdyby ich związek miał trwać w nieskończoność. Początki rodziny Radlettów ginęły w pomroce dziejów, ale początki rodziny Fabrice'a wcale nie były zatarte, obecne tu każde pokolenie wczepiało się w następne. Anglicy, pomyślała, odrzucają swoich przodków. Na tym polega wielka siła naszej arystokracji, ale Fabrice ma swoich przodków uwieszonych u szyi i nigdy się od nich nie uwolni.

Zaczęła zdawać sobie sprawę, że to tutaj byli jej rywale, jej wrogowie, i że Jacqueline była niczym w porównaniu z nimi. Tutaj i w grobie Louise. Przychodzić do tego domu i robić scenę z powodu rywalki byłoby czymś całkowicie bez znaczenia, jedna fikcyjność skarżąca się z powodu drugiej. Fabrice by się zirytował, jak zawsze mężczyźni w tych wypadkach, i Linda nie miałaby żadnej satysfakcji. Już słyszała jego ton, oschły i sarkastyczny:

– *Ah! Vous me grondez, madame?*<sup>69</sup>

Lepiej sobie pójść, lepiej zignorować całą sprawę. Jediną jej nadzieją było utrzymać wszystko tak, jak jest, utrzymać to szczęście, którym cieszyła się dzień po dniu, godzina po godzinie, i w ogóle nie myśleć o przyszłości. Przyszłość nie ma jej nic do zaoferowania, nie ma co o niej myśleć. Zresztą przyszłość każdego była teraz zagrożona w obliczu zbliżającej się wojny, tej wojny, o której ona stale zapominała.

Tego wieczoru jednak przypomniano jej o niej, bo Fabrice przyszedł w mundurze.

– Jeszcze miesiąc, myślę – powiedział. – Kiedy tylko zakończą żniwa.

– Gdyby to zależało od Anglików – zauważyła Linda – zaczekałoby do zakończenia gwiazdkowych zakupów. Och, Fabrice, to nie potrwa długo, prawda?

– Będzie to bardzo nieprzyjemne, kiedy będzie trwać – oparł Fabrice. – Byłaś dzisiaj u mnie?

– Tak, po obiedzie z tymi dwoma złośnikami poczułam nagle, że bardzo chcę cię zobaczyć.

– *Comme c'est gentil*<sup>70</sup> – popatrzył na nią badawczo, jak gdyby coś mu przyszło do głowy – ale dlaczego nie czekałaś?

– Wystraszyli mnie twoi przodkowie.

– O, czyżby? Ale wydaje mi się, że pani też ma przodków, madame?

– Tak, ale oni nie narzucają swojej obecności w taki sposób jak twoi.

– Powinnaś była zostać – powiedział Fabrice – zawsze widzimy cię z wielką przyjemnością, zarówno ja, jak i moi przodkowie. Wszystkich nas to podnosi na duchu.

Germaine weszła do pokoju, przynosząc naręcza kwiatów oraz bilecik od lorda Merlina następującej treści:

„Trochę drzew do lasu. Wracamy do domu huśtającym się promem. Jak myślisz, uda mi się dowieźć Daveya w całości? Załączam coś, co może pewnego

dnia się przydać”.

Był to banknot dwudziestotysięcznofrankowy.

– Muszę przyznać – oświadczyła Linda – że biorąc pod uwagę jego okrutne oczy, on naprawdę myśli o wszystkim.

Była usposobiona sentymentalnie po wydarzeniach dnia.

– Powiedz mi, Fabrice – zapytała – co sobie pomyślałeś w pierwszej chwili, kiedy mnie zobaczyłeś?

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, pomyślałem: *Tiens, elle ressemble à la petite Bosquet*<sup>71</sup>.

– Kto to jest?

– Są dwie siostry Bosquet, starsza, która jest piękną, i młoda, która wygląda tak jak ty.

– *Merci beaucoup* – powiedziała Linda. – *J’aimerais autant ressembler à l’autre*<sup>72</sup>.

Fabrice się roześmiał.

– *Ensuite, je me suis dit, comme c’est amusant, le côté démodé de tout ça...*<sup>73</sup>

Kiedy wojna, tak długo wisząca w powietrzu, wreszcie wybuchła około sześciu tygodni później, Lindy jakoś dziwnie to nie obeszło. Była tak bardzo pogrążona w terażniejszości, w swoim własnym odizolowanym i pozbawionym przyszłości życiu, które i tak wydawało się mocno niepewne, przeżywane z godziny na godzinę, że wydarzenia zewnętrzne ledwo docierały do jej świadomości. Kiedy myślała o wojnie, to z ulgą, że się wreszcie zaczęła, w tym sensie, iż początek jest pierwszym krokiem do zakończenia. Że zaczęła się tylko nominalnie, a nie faktycznie, nie przyszło jej do głowy. Oczywiście, gdyby Fabrice został z powodu wojny gdzieś wysłany, jej nastawienie byłoby zupełnie inne, ale jego praca, praca w wywiadzie, wymagała przede wszystkim obecności w Paryżu, i prawdę mówiąc, widywała go teraz raczej częściej niż przedtem, ponieważ wprowadził się do niej, natomiast swoje mieszkanie zamknął, a matkę wysłał na wieś. Zjawiał się i znikał w najrozmaitszych momentach dnia i nocy, a ponieważ jego widok sprawiał Lindzie nieustającą radość, ponieważ nie mogła wyobrazić sobie większego szczęścia niż to, kiedy pusta przestrzeń przed jej oczyma wypełniała się jego kształtem, te nagłe pojawienia utrzymywały ją w stanie szczęśliwego napięcia, a ich relację w stadium gorączki.

Od czasu wizyty Daveya Linda otrzymywała listy od rodziny. Davey dał ciotce Sadie adres i powiedział jej, że Linda zaangażowana jest w Paryżu w pracę wojenną na rzecz udogodnień dla armii francuskiej, jak to mgliście ujął, co nie odbiegało tak dalece od prawdy. Ciotce Sadie to się podobało, uważała, że to bardzo szlachetnie ze strony Lindy, że tak ciężko pracuje (nieraz po całych nocach, mówił Davey), i cieszyła się, że zarabia na swoje utrzymanie. Praca ochotnicza

często była niezadowolająca i kosztowna. Wuj Matthew uważał, że szkoda pracować dla cudzoziemców, i ubolewał nad tym, że jego dzieci tak lubią przekraczać oceany, ale także popierał zdecydowanie pracę wojenną. Oburzał się, że Ministerstwo Wojny nie było w stanie ofiarować mu okazji powtórzenia wyczynu ze szpadlem wojskowym, czy w ogóle jakiejś roboty, i chodził zły, jakby go osa ugryzła, przepełniony niezaspokojonym pragnieniem walczenia za króla i kraj.

Napisałam do Lindy i przekazałam jej wiadomości o Christianie, który powrócił do Londynu, wystąpił z Partii Komunistycznej i zaciągnął się do wojska. Wróciła też Lavender; obecnie działała w Pomocniczej Służbie Transportowej.

Christian nie wykazywał najmniejszego zainteresowania losami Lindy, nie wyglądało na to, żeby chciał się z nią rozwieść czy ożenić się z Lavender, całym sercem zaangażował się w życie wojskowe i myślał tylko o wojnie.

Przed wyjazdem z Perpignan wysłał do kraju Matta, który po wielu namowach zgodził się opuścić swoich hiszpańskich towarzyszy, żeby przyłączyć się do walki z faszyzmem na innym froncie. Wstąpił do dawnego pułku wuja Matthew i podobno zanudzał kolegów w mesie oficerskiej zarzutami, że całkowicie źle szkolą żołnierzy i że podczas bitwy nad Ebro postępowano tak a tak. Wreszcie pułkownik, nieco bystrzejszy niż inni, znalazł oczywistą odpowiedź, która brzmiała: „Niemniej wasza strona przegrała!”. To uciszyło Matta w sprawach taktyki, ale pobudziło w sprawach statystyki – „trzydzieści tysięcy Niemców i Włochów, pięćset niemieckich samolotów” i tak dalej – co było niemal równie nudne.

Linda nie słyszała już więcej o Jacqueline i stopniowo zapominała o przygnębieniu, w którym pogrążyło ją tych kilka przypadkowo podsłuchanych w Ritzu słów. Mówiła sobie, że nikt naprawdę nie wie, co się dzieje w sercu mężczyzny, nawet, a może przede wszystkim, jego matka, i że w miłości liczą się czyny. Fabrice nie miał teraz czasu dla dwóch kobiet, każdą wolną chwilę spędzał z nią, i już to samo ją uspokajało. Poza tym, tak jak jej małżeństwa z Tonym i Christianem były konieczne, żeby doprowadzić ją do spotkania z Fabrice'em, tak tamten romans doprowadził jego do spotkania z nią; niewątpliwie musiał odprowadzać Jacqueline na Gare du Nord, kiedy znalazł zapłakaną Lindę siedzącą na walizce. Stawiając się na miejscu Jacqueline, zdała sobie sprawę, o ile lepiej być na własnym; zresztą to nie Jacqueline była jej niebezpieczną rywalką, ale ta mglista, cnotliwa postać z przeszłości, Louise. Jeśli Fabrice stawał się nieco mniej praktyczny, trochę bardziej nedorzeczny i romantyczny, zawsze wtedy mówił o narzeczonej, rozwodząc się z łagodnym smutkiem nad jej pięknnością, jej szlachetnym urodzeniem, jej olbrzymim majątkiem i jej religijną manią. Linda napomknęła kiedyś, że gdyby narzeczonej dane było zostać żoną, mogłaby nie być żoną zbyt szczęśliwą.

– Całe to wspinanie się do okien cudzych sypialni – zauważyła – chyba by ją martwiło?

Fabrice sprawiał wrażenie absolutnie zszokowanego i urażonego i oświadczył, że w małżeństwie żadne wspinanie nie wchodziłoby w grę, że ma najszczytniejsze ideały i że poświęciłby całe życie dla szczęścia Louise. Linda poczuła się skarcona, ale nie była do końca przekonana.

Przez cały ten okres Linda obserwowała ze swego okna czubki drzew. Zmieniały się, w czasie gdy przebywała w tym mieszkaniu, od jasnozielonych na tle błękitnego nieba, przez ciemnozielone na tle lawendowego nieba, do żółtych na tle lazurowego nieba, aż teraz stały się czarnymi szkieletami na tle moleskinu i był to dzień Bożego Narodzenia. Okien nie dało się już otwierać, ale ilekroć pokazało się słońce, świeciło do jej pokoi i w mieszkaniu było zawsze ciepło jak w uchu. Tego ranka, w dzień Bożego Narodzenia, Fabrice przybył całkiem niespodziewanie, zanim jeszcze wstała, z naręczami paczek i wkrótce podłogę w jej sypialni pokryły fale bibułki, pomiędzy których niczym wraki i potwory wynurzające się z płytkiego morza wyłaniały się futra, kapelusze, prawdziwa mimoza, sztuczne kwiaty, pióra, perfumy, rękawiczki, pończochy, bielizna oraz szczenię rasy buldog.

Linda wydała dwadzieścia tysięcy franków od lorda Merlina na malutkiego Renoira dla Fabrice'a: sześć cali nadmorskiego krajobrazu, skrawek jaskrawego błękitu, bardzo dobrze pasujący jej zdaniem do jego pokoju na rue Bonaparte. Fabrice'owi trudniej było kupić prezent niż komukolwiek innemu, posiadał większy niż ktokolwiek, kogo znała, zbiór najrozmaitszych klejnotów, bibelotów i różnych rzadkich rzeczy. Zachwycił się Renoirem, nic, powiedział, nie sprawiłoby mu większej przyjemności, i Linda czuła, że mówi prawdę.

– Ale zimny dzień – powiedział. – Wracam właśnie z kościoła.  
– Fabrice, jak możesz chodzić do kościoła, kiedy ja jestem?  
– A dlaczego nie?  
– Jesteś katolikiem, prawda?  
– Oczywiście, że jestem. Jak myślisz? Czy uważasz, że wyglądam na kalwina?

– Ale wobec tego, czy nie żyjesz w grzechu śmiertelnym? Co z tym, kiedy się spowiadasz?

– *On ne précise pas*<sup>74</sup> – rzucił niedbale Fabrice – zresztą te drobne grzeszki ciała są zupełnie nieistotne.

Linda wolałaby myśleć, że jest w życiu Fabrice'a czymś więcej niż drobnym grzeszkiem ciała, ale przywykła już do natykania się na te zamknięte drzwi w swoich z nim relacjach i nauczyła się traktować to filozoficznie i cieszyć się tym szczęściem, które otrzymywała.

– W Anglii – powiedziała – ludzie zawsze wyrzekają się siebie z powodu

katolicyzmu. Czasami to jest dla nich bardzo smutne. Jest dużo angielskich książek na ten temat.

– *Les Anglais sont des insensés, je l'ai toujours dit*<sup>25</sup>. Tak mówisz, jakbyś prawie chciała, żebym się ciebie wyrzekł. Co zdarzyło się od soboty? Nie jesteś zmęczona swoją pracą wojenną, mam nadzieję?

– Nie, nie, Fabrice. Po prostu się zastanawiałam, to wszystko.

– Ale sprawiasz wrażenie takiej smutnej, *ma chérie*, o co chodzi?

– Myślałam o Bożym Narodzeniu w domu. Zawsze jestem sentymentalna w Boże Narodzenie.

– Jeśli to, co powiedziałem, że może się zdarzyć, się zdarzy i będę musiał odesłać cię do Anglii, pojedziesz do domu do ojca?

– Och, nie – powiedziała Linda – zresztą to się nie zdarzy. Wszystkie angielskie gazety piszą, że zabijamy Niemców naszą blokadą.

– *Le blocus* – zachnął się Fabrice – *quelle blague! Je vais vous dire, madame, ils ne se fichent pas mal de votre blocus*<sup>26</sup>. Więc dokąd byś pojechała?

– Do mojego własnego domu w Chelsea i czekała na twój przyjazd.

– To mogą być miesiące albo lata.

– Będę czekać – powiedziała.

Szkielety koron drzew zaczęły się wypełniać, nabrały różowawego koloru, który stopniowo zmieniał się w złotozielony. Niebo często było niebieskie i czasem Linda znów mogła otwierać okna i leżeć naga w słońcu, którego promienie już miały pewną moc. Zawsze kochała wiosnę, kochała nagłe zmiany temperatury, cofnięcia się do zimy i przeskoki do lata, a tego roku, mieszkając w pięknym Paryżu, z wrażliwością wyostrzoną przez wielkie uczucie, szczególnie mocno to odbierała. W powietrzu wyczuwało się coś dziwnego, bardzo odmiennego od nastroju panującego przed Bożym Narodzeniem, znacznie większą nerwowość; w mieście huczało od plotek. Lindzie często przypominało się wyrażenie *fin de siècle*. Uważała, że istnieje pewna analogia między stanem umysłu, które ono określa, a tym przeważającym obecnie, tyle że teraz przypominało to bardziej *fin de vie*. Było to tak, jakby wszyscy wokół niej i ona sama przeżywali ostatnie kilka dni swojego życia, ale ta dziwna atmosfera nie przeszkadzała jej, opanowało ją spokojne i szczęśliwe poczucie fatalizmu. Godziny oczekiwania między wizytami Fabrice'a wypełniała leżeniem w słońcu, jeśli było, i zabawą ze swoim szczeniakiem. Za radą Fabrice'a zaczęła zamawiać trochę nowych ubrań na lato. Fabrice, zdaje się, uważał, że nabywanie ubrań jest jednym z głównych obowiązków kobiety, który ma być wypełniany w czas wojny i rewolucji, podczas choroby i aż do śmierci. Można by powiedzieć, w myśl dewizy: „Cokolwiek się dzieje, pola trzeba uprawiać, bydło obrządzać, życie musi trwać”. Był tak do głębi miejski, że powolne przesuwanie się pór roku wyznaczały dla niego wiosenne

*tailleurs*, letnie *imprimés*, jesienne *ensembles*<sup>77</sup> oraz zimowe futra kochanki.

Pewnego pięknego, wietrznego, bładoniebieskiego dnia w kwietniu cios spadł. Fabrice, którego Linda nie widziała prawie przez tydzień, przyjechał z frontu poważny i zaszępioty i powiedział jej, że musi natychmiast wracać do Anglii.

– Mam dla ciebie miejsce w samolocie – oznajmił – na popołudnie. Musisz spakować małą walizkę, a reszta twoich rzeczy pojedzie za tobą pociągiem. Germaine zajmie się tym. Ja muszę iść do Ministère de la Guerre, wrócę najszybciej, jak się da, a w każdym razie na czas, żeby cię odwiedzić na Le Bourget. Chodź – dodał – mamy akurat czas na niewielką pracę wojenną.

Był w swoim najbardziej praktycznym i najmniej romantycznym nastroju.

Po powrocie z miasta wyglądał na bardziej zajętego niż kiedykolwiek. Linda czekała na niego, spakowana, w niebieskim kostiumie, w którym zobaczył ją po raz pierwszy, i ze swoim starym futrem z norek przerzuconym przez ramię.

– *Tiens* – powiedział Fabrice, który natychmiast zauważył, co miała na sobie – co to jest? Bal przebierańców?

– Fabrice, musisz zrozumieć, że ja nie mogę zabrać tych rzeczy, które mi dałeś. Bardzo się nimi cieszyłam, kiedy tu byłam i kiedy tobie sprawiało przyjemność widzieć mnie w nich, ale w końcu mam jakąś dumę. *Je n'étais quand même pas élevée dans un bordel*<sup>78</sup>.

– *Ma chère*, spróbuj nie być taka mieszczańska, to zupełnie do ciebie nie pasuje. Nie ma czasu, żebyś się przebrała... chociaż, poczekaj...

Poszedł do jej sypialni i wrócił z długim sobolowym futrem, jednym ze swoich gwiazdkowych prezentów. Wziął jej norki, zwinął i wrzucił do kosza na śmiecie, a zamiast nich przerzucił jej przez ramię sobole.

– Germaine pośle za tobą twoje rzeczy – powiedział. – Chodź już, musimy iść.

Linda pożegnała się z Germaine, wzięła na ręce buldożka i wyszła za Fabrice'em do windy i na ulicę. Nie w pełni rozumiała, że to szczęśliwe życie zostawia za sobą na zawsze.

Z początku, po powrocie na Cheyne Walk, nadal nie rozumiała. Świat istotnie był szary i zimny, słońce schowało się za chmurą, ale przecież tylko na chwilę, wyjdzie znowu; wkrótce spowije ją ponownie to gorąco i światło, które pozostawiło ją skąpaną w tak ciepłej poświacie, na niebie wciąż jest dużo błękitu, ta mała chmurka się przesunie. Raptem, jak to się zdarza czasami, chmura, która początkowo wydawała się tak niewielka, zaczęła się powiększać coraz bardziej, aż grubą zasłoną pokryła horyzont. Nadchodziły złe wiadomości, straszliwe dni, niezapomniane tygodnie. Wielki stalowy horror przetaczał się przez Francję, toczył się w kierunku Anglii, połykając po drodze drobne istotki, które usiłowały go zatrzymać, połykając Fabrice'a, Germaine, tamto mieszkanie i ostatnie miesiące życia Lindy, połykając Alfreda, Boba, Matta i małego Robina, nadciągając, by połknąć nas wszystkich. Londyńczycy płakali otwarcie w autobusach, na ulicy za utraconą angielską armią.

I nagle pewnego dnia angielska armia wróciła. Wywołało to uczucie tak intensywnej ulgi, jak gdyby wojna już się skończyła i została wygrana. Pojawili się wszyscy: Alfred i Bob, i Matt, i mały Robin, przyjechało także sporo francuskich żołnierzy. Linda miała szaloną nadzieję, że wśród nich może być Fabrice. Cały dzień siedziała przy telefonie, a kiedy zadzwonił i okazywało się, że to nie Fabrice, wściekała się na nieszczęsnego rozmówcę – wiem, ponieważ przydarzyło się to i mnie. Była w takiej furii, że położyłam słuchawkę i udałam się prosto na Cheyne Walk.

Zastałam ją przy rozpakowywaniu wielkiego kufra, który właśnie przybył z Francji. Nigdy nie widziałam jej tak pięknej. Odebrało mi mowę i przypomniało mi się, jak Davey powiedział po powrocie z Paryża, że Linda w końcu spełniła obietnicę swojego dzieciństwa i stała się piękną.

– Jak twoim zdaniem to tutaj dotarło? – zapytała między łzami a śmiechem.  
– Cóż to za przedziwna wojna. Ludzie z Southern Railway właśnie to przynieśli, a ja podpisałam, jak gdyby nigdy nic i nie zrozumiałam z tego ani jednego słowa. Co robisz w Londynie, kochanie?

Wydawała się nieświadoma faktu, że pół godziny wcześniej rozmawiała ze mną, ba!, że zmyła mi głowę przez telefon.

– Przyjechałam z Alfredem. On musi załatwić nowy sprzęt i zobaczyć się z różnymi ludźmi. Chyba znowu bardzo niedługo wyjeżdża.

– To bardzo pięknie z jego strony – powiedziała Linda – kiedy, jak przypuszczam, w ogóle nie musiałyby się zaciągać. Co on mówi o Dunkierce?

– Mówił, że było to coś jak żywcem wyjęte z magazynu dla chłopców. Wydaje się, że przeżył fascynującą przygodę.



– Jak oni wszyscy. Nasi chłopcy byli tu wczoraj i nie masz pojęcia, jakie historie opowiadali. Oczywiście nie zdawali sobie do końca sprawy z dramatyzmu sytuacji, dopóki nie dotarli na wybrzeże. Och, czyż to nie cudowne mieć ich z powrotem. Gdyby tylko... gdyby wiedziało się, co spotkało francuskich znajomych... – Popatrzyła na mnie spod rzęs i myślałam, że opowie mi o swoim życiu, ale jeśli miała taki zamiar, to go zmieniła i wróciła do rozpakowywania.

– Będę musiała te zimowe rzeczy włożyć z powrotem do pudeł – powiedziała. – Po prostu nie mam szaf, w których by się wszystkie pomieściły, ale przynajmniej jest coś do roboty, zresztą się cieszę, że znów je widzę.

– Powinnaś je powytrząsać – poradziłam – i rozłożyć na słońcu. Mogą być wilgotne.

– Kochanie, jesteś cudowna, wszystko wiesz.

– Skąd masz tego szczeniaka? – zapytałam z zazdrością. Od lat marzyłam o buldogu, ale Alfred nie chciał mi pozwolić ze względu na chrapanie.

– Przywiozłam go ze sobą. To najmilszy szczeniak, jakiego kiedykolwiek miałam, zawsze się tak stara przypodobać, nie wyobrażasz sobie.

– A co z kwarantanną?

– Pod moim płaszczem – odparła lakonicznie Linda. – Szkoda, że nie słyszałaś, jak chrząkał i sapał, wszystko się trzęsło, umierałam ze strachu, ale on był taki grzeczny. Ani drgnął. A propos szczeniaków, ci okropni Kroesigowie wysyłają Moirę do Ameryki, czyż to nie typowe dla nich? Stoczyłam walkę z Tonym, żebym mogła ją zobaczyć, zanim pojedzie, w końcu jestem jej matką.

– Tego nigdy nie byłam w stanie zrozumieć u ciebie, Lindo.

– Czego?

– Że mogłaś być taka okropna dla Moiry.

– Nudna – odpowiedziała Linda. – Nieinteresująca.

– Ja wiem, ale rzecz w tym, że dzieci są jak szczeniaki, a jeśli nigdy nie widzisz szczeniaków, jeśli oddajesz je na wychowanie stajennemu albo leśniczemu, to wiesz, że zawsze są nudne i nieinteresujące. Dzieci są dokładnie takie same, musisz im dać znacznie więcej niż życie, jeśli ma z nich coś być. Biedna mała Moira, dałaś jej tylko to straszne imię.

– Och, Fanny, wiem. Mówiąc prawdę, wydaje mi się, że zawsze gdzieś myślałam w głębi ducha, że prędzej czy później powinnam uciec od Tony'ego, i nie chciałam się za bardzo przywiązywać do Moiry ani żeby ona za bardzo przywiązała się do mnie. Mogła stać się kotwicą, a ja po prostu bałam się zakotwiczyć przy Kroesigach.

– Biedna Linda.

– Och, nie żałuj mnie. Miałam jedenaście miesięcy doskonałego i niezmaconego szczęścia, przypuszczam, że bardzo niewielu ludzi może to powiedzieć w ciągu nawet najdłuższego życia.

Ja też tak przypuszczałam. Jesteśmy z Alfredem szczęśliwi, tak szczęśliwi, jak tylko może być małżeństwo. Jesteśmy zakochani, intelektualnie i fizycznie odpowiadamy sobie w każdy możliwy sposób, czerpiemy radość ze swojego towarzystwa, mamy trójkę rozkosznych dzieci i żadnych problemów finansowych. A jednak, kiedy rozpatruję moje życie dzień po dniu, godzina po godzinie, wydaje mi się, że składa się ono z szeregu niedogodności. Nianie, kucharki, niekończąca się domowa harówka, wykańczający nerwowo hałas, jaki robią małe dzieci, ich monotonna, wwiercająca się w mózg paplanina, ich całkowita niezdolność do zabawienia siebie, ich nagłe i przerażające choroby, nierzadkie humory Alfreda, jego niezmiennie narzekania przy posiłkach na deser, to że zawsze używa mojej pasty do zębów i zawsze wyciska ją ze środka tubki. To są składniki małżeństwa, razowy chleb życia, gruboziarnisty, zwykły, ale syjący. Linda żywiła się miodną rosą, a to nieporównywalna dieta.

Starsza kobieta, która otworzyła mi drzwi, teraz weszła i zapytała, czy to wszystko, bo jeśli tak, to pójdzie do domu.

– Wszystko – powiedziała Linda. – Pani Hunt – zwróciła się do mnie – fantastyczny Hons, przychodzi codziennie.

– Czemu nie pojedziesz do Alconleigh – spytałam – albo do Shenley? Ciocia Emily i Davey bardzo by się cieszyli, gdybyś przyjechała, i ja tam się wybieram, gdy tylko Alfred znowu wyjedzie.

– Chętnie przyjadę któregoś dnia, kiedy będę wiedziała trochę więcej, co się dzieje, ale na razie muszę być tutaj. Ale uściskaj ich ode mnie. Tyle mam ci do opowiedzenia, Fanny, potrzeba nam naprawdę wielu godzin w kryjówce Honsów.

Po wielu wahaniach Tony Kroesig i jego żona Pixie pozwolili Moirze zobaczyć się z matką przed wyjazdem z Anglii. Przyjechała na Cheyne Walk samochodem Tony'ego, z szoferem nadal w liberii, nie w mundurze. Była nieładną, nudną, nieśmiałą dziewczynką, niemającą w sobie nic z Radlettów; nie owijając w bawełnę, była prawdziwą małą Gretchen.

– Co za słodki szczeniaczek – powiedziała z zakłopotaniem, kiedy Linda ją ucałowała. Najwyraźniej była bardzo zażenowana. – Jak się wabi?

– Plon-plon.

– O, czy to francuskie imię?

– Tak, francuskie. Wiesz, to francuski pies.

– Tatuś mówi, że Francuzi są okropni.

– Nie dziwi mnie to.

– Mówi, że nas zawiedli i czego możemy się spodziewać, jeśli mamy do czynienia z takimi ludźmi.

– Owszem, to do niego podobne.

– Tatuś uważa, że powinniśmy walczyć po stronie Niemców, a nie

przeciwko nim.

– Hm. Ale tatuś chyba nie za bardzo walczy po czyjejkolwiek stronie albo przeciw komukolwiek czy w ogóle, o ile mogę się zorientować. Słuchaj, Moiro, zanim pójdziesz, mam do ciebie dwie sprawy, jedna to prezent, a druga kilka uwag. Uwagi są bardzo nudne, więc załatwmy to najpierw, zgoda?

– Tak – odpowiedziała apatycznie Moira. Posadziła szczeniaka koło siebie na sofie.

– Chcę, żebyś wiedziała – zaczęła Linda – i proszę, żebyś zapamiętała, Moiro (przestań bawić się z pieskiem i słuchaj uważnie, co mówię), że ja bynajmniej nie pochwalam tej twojej ucieczki, uważam, że to źle, bardzo źle. Kiedy ma się kraj, który dał nam tak wiele, jak Anglia dała nam wszystkim, powinno się przy nim trwać, a nie opuszczać go, kiedy tylko zaczyna wyglądać, że ma kłopoty.

– Ale to nie moja wina. – Moira zmarszczyła czoło. – Jestem tylko dzieckiem i Pixie mnie zabiera. Przecież muszę robić, co mi każą.

– Tak, oczywiście, masz rację. Ale o wiele bardziej wolałabyś zostać, prawda? – zapytała Linda z nadzieją.

– Och, nie, chyba nie. Mogą być naloty.

W tym momencie Linda dała za wygraną. Dzieciom mogą się podobać lub nie trwające naloty, ale to, że dziecka nie ekscytuje myśl o nich, było dla niej niepojęte i nie mogła uwierzyć, że poczęła taką istotę. Nie ma sensu tracić więcej czasu i strzępić sobie języka dla tej małej dziwaczki. Westchnęła i powiedziała:

– Poczekaj chwilę, przyniosę ci prezent.

W kieszeni miała, w wyściełanym aksamitem pudełku, koralową rękę trzymającą diamentową strzałę, którą podarował jej Fabrice, ale nie mogła znieść myśli, żeby taką ładną rzecz marnować dla tego otumanionego małego tchórze. Poszła do sypialni i znalazła sportowy zegarek na rękę, jeden ze ślubnych prezentów, który dostała z okazji małżeństwa z Tonym i którego nigdy nie nosiła; dała go Moirze, a ona wydawała się całkiem zadowolona i wyszła od matki równie grzecznie i bez entuzjazmu, jak przyszła.

Linda zadzwoniła do mnie do Shenley i opowiedziała mi o tym spotkaniu.

– Jestem tak wściekła – powiedziała – że muszę z kimś porozmawiać. Pomyśleć, że zniszczyłam sobie dziewięć miesięcy życia, żeby urodzić kogoś takiego. Prawdę mówiąc, oczywiście, to nie jest wina Moiry, wszystko to ta cholerna Pixie, aż za dobrze widzę ten plan, ty nie? Pixie jest śmiertelnie przerażona, a odkryła, że wyjazd do Ameryki to jak koncert dziecięcy, możesz pójść tylko z dzieckiem. Więc wykorzystuje Moirę, cóż, mam, na co zasłużyłam – Linda najwyraźniej była strasznie zdenerwowana. – Słyszę, że Tony też się wybiera, jakaś misja parlamentarna czy coś. Mogę tylko powiedzieć, co za towarzystwo.

Przez te wszystkie okropne miesiące, maj, czerwiec i lipiec, Linda wyczekiwała znaku od Fabrice'a, ale żadnego znaku nie dostała. Nie wątpiła, że on nadal żyje, bo nie było w charakterze Lindy wyobrażać sobie, że ktokolwiek mógł umrzeć. Wiedziała, że tysiące Francuzów znajdują się w rękach niemieckich, ale miała pewność, że gdyby Fabrice dostał się do niewoli (coś, czego nawiasem mówiąc, zdecydowanie nie aprobowала, żywiąc staroświecki pogląd, iż pominąwszy wyjątkowe okoliczności, jest to hańba), niewątpliwie zdołałby uciec. Niedługo dostanie od niego wiadomość, a tymczasem nic się nie da zrobić, po prostu musi czekać. Niemniej, kiedy dni mijały i wiadomość nie przychodziła, a z Francji napływały wyłącznie złe wieści, zaczęła się nadzwyczaj niepokoić. Była pewna, że nie przyłożył ręki do rozejmu w Compiègne, była pewna, że chce się z nią skontaktować, ale nie miała dowodu, i w chwilach wielkiej samotności oraz depresji pozwalała sobie na zwątpienie. Uświadomiła sobie, jak mało naprawdę wie o Fabrisie, rzadko rozmawiał z nią poważnie, ich związek był przede wszystkim fizyczny, natomiast ich rozmowy czy pogawędki miały charakter żartobliwy.

Śmiali się, potem się kochali i znów się śmiali, mijały miesiące i nie było czasu na nic, tylko na śmiech i miłość. Jej to wystarczało, ale jemu? Teraz, gdy życie stało się tak poważne, a dla Francuzów tak tragiczne, może zapomniał o tym deserze z bitej śmietany jako o czymś tak całkowicie nieważnym, że mogłoby w ogóle nie istnieć? Coraz bardziej myślała, coraz częściej sobie powtarzała, zmuszała się do zrozumienia, że prawdopodobnie wszystko było skończone, że Fabrice może już na zawsze pozostanie dla niej tylko wspomnieniem.

Równocześnie tych parę osób, które widywała, nigdy nie zapomniała podkreślić, mówiąc jak teraz wszyscy o Francji, że Francuzi, których „człowiek znał”, rodziny, które były *bien*, wszyscy zachowywali się bardzo źle, byli zwolennikami Pétaina. Fabrice nie jest jednym z nich, myślała, czuła, ale chciałaby wiedzieć, marzyła o dowodzie.

Miotła się między rozpaczą a nadzieją, ale kiedy mijały miesiące bez jednego słowa, które, była pewna, mógłby wysłać, gdyby naprawdę chciał, rozpacz zaczynała przeważać.

Raptem słonecznego niedzielnego poranka w sierpniu bardzo wcześnie zadzwonił telefon. Poderwała się ze snu, świadoma, że dzwoni już jakiś czas, i wiedziała z absolutną pewnością, że to Fabrice.

- Czy to Flaxman dwadzieścia osiem piętnaście?
- Tak.
- Telefon do pani. Jest pani na linii.
- *Allô...allô?*
- Fabrice?

– *Oui.*

– Och! *Fabrice... on vous attend depuis si longtemps*<sup>79</sup>.

– *Comme c'est gentil. Alors, on peut venire tout de suite chez vous?*<sup>80</sup>

– Och, czekaj... tak, oczywiście, możesz zaraz przyjść, ale nie odchodź przez chwilę, mów dalej, chcę słyszeć dźwięk twojego głosu.

– Nie, nie. Taksówka czeka, będę u ciebie za pięć minut. Za dużo jest tego, czego nie można zrobić przez telefon, *ma chère, voyons...* – Kliknięcie słuchawki.

Leżała nieruchomo, a wszystko było światłem i ciepłem.

Życie, myślała, jest czasami smutne i często nudne, ale są rodzyнки w cieście i oto jest jeden z nich.

Za oknem wczesne poranne słońce oświetlało rzekę, na suficie tańczyły wodne refleksy. Niedzielną ciszę przerwały dwa łabędzie szybujące wolno w górę rzeki, a potem warkot małej barki, ale Linda czekała na ten inny dźwięk, dźwięk bardziej intymnie związany z miejskim romansem niż jakkolwiek inny prócz dzwonka telefonu, odgłos zatrzymującej się taksówki. Słońce, cisza i szczęście. Usłyszała, jak taksówka nadjeżdża, zwalnia, zatrzymuje się, chorągiewka taksometru skacze z charakterystycznym dźwiękiem w górę, trzaskają drzwi, dźwięk głosów, brzęk monet, kroki. Zbiegła pośpiesznie na dół.

Po iluś godzinach zrobiła kawy.

– Całe szczęście – powiedziała – że to akurat niedziela i nie ma pani Hunt. Co też by sobie pomyślała?

– Myślę, że mniej więcej to samo, co nocny portier w hotelu Montalembert – odparł *Fabrice*.

– Dlaczego przyjechałeś, *Fabrice*? Dołączyć do generała de Gaulle'a?

– Nie, to nie było konieczne, ponieważ już do niego dołączyłem. Byłem z nim w Bordeaux. Moja działalność musi być prowadzona we Francji, ale mamy sposoby komunikowania się, jeśli zajdzie potrzeba. Pójdę i zobaczę się z nim oczywiście, oczekuje mnie w południe, ale prawdę mówiąc, przyjechałem z prywatną misją.

Popatrzył na nią długo.

– Przyjechałem powiedzieć ci, że cię kocham – przemówił w końcu.

Linda poczuła zawrót głowy.

– Nigdy mi tego nie powiedziałeś w Paryżu.

– Nie.

– Zawsze wydawałeś się taki praktyczny.

– Tak, pewnie tak. Tyle razy mówiłem to przedtem w życiu. Byłem romantyczny z tyloma kobietami, że gdy poczułem, że to jest coś innego, nie potrafiłem znowu stosować tych samych wyświechtanych zwrotów, nie mogłem ich wymówić. Nigdy nie powiedziałem, że cię kocham. Nigdy we francuskim nie użyłem *tu*, celowo. Bo od pierwszej chwili wiedziałem, że to jest prawdziwe, tak

jak ze wszystkimi innymi było fałszywe, to jak rozpoznanie kogoś... no, nie potrafię wyjaśnić.

– Ależ ja czułam dokładnie to samo – powiedziała Linda – nie próbuj wyjaśniać, nie trzeba, ja wiem.

– Potem, kiedy wyjechałaś, czułem, że muszę ci powiedzieć i to stało się moją obsesją. Te wszystkie straszne tygodnie były jeszcze straszniejsze, bo nie pozwalały mi tego wyznać.

– W jaki sposób się tu dostałeś?

– *On circule*<sup>81</sup> – powiedział mgliście Fabrice. – Muszę znów wyjechać jutro rano, bardzo wcześnie, i nie wrócę, póki wojna się nie skończy, ale ty poczekaś na mnie, Lindo, i teraz nic już nie ma takiego znaczenia, skoro wiesz. Zadręczałem się, nie mogłem się na niczym skupić, stawałem się bezużyteczny w pracy. W przyszłości będę może musiał wiele znieść, ale nie będę musiał znosić myśli, że wyjechałaś nieświadoma mojej wielkiej miłości do ciebie.

– Och, Fabrice, czuję się... przypuszczam, że ludzie religijni tak się czasem czują.

Położyła mu głowę na ramieniu i długo siedzieli, milcząc.

Kiedy już złożył wizytę na Carlton Gardens, zjedli obiad w Ritzu. Było tu pełno ludzi, których Linda знаła, wszyscy bardzo eleganccy, bardzo weseli, rozmawiający z wielką nonszalancją o rychłej niemieckiej inwazji. Gdyby nie to, że ci młodzi mężczyźni dzielnie walczyli we Flandrii i, bez wątpienia, wkrótce mieli znowu dzielnie walczyć, tym razem z większym doświadczeniem, na innych polach bitew, ogólny ton można by uznać za szokujący. Nawet Fabrice spowaźniał i powiedział, że oni chyba nie zdają sobie sprawy...

Pojawili się Davey i lord Merlin. Ich brwi powędrowały w górę na widok Fabrice'a.

– Biedny Merlin ma niewłaściwą – powiedział Davey do Lindy.

– Niewłaściwą co?

– Tabletkę, żeby zażyć, kiedy przyjdą Niemcy. On ma taką, jaką daje się psom.

Davey wyjął wysadzane klejnotami pudełeczko, zawierające dwie tabletki, jedną białą, drugą czarną.

– Najpierw zażywasz białą, potem czarną. On naprawdę musi pójść do mojego lekarza.

– Myślę, że zabijanie należy pozostawić Niemcom – powiedziała Linda. – Niech pomnożą swoje zbrodnie i zużyją kulę. Niby po co im ułatwiać zadanie? Poza tym zamierzam załatwić przynajmniej dwóch, zanim mnie dostaną.

– Och, jesteś taka dzielna, Lindo, ale ja się obawiam, że dla mnie to nie byłaby kula, torturowaliby mnie, pomyśl, co mówiłem o nich w „Gazette”.

– Nic gorszego, niż mówiłeś o nas wszystkich – zauważył lord Merlin.

Davey był znany jako jeden z najbardziej bezlitosnych recenzentów, absolutny rzeźnik, nieoszczędzający nawet najdroższych przyjaciół. Pisał pod kilkoma pseudonimami, które bynajmniej nie pozwalały ukryć jego charakterystycznego stylu; najbardziej zjadliwe eseje publikował jako Mała Nell.

– Długo pan tu zostaje, Sauveterre?

– Nie, niedługo.

Linda z Fabrice'em poszli na obiad. Rozmawiali o tym i owym, głównie żartowali. Fabrice opowiadał jej skandaliczne historie o niektórych gościach na sali, z masą nieprawdopodobnych szczegółów. Tylko raz wypowiedział się o Francji, i tylko tyle, że walka musi trwać, że wszystko w końcu będzie dobrze. Linda myślała, jak inaczej wyglądałoby spotkanie z Tonym czy Christianem. Tony by perorował o swoich doświadczeniach i układał nudne plany dotyczące jego własnej przyszłości, Christian prowadziłby monolog na temat stanu świata w następstwie niedawnego upadku Francji, prawdopodobnych reperkusji w Arabii i dalekim Kaszmirze, niekompetencji Pétaina, jeśli chodzi o radzenie sobie z tak wielką liczbą wysiedleńców, kroków, które on, Christian, by przedsięwziął, gdyby znalazł się na miejscu marszałka. Obydwaj mówiliby do niej pod każdym względem dokładnie tak, jakby była jednym z kumpli w ich klubie. Fabrice mówił wyłącznie do niej i dla niej, była to rozmowa absolutnie osobista, przeplatana żartami i aluzjami, które rozumieli tylko oni oboje. Odnosiła wrażenie, że on nie pozwala sobie być poważnym, że gdyby był, musiałby zacząć mówić o tragedii, a chce pozostawić jej szczęśliwe wspomnienie swojej wizyty. Ale też stwarzał atmosferę nieograniczonego optymizmu i wiary, bardzo podnoszącą na duchu w tych ciemnych czasach.

Wcześniej następnego rana, kolejnego pięknego, gorącego, słonecznego rana, Linda leżała wsparta na poduszkach i patrzyła, jak Fabrice się ubiera, tak jak to często robiła w Paryżu. Zawijając węzeł krawata, zrobił pewną minę, o której zupełnie zapomniała w ostatnich miesiącach, i to przypomniało jej ich paryskie życie, nagle i wyraziście.

– Fabrice – powiedziała. – Czy myślisz, że jeszcze kiedyś będziemy razem mieszkali?

– Ależ oczywiście, że będziemy, przez długie, długie, długie lata, aż do mojej dziewięćdziesiątki. Jestem z natury bardzo wierny.

– Nie byłeś bardzo wierny Jacqueline.

– Ach, więc wiesz o Jacqueline. *La pauvre, elle était si gentile, gentile, élégante, mais assommante, mon Dieu! Enfin<sup>82</sup>* byłem jej niesłuchanie wierny i trwało to pięć lat, tak zawsze jest u mnie (albo pięć dni, albo pięć lat). Ale ponieważ ciebie kocham dziesięć razy więcej niż wszystkie inne, więc potrwa to, aż będę miał lat dziewięćdziesiąt, a do tego czasu *j'en aurai tellement*

*l'habitude...*<sup>83</sup>

– Jak prędko zobaczę cię znowu?

– *On fera la navette*<sup>84</sup>. – Podeszedł do okna. – Zdawało mi się, że słyszę auto, o tak, zawraca. Muszę iść. *Au revoir*, Lindo.

Ucałował jej dłoń kurtuazyjnie, niemal z roztargnieniem, jak gdyby już go nie było, i szybko wyszedł z pokoju. Linda podeszła do otwartego okna i wychyliła się. Wsiadał do dużego samochodu z dwoma francuskimi żołnierzami z tyłu i flagą Wolnej Francji powiewającą na masce. Kiedy auto ruszyło, spojrzął ku górze.

– *Navette... navette!* – zawołała Linda z promiennym uśmiechem.

Wróciła do łóżka i bardzo płakała. To drugie rozstanie pogrzyło ją w zupełnej rozpacz.



Rozpoczęły się naloty na Londyn. Na początku września, właśnie kiedy wprowadziłam się wraz z rodziną do domu ciotki Emily w Kent, w ich ogrodzie spadła bomba. Była to mała bomba w porównaniu z tymi, które widywało się później, i nikt z nas nie ucierpiał, ale dom został właściwie zburzony. Ciotka Emily, Davey oraz ja z dziećmi schroniliśmy się wtedy w Alconleigh, gdzie ciotka Sadie powitała nas z otwartymi ramionami, błagając, byśmy uczynili go naszym domem na czas wojny. Louisa z dziećmi przyjechała już wcześniej, John Fort William wrócił do swojego pułku, a ich dom w Szkocji zarekwirowała marynarka wojenna.

– Im więcej, tym weselej – oświadczyła ciotka Sadie. – Chciałabym zaludnić dom, a poza tym to jest korzystniejsze ze względu na racje żywności. Miło też, że wasze dzieci będą chowały się razem, przypominają się dawne czasy. Teraz, kiedy nie ma chłopców, a Victoria jest we wrenkach<sup>85</sup>, gdybyśmy mieli być tu sami, czulibyśmy się okropną parą staruszków.

Wielkie pokoje Alconleigh wypełniała zawartość jakiegoś naukowego muzeum, żadnych ewakuowanych tu nie zakwaterowano, zapewne wychodząc z założenia, że nikt, kto nie wychował się w tak spartańskich warunkach, nie będzie w stanie znieść zimna w tym domu.

Wkrótce towarzystwo powiększyło się o kogoś najmniej spodziewanego. Byłam na górze w łazience dla dzieci i robiłam pranie dla niani, odmierzając z wojennym skąpstwem płatki mydlane i życząc sobie, żeby woda w Alconleigh nie była tak potwornie twarda, gdy raptem wtargnęła Louisa.

– Nigdy nie zgadniesz – zawołała – choćbyś zgadywała przez tysiąc lat, kto się zjawił!

– Hitler – powiedziałam głupio.

– Twoja matka, ciocia Narowista. Właśnie przyszła podjazdem i weszła do domu.

– Sama?

– Nie, z mężczyzną.

– Z majorem?

– Nie wygląda na majora. Ma ze sobą instrument muzyczny i jest bardzo brudny. Chodź, Fanny, zostaw to, niech się wymoczy...

No i faktycznie. Matka siedziała w hallu, popijając whisky z wodą sodową i relacjonując swoim ptasim głosem, jakich to niewiarygodnych przygód doświadczyła, uciekając z Riwiery. Major, z którym żyła przez kilka lat, a który zawsze o wiele bardziej wolał Niemców niż Francuzów, pozostał, zdecydowany kolaborować, natomiast towarzyszący jej mężczyzna był wyglądającym jak zbir

Hiszpanem o imieniu Juan, którego poderwała w trakcie podróży i bez którego, oświadczyła, nigdy by się nie wydostała z koszmarne obozu dla internowanych w Hiszpanii. Mówiła o nim tak, jak gdyby go tu nie było, co robiło raczej dziwne wrażenie i było dość kłopotliwe, dopóki nie zdaliśmy sobie sprawy, że Juan nie rozumie ani słowa w żadnym języku z wyjątkiem hiszpańskiego. Wpatrywał się tępo w przestrzeń, ściskając gitarę i pociągając whisky wielkimi haustami. Ich relacje były aż nadto oczywiste, Juan był na pewno (nikt nie miał cienia wątpliwości, nawet ciotka Sadie) kochankiem Narowistej, ale nie byli w stanie komunikować się słownie, jako że moja matka języków nie znała.

Zjawił się wuj Matthew i Narowista opowiedziała mu od początku swoje przygody. Oświadczył, iż jest zachwycony, że ją widzi, i ma nadzieję, że zostanie ona tak długo, jak będzie miała ochotę, następnie skierował swoje niebieskie oczy na Juana, przesywając go straszonym i bezlitosnym spojrzeniem. Ciotka Sadie wyprowadziła go do gabinetu, szepcząc coś po drodze, na co usłyszeliśmy jego odpowiedź.

– No dobrze, ale tylko na parę dni.

Osobą, która nie posiadała się z radości na widok Narowistej, był kochany stary Josh.

– Musimy posadzić milady na konia – świszczwał rozanielony.

Matka nie była milady już od trzech mężów (czterech, jeśli liczyć majora), ale dla Josha nie miało to znaczenia, dla niego na zawsze pozostała milady. Znalazł konia, niegodnego jej, w jego oczach, ale też nie jakąś ostatnią szkapę, i już w tydzień po przyjeździe Narowistej zorganizował dla niej polowanie na młode liski.

Co do mnie, po raz pierwszy w życiu znalazłam się naprawdę twarzą w twarz z moją matką. Kiedy byłam mała, miałam na jej punkcie obsesję, a jej nieliczne wizyty absolutnie mnie olśniewały, chociaż, jak już mówiłam, nigdy nie pragnęłam pójść w jej ślady. Davey i ciotka Emily mieli do niej bardzo sprytny podejście, postarali się, szczególnie Davey, stopniowo i łagodnie, w żaden sposób nie raniąc moich uczuć, przemienić ją w rodzaj żartu. Gdy dorosłam, widziałam się z nią parę razy, a podczas naszego miesiąca miodowego zabrałam do niej Alfreda, ale brak, mimo tak intymnego pokrewieństwa, wspólnej przeszłości, stanowił dla nas wielki stres i nie były to udane spotkania. W Alconleigh, mając z nią kontakt rano, w południe i wieczorem, studiowałam ją z wielką ciekawością, poza wszystkim innym była w końcu babką moich dzieci. Nie potrafiłam się oprzeć sympatii do niej. Mimo że stanowiła wcielenie głupoty, ujmowała szczerością, werwą i niewyczerpaną pogodą ducha. Dzieci ją uwielbiały, także dzieci Louisy, nie tylko moje, wkrótce stała się kimś w rodzaju dodatkowej nieoficjalnej niani i w tym charakterze bardzo się nam przydała.

Była zadziwiająco staroświecka w sposobie bycia i zdawała się wciąż żyć

w latach dwudziestych. Jak gdyby w wieku trzydziestu pięciu lat, odmówiwszy posuwać się dalej, zakonserwowała się zarówno mentalnie, jak fizycznie, ignorując fakt, że świat się zmienia, a ona sama szybko więdnie. Miała krótką kanarkowożółtą (potarganą) fryzurę chłopczycy i nosiła spodnie z miną kogoś, kto w dalszym ciągu lekceważy konwenanse, nieświadoma, że każda młoda ekspedientka z przedmieścia ubiera się tak samo. Jej sposób rozmawiania, jej zapatrywania, sam żargon, którym się posługiwała, należały do późnych lat dwudziestych, okresu bardziej obecnie martwego niż ptak dodo. Była wyjątkowo niepraktyczna, niemądra i pozornie krucha, chociaż w rzeczywistości musiała być całkiem twardą osobką, żeby pokonać Pireneje, uciec z hiszpańskiego obozu i przybyć do Alconleigh, wyglądając, jakby wybiegła z musicalu *No, No, Nanette*.

Pewne zamieszanie spowodowało na początku to, że nikt z nas nie mógł sobie przypomnieć, czy ona w końcu wyszła za majora (skądinąd człowieka żonatego i ojca sześciorga dzieci), czy nie, wobec czego nikt nie wiedział, czy nazywa się teraz Rawl czy Plugge. Rawl był białym myśliwym, jedynym mężem, którego utraciła w sposób przyzwoity, przez śmierć, postrzeliwszy go przypadkowo w głowę podczas safari. Sprawa nazwiska została jednak wkrótce rozwiązana, jako że jej książeczka racji żywnościowych opiewała na nazwisko Plugge.

– Ten Dżewan – zapytał wuj Matthew, kiedy spędzili już w Alconleigh około tygodnia – co mamy z nim zrobić?

– No wiesz, Matthew, kuchanie – ozdabiała zdania słowem kochanie, które w ten właśnie sposób wymawiała – Huu-an ocalił mi życie, i to nie jeden raz, więc nie bardzo mogę teraz ni stąd, ni zowąd dać mu odprawę i wyrzucić na bruk, chyba rozumiesz, kotku?

– Wiesz, nie mogę tu trzymać gromady mandolinarzy – powiedział wuj Matthew tonem, jakim kiedyś mówił Lindzie, że nie może już przygarniać więcej zwierząt, chyba że będzie trzymała je w stajni. – Niestety, Narowista, będziesz musiała znaleźć dla niego inne rozwiązanie.

– Och, kuchanie, pozwól mu jeszcze trochę zostać, tylko parę dni, Matthew, kuchanie – przypominała Lindę wstawiającą się za jakimś śmierdzącym starym psem – obiecuję znaleźć lokum dla niego i mojej malutkiej osoby. Nie wyobrażasz sobie, przez jaki koszmar przeszliśmy razem, nie mogę go teraz zostawić, naprawdę nie mogę.

– No cóż, jeszcze tydzień, jeśli chcesz, ale, Narowista, to nie oznacza powolutku aż do skutku, potem będzie musiał sobie pójść. Ty oczywiście możesz zostać, jak długo chcesz, ale co do Dżewana, nie zamierzam ustąpić.

Louisa, z oczyma wielkimi niczym spodki, poinformowała mnie:

– On leci do jej pokoju przed podwieczorkiem i żyje z nią. – Louisa zawsze opisywała akt miłosny jako życie z. – Przed podwieczorkiem, wyobrażasz sobie, Fanny?

– Droga Sadie – powiedział Davey – zamierzam zrobić rzecz niewybaczalną. Dla dobra ogółu, dla twojego dobra również, ale jest to niewybaczalne. Jeśli uznasz, że nie możesz mi wybaczyć tego, co mam do powiedzenia, będziemy z Emily musieli wyjechać, to wszystko.

– Davey – odparła zdumiona ciotka Sadie – o co chodzi?

– O jedzenie, Sadie, o jedzenie. Wiem, jakie trudne jest to dla ciebie podczas wojny, ale my jesteśmy po kolei truci. Ja godzinami wymiotowałem dziś w nocy, Emily miała biegunkę, Fanny ma wielki pryszcz na nosie i pewien jestem, że dzieci nie przybierają na wadze tak, jak powinny. Faktem jest, moja droga, że gdyby pani Beecher była jedną z Borgiów, nie mogłaby być skuteczniejsza. Cały ten farsz kielbasiany to trucizna. Nie narzekałbym, gdyby było to po prostu niesmaczne, za mało pożywne, czy miało za dużo skrobi, to zrozumiałe w czasie wojny, ale uważam, że realna trucizna prosi się o komentarz. Spójrz na menu tego tygodnia: poniedziałek – trucicielski placek pasterski, wtorek – trucicielski hamburger, środa – trucicielskie paszteciki kornwalijskie...

Ciotka Sadie wyglądała na strasznie zmartwioną.

– Ojej, prawda, ona fatalnie gotuje, wiem, ale Davey, co można poradzić? Przydział mięsa wystarcza na mniej więcej dwa posiłki, a musisz pamiętać, że w tygodniu jest posiłków czternaście. Jeśli ona doda trochę zmielonych kielbasek – trucizny mięsnej (absolutnie się z tobą zgadzam) – to starcza na znacznie dłużej, rozumiesz.

– Ale na wsi chyba można uzupełnić przydział dziczyzną czy wiejskimi produktami. Tak, wiem, że folwark jest wynajęty, ale chyba wolno hodować świnie i kilka kur. A co z dziczyzną? Zawsze tyle jej było.

– Niestety Matthew uważa, że cała amunicja potrzebna będzie na Niemców i nie godzi się marnować nawet jednego naboju na zające czy kuropatwy. A widzisz, pani Beecher (och, cóż to za okropna kobieta, chociaż i tak całe szczęście, że ją mamy) jest kucharką, która całkiem dobrze przyrządzi pieczeń plus dwa warzywa, ale po prostu nie ma pojęcia, jak przygotować z niczego pyszne cudzoziemskie dania. Ale masz zupełną rację, Davey, to nie jest pożywne. Naprawdę postaram się zobaczyć, co da się zrobić.

– Ty zawsze byłeś taką wspaniałą gospodynią, droga Sadie, przyjazdy tutaj tak mi dobrze robiły. Pamiętam, że jednego Bożego Narodzenia przybrałem cztery i pół uncji. Ale teraz cały czas tracę na wadze, moje nieszczęsne ciało to już niewiele więcej niż szkielet, i boję się, że gdybym miał cokolwiek złapać, mogłoby to mnie całkiem dobić. Biorę wszelkie środki zapobiegawcze, wszystko jest skąpane w T.C.P.<sup>86</sup>, płuczę gardło co najmniej sześć razy dziennie, ale nie będę ukrywał przed tobą, że moja odporność jest bardzo niska, bardzo.

Ciotka Sadie odpowiedziała:

– Łatwo być wspaniałą gospodynią, kiedy się ma pierwszorzędną kucharkę, dwie podkuchenne, pomywaczkę i kiedy można dostać wszelkie produkty, jakie się tylko chce. Boję się, że zupełnie nie potrafię gospodarować racjami żywnościowymi, ale spróbuję się podciągnąć. Bardzo się cieszę, że poruszyłeś ten temat, Davey, miałeś absolutną rację i oczywiście bynajmniej nie mam ci tego za złe.

Ale żadna istotna zmiana nie nastąpiła. Pani Beecher powiedziała „tak, tak” na wszystkie sugestie i nadal słała na stół hamburgery, paszteciki kornwalijskie, placek pasterski, nadal pełne trucizny kiełbasianej. Było to bardzo niesmaczne i bardzo mało pożywne i choć raz nikt z nas nie uważał, żeby Davey posunął się za daleko. Posiłki nikomu nie sprawiały przyjemności, a dla Daveya stanowiły wręcz mękę; siedział ze zboląłą miną, odmawiając jedzenia i sięgając coraz częściej po witaminy w tabletkach, zgromadzone wokół jego nakrycia – było tego zbyt wiele nawet na jego kolekcję wysadzanych klejnotami pudełeczek. Otoczył się lasem flakoników: witamina A, witamina B, witaminy A i C, witaminy B3 i D, jedna tabletką równa się dwóm funtom letniego masła – dziesięciokrotnej sile galonu tranu – na krew – na mózg – na mięśnie – na energię – przeciwko temu i zapobiegając tamtemu – wszystkie z wyjątkiem jednej miały ciekawe opisy.

– A na co to jest, Davey?

– Aa, to biorą oddziały pancerne przed atakiem.

Davey wydał serię drobnych kichnięć. To zazwyczaj sygnalizowało, że pójdzie mu krew z nosa, pinty cennych czerwonych i białych ciałek tak wytrwale naładowywanych witaminami, zmarnują się, jego odporność będzie jeszcze niższa.

Ciotka Emily i ja spojrzaliśmy z niepokojem znad klopsików, które smętnie rozgrzebywałyśmy na talerzu.

– Narowista – powiedział surowo – znowu brałaś moją Mary Chess.

– Och, Davey, kuchanie, tylko kropeczkę.

– Po kropeczce nie śmierdzi cały pokój. Jestem pewien, że wlewałaś to sobie do kąpieli bez korka. Wstydz się. Ta butelka to mój miesięczny przydział, bardzo to nieładnie z twojej strony, Narowista.

– Kuchanie, przysięgam, że ci kupię więcej. Muszę w przyszłym tygodniu pojechać do Londynu umyć perukę i przywiozę ci butelkę, przysięgam.

– A ja mam wielką nadzieję, że zabierzesz ze sobą Dzewana i tam go zostawisz – mruknął wuj Matthew. – Bo ja go dużo dłużej w tym domu trzymać nie będę. Ostrzegalem cię, Narowista.

Wuj Matthew miał zajęcie od rana do nocy. Organizował swoją jednostkę obrony terytorialnej, Home Guard. Był szczęśliwy, zaangażowany i w szczególnie łagodnym nastroju, wyglądało bowiem na to, że lada moment znów będzie mógł uprawiać swoje ulubione hobby, to jest rąbać Niemców. Dostrzegał więc Dzewana tylko od czasu do czasu i choć kiedyś wyrzuciłby go z domu w mgnieniu oka, to

teraz Juan był już mieszkańcem Alconleigh prawie od miesiąca. Niemniej zaczynało być jasne, że wuj nie ma zamiaru godzić się z jego obecnością w nieskończoność i że los Juana jest przesądzony. Co do samego Hiszpana, nigdy nie widziałam człowieka tak markotnego. Snuł się z nosem na kwintę, nie mając przez cały dzień nic do roboty, nie będąc w stanie z nikim się porozumieć, a podczas posiłków niesmak na jego twarzy dorównywał niesmakowi Daveya. Nie miał nawet ochoty grać na swojej gitarze.

– Davey, musisz z nim porozmawiać – powiedziała ciotka Sadie.

Moja matka pojechała do Londynu ufarbować włosy i w jej nieobecności odbywała się rodzinna narada, co zrobić z Juanem.

– To oczywiście, że nie możemy go wyrzucić, żeby umarł z głodu, skoro Narowista mówi, że uratował jej życie, a poza tym ma się ludzkie uczucia.

– Nie dla mandolinarzy – oświadczył wuj Matthew, zgrzytając sztuczną szczęką.

– Ale moglibyśmy znaleźć mu pracę, tylko najpierw trzeba się dowiedzieć, jaki on ma zawód. Davey, ty masz zdolności językowe i jesteś taki bystry, jestem pewna, że jeśli zajrzysz do słownika hiszpańskiego w bibliotece, zdołasz go może wypytać, co robił przed wojną. Spróbuj, Davey.

– Tak, kochanie, spróbuj – powiedziała ciotka Sadie. – Biedny człowiek wygląda teraz na tak nieszczęśliwego, że wprost trudno to opisać. Sądzę, że chciałby mieć pracę.

Wuj Matthew prychnął.

– Dajcie słownik hiszpański mnie – mruknął – a zaraz znajdę, jak jest fora ze dwora.

– Spróbuję – zgodził się Davey – ale niestety potrafię zgadnąć, co to będzie. G jak gigolo.

– Albo coś równie bezużytecznego, na przykład M jak matador albo H jak hidalgo – dodała Louisa.

– Tak. I co wtedy?

– Wtedy W jak wynocha – powiedział wuj Matthew – i Narowista będzie musiała go utrzymać, ale z daleka ode mnie, błagam. Muszą oboje absolutnie zrozumieć, że ja nie zniosę już dłużej widoku tego chłystka wałkoniącego się tutaj.

Kiedy Davey podejmuje się jakiegoś zajęcia, wykonuje je gruntownie. Zamknął się na kilka godzin ze słownikiem hiszpańskim i wypisał sobie wiele słów i zwrotów na kartce. Następnie skinął na Juana, żeby poszedł z nim do gabinetu wuja Matthew i zamknął drzwi.

Byli tam krótko, a kiedy wyszli, obydwaj uśmiechali się promiennie.

– Wywaliłeś go, mam nadzieję? – zapytał podejrzliwie wuj Matthew.

– Nie, skądże, nie wywaliłem – odpowiedział Davey – ale wręcz przeciwnie, zaangażowałem go. Moi kochani, nigdy nie zgadniecie, to po prostu zbyt piękne,

Juan jest kucharzem, był kucharzem, o ile zdołałem się zorientować, u jakiegoś kardynała przed wojną domową. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Sadie. Ja traktuję to jako ostatnią deskę ratunku. Hiszpańska kuchnia, tak wyborna, tak niezapierająca, tak lekkostrawna, tak nasyczona cudownym czosnkiem. Och, co za radość, koniec z trującymi klopsami. Kiedy pozbędziemy się pani Beecher?

Entuzjazm Daveya okazał się w pełni usprawiedliwiony, a Juan w kuchni ujawnił niedoścignione mistrzostwo. Nie tylko był pierwszorzędnym kucharzem, ale miał niezwykle talent organizacyjny i podejrzewam, że szybko stał się królem lokalnego czarnego rynku. Żadnych wygibasów z cudzoziemskimi daniami przygotowanymi z niczego – mięsiste ptactwo, zwierzyna, skorupiaki pojawiały się na stole przy każdym posiłku, warzywa serwowane były w fantastycznych sosach, desery przygotowywane na bazie prawdziwych lodów.

– Juan wspaniale gospodaruje racjami – zauważyła, jak zwykle bujająca w obłokach, ciotka Sadie. – Kiedy pomyślę o pani Beecher... Naprawdę, Davey, miałaś rewelacyjny pomysł.

Pewnego dnia spytała:

– Mam nadzieję, Davey, że jedzenie nie jest teraz dla ciebie zbyt kaloryczne?

– O nie – odpowiedział. – Nigdy nie przeszkadza mi jedzenie wysokokaloryczne, to jedzenie niskokaloryczne jest tak niezmiernie szkodliwe.

Juan także od rana do wieczora robił marynaty, przetwory, soki, aż spiżarnia, którą zastał kompletnie ogołoconą, poza paroma puszkami zupy, zaczęła wyglądać jak przedwojenny sklep spożywczy. Davey nazywał ją Jaskinią Aladyna lub w skrócie Aladynem i spędzał w niej mnóstwo czasu, tryumfując. Miesiące smacznego witamin stały tam w równych rzędach – bariera między nim a zagłodzeniem, które w czasach reżimu pani Beecher zdawało się czaić tuż za rogiem.

Sam Juan był teraz zupełnie innym człowiekiem niż ten brudny i zde gustowany uchodźca, który przygnębiony przesiadywał beczynn timer. Był czysty, nosił biały fartuch i czapkę i wkrótce zyskał sobie wielki autorytet w swojej kuchni. Nawet wuj Matthew zauważył tę zmianę.

– Na miejscu Narowistej – powiedział – wyszedłbym za niego.

– Znając Narowistą – zauważył Davey – nie mam najmniejszych wątpliwości, że to zrobi.

Na początku listopada musiałam pojechać na dzień do Londynu, żeby załatwić coś dla Alfreda, który przebywał teraz na Bliskim Wschodzie, a także odwiedzić mojego lekarza. Pojechałam pociągiem odchodzącym o ósmej rano, a ponieważ od kilku tygodni nie miałam żadnych wiadomości od Lindy, wzięłam taksówkę i udałam się prosto na Cheyne Walk. Poprzedniej nocy był ciężki nalot, jechałam więc przez ulice lśniące od rozbitego szkła. W wielu miejscach ogień

wciąż się tlił, wozy strażackie i karetki pogotowia jeździły w tę i z powrotem, biegali ratownicy, ulice były zablokowane i kilkakrotnie musieliśmy robić dość długie objazdy. W powietrzu unosiła się atmosfera wielkiego podniecenia. Grupki ludzi gromadziły się wszędzie, jakby dla podzielenia się wrażeniami, a mój taksówkarz nie przestawał mówić do mnie przez ramię. Opowiadał, że był na nogach całą noc, pomagając ratownikom. Opisywał, co znalazł.

– To była gąbczasta czerwona miazga – powiedział i zabrzmiało to upiornie – pokryta pierzem.

– Pierzem? – spytałam wstrząśnięta.

– A tak. Piernat, rozumie pani. Jeszcze oddychało, to ja toto biorę i wieżę do szpitala, nie, ale ci tam mnie mówią, nam to już na nic, weź lepiej zawieź do kostnicy. No to poszłem, zaszyłem w worek i jazda do kostnicy.

– Boże.

– O, to jeszcze i nic, nie takie widziałem.

Drzwi na Cheyne Walk otworzyła mi sympatyczna dochodząca Lindy, pani Hunt.

– Niedobrze z nią, proszę pani, czy nie mogłaby pani zabrać jej ze sobą na wieś? Nie powinna być tutaj, w jej stanie. Serce mi się kraje, gdy na nią patrzę.

Linda była w łazience; wymiotowała. Kiedy wyszła, powiedziała:

– Nie myśl, że to nalot tak mnie zdenerwował. Lubię naloty. Jestem w odmiennym stanie, to dlatego.

– Kochanie, myślałam, że nie wolno ci mieć następnego dziecka.

– Och, doktorzy! Nie mają o niczym pojęcia, to straszni idioci. Oczywiście, że mogę i wprost tęsknię do niego, to dziecko w najmniejszym stopniu nie będzie takie jak Moira, zobaczysz.

– Ja też będę miała dziecko.

– Co ty powiesz, jak cudownie, kiedy?

– Mniej więcej pod koniec maja.

– O, dokładnie tak samo jak ja.

– A Louisa w marcu.

– Proszę, tośmy się postarały. Uważam, że to bardzo miłe, wszystkie będą mogły być razem Honsami.

– Słuchaj, Lindo, dlaczego nie wrócisz ze mną do Alconleigh? Co za sens tkwić tutaj w tym wszystkim? To nie może być dobre ani dla ciebie, ani dla dziecka.

– Dobrze mi tu – upierała się Linda. – To mój dom i lubię go. Poza tym ktoś może przyjechać, tylko na parę godzin, wiesz, i będzie chciał się ze mną zobaczyć, a tak wie, gdzie mnie tu znaleźć.

– Zginiesz – powiedziałam – i wtedy nie będzie wiedział, gdzie cię znaleźć.

– Kochana Fanny, nie bądź taka niemądra. W Londynie mieszka siedem



milionów ludzi, czy naprawdę wyobrażasz sobie, że wszyscy giną co noc? Naloty nikogo nie zabijają, jest okropny hałas i okropny bałagan, ale chyba niewiele osób ginie.

– Przestań, przestań! – zawołałam. – Odpukać. Niezależnie, czy można zginąć, czy nie, dobrze ci to nie robi. Wyglądasz strasznie, Lindo.

– Nie tak źle, kiedy się umaluję. Mam okropne wymioty i na tym polega problem, ale to nie ma nic wspólnego z nalotami, a to się wkrótce skończy i znowu będę się dobrze czuła.

– Cóż, pomyśl o tym – powiedziałam – w Alconleigh jest bardzo przyjemnie, wspaniałe jedzenie.

– Tak, słyszałam. Merlin mnie odwiedził i jego opowieści o karmelizowanych marchewkach pływających w śmietance sprawiły, że ślinka napłynęła mi do ust. Powiedział, że ma zamiar machnąć ręką na moralność i przekupić Juana, żeby go ściągnąć do Merlinford, ale zorientował się, że musiałby także przyjąć Narowistą, a do tego raczej się nie palił.

– Muszę już iść – powiedziałam niepewnie. – Nie mam ochoty zostawiać ciebie, kochanie. Chciałabym, żebyś ze mną pojechała.

– Może przyjadę później, zobaczymy.

Zeszłam do kuchni i znalazłam panią Hunt. Dałam jej trochę pieniędzy, na wypadek, gdyby coś nagłego się wydarzyło, oraz numer telefonu w Alconleigh, błagając, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli tylko uzna, że mogłabym się przydać.

– Nie zgadza się i już – powiedziałam. – Robiłam, co mogłam, żeby ją przekonać, ale bez skutku, jest uparta jak osioł.

– Wiem, proszę pani. Nawet nie chce wyjść z domu, żeby zaczerpnąć powietrza, dzień w dzień siedzi przy tym telefonie i gra w karty sama ze sobą. Wcale to nie jest odpowiednie po mojemu, że tu śpi całkiem sama, ale nie przemówisz jej do rozumu. Dzisiaj w nocy, proszę pani, uch! To było straszne, walili przez całą noc, a te nieszczęsne działa przeciwlotnicze nie namierzyły ani jednego. Po mojemu to oni przy tych działach postawili kobiety, a jeśli tak, to nie ma się co dziwić. Kobiety!

Tydzień później pani Hunt zadzwoniła do mnie do Alconleigh. Dom Lindy został bezpośrednio trafiony i ratownicy jeszcze kopią, żeby ją odnaleźć.

Ciotka Sadie pojechała wczesnym autobusem do Cheltenham na zakupy, wuja Matthew nie można było nigdzie znaleźć, więc Davey i ja po prostu wzięliśmy jego samochód, pełen benzyny z zapasów Home Guard, i pognaliśmy do Londynu na złamanie karku. Mały domek był całkowicie zburzony, ale Linda i jej buldog nie doznali obrażeń, właśnie ich wydobyto i położono do łóżka u sąsiadów. Linda była zarumieniona i podniecona i nie przestawała mówić.

– No i widzicie. Tłumaczyłam ci, Fanny, że naloty nie zabijają ludzi. Proszę bardzo, oto jesteśmy cali i nietknięci. Moje łóżko po prostu przeszło przez podłogę,

a my z Plon-plonem zjechaliśmy na nim, najwygodniej w świecie.

Przyszedł lekarz i dał jej środek uspokajający. Powiedział nam, że ona prawdopodobnie zaśnie, a kiedy się obudzi, możemy zabrać ją do Alconleigh. Zadzwoiłam do ciotki Sadie i powiedziałam, żeby kazała przygotować pokój.

Resztę dnia Davey spędził, ratując, co się dało z dobytku Lindy. Jej dom i meble, jej piękny Renoir i wszystko w sypialni było w kompletnej ruinie, ale udało mu się ocalić jakieś resztki z potrzaskanych, powyginanych pozostałości szaf, a w piwnicy znalazł nietknięte dwa kufry pełne ubrań, które Fabrice wysłał za nią z Francji. Wyszedł stamtąd pokryty od stóp do głów białym pyłem niczym młynarz, po czym pani Hunt wzięła nas do własnego małego domku i dała nam coś do jedzenia.

– Przypuszczam, że Linda może poronić – powiedziałam Daveyowi – i szczerze mówiąc, należy mieć nadzieję, że tak się stanie. To w najwyższym stopniu dla niej niebezpieczne urodzić to dziecko, mój lekarz jest przerażony.

Jednak nie poroniła, stwierdziła nawet, że to doświadczenie bardzo jej dobrze zrobiło, że zupełnie ustały jej mdłości. Nadal wzbraniała się przed wyjazdem z Londynu, ale bez wielkiego przekonania. Zwróciłam jej uwagę, że jeśli ktoś będzie jej szukał i zobaczy, że dom na Cheyne Walk został zburzony, niewątpliwie skontaktuje się od razu z Alconleigh. Przyznała mi rację i zgodziła się pojechać z nami.

Nadeszła zima, jak zwykle surowa tu na wzgórzach Cotswold. Powietrze było ostre i rześkie niczym zimna woda; bardzo przyjemne, jeśli ktoś wybrałby się tylko na krótki energiczny spacer czy przejażdżkę konną, a potem wracał do ciepłego domu. Ale instalacja centralnego ogrzewania w Alconleigh nigdy nie była w pełni sprawna, a obecnie rury, dość przecież wiekowe, musiały już całkiem zatkać się kamieniem – w każdym razie były co najwyżej letnie. Wchodząc do hallu z przenikliwego zimna na zewnątrz, miało się chwilowe wrażenie ciepła, które szybko mijało i stopniowo, w miarę spowalniania krążenia, przenikała człowieka okrutna drętwa. Mężczyźni w majątku, to znaczy starzy mężczyźni, którzy nie służyli w wojsku, nie mieli czasu narąbać drewna na opał, zajęci od rana do nocy, pod kierownictwem wuja Matthew, wierceniem, budowaniem barykad i bunkrów i w ogóle szykowaniem się do uprzykrzania życia niemieckiej armii, zanim skończą jako mięso armatnie.

– Uważam – powiadał dumnie wuj Matthew – że będziemy w stanie zatrzymać ich przez dwie godziny, może trzy, zanim nas pozabijają. Nieźle jak na takie niewielkie miejsce.

Kazałyśmy dzieciom przynieść drewna, a wytrwałym i zadziwiająco kompetentnym drwalem okazał się Davey (odmówił wstąpienia do Home Guard, powiedział, że zawsze lepiej walczył bez munduru), ale z jakiegoś powodu przyniosły tylko wystarczającą ilość na podtrzymanie ognia na kominku w pokoju dziecinnym, natomiast jeśli kominek w brązowym salonie rozpałiło się po podwieczorku, a drzewo było dosyć mokre, naprawdę ciepło robiło się dopiero wtedy, kiedy niestety nadchodziła już pora, by zmusić się do pokonania lodowatych schodów i iść spać. Po obiedzie fotele po obu stronach kominka zajmowali Davey i moja matka. Davey utrzymywał, że w końcu wszyscy mieliby znacznie większy kłopot, gdyby on zapadł na jedno ze swoich przeziębień, a Narowista po prostu siadała i koniec. Reszta z nas sadowiła się w półkolu z dala od granicy jakiegokolwiek realnego ciepła i spoglądała tęsknie na migocące żółte płomyki, które często przemieniały się w smętny dym. Linda miała płaszcz wieczorowy, rodzaj peleryny z kapturem z białego lisa, podbitej białymi gronostajami. Owijała się nią do kolacji i cierpiała mniej niż reszta z nas. W dzień nosiła albo swoje sobole i parę czarnych aksamitnych botków też wyściełanych sobolowym futrem, albo leżała na sofie otulona olbrzymią kapą z norek na białym aksamitnym spodzie.

– Kiedyś strasznie się śmiałam, jak Fabrice mówił, że kupuje mi te wszystkie rzeczy, bo się przydadzą podczas wojny, ale teraz widzę, że miał świętą rację.

Dobytek Lindy wzbudzał u innych niewiast w domu wściekły podziw.

– Wydaje się to dość niesprawiedliwe – powiedziała do mnie jednego popołudnia Louisa, kiedy razem pchałyśmy wózki z naszymi najmłodszymi dziećmi. Obie miałyśmy na sobie sztywne szkockie tweedy, tak różne od miękkich twarzowych francuskich, wełniane pończochy, brogisy oraz swetry, które same zrobiłyśmy na drutach i których odcienie były starannie dobrane nie tyle, żeby „pasować”, ale żeby „się nie gryźć” z naszymi żakietami i spódnicami. – Linda sobie wyjeżdża i świetnie się bawi w Paryżu, po czym wraca z kosztownymi futrami, podczas gdy ty i ja... co my mamy z tego, że całe życie tkwimy przy tych samych nudnych starych mężach? Kapotę trzy czwarte z wystrzyżonej owcy.

– Alfred nie jest nudnym starym mężem – zaprotestowałam lojalnie. Ale oczywiście dokładnie wiedziałam, co ona ma na myśli.

Ciotka Sadie uważała ubrania Lindy za zbyt piękne.

– Co za wspaniały gust – zwykła mówić, kiedy pojawiał się kolejny oszałamiający strój. – Czy to też pochodzi z Paryża? To zdumiewające, co można tam kupić za bezcen, jeśli jest się sprytnym.

W takich chwilach moja matka puszczała wielce wymownie oko do każdego, czyj wzrok zdarzyło jej się podchwycić, łącznie z samą Lindą. Twarz Lindy przybierała wtedy kamienny wyraz. Nie znosiła mojej matki; czuła, że nim poznała Fabrice’a, zmierzała prosto tą samą drogą, i była przerażona, widząc, co leży na końcu. Matka rozpoczęła w stylu „powiedzmy sobie szczerze, moja droga, jesteśmy tylko dwiema upadłymi kobietami”, która to metoda zbliżenia się z Lindą całkowicie zawiodła. Linda zrobiła się nie tylko sztywna i zimna, ale wręcz niegrzeczna dla biednej Narowistej, która, niezdolna dostrzec, czym mogła ją obrazić, początkowo czuła się bardzo zraniona. Po czym uniosła się dumą i oświadczyła, że Linda zachowuje się absurdalnie; biorąc pod uwagę, że nie jest niczym więcej jak luksusową dziwką, jej postawa jest pretensjonalna i pełna hipokryzji. Próbowałam wyjaśnić głęboko romantyczny stosunek Lindy do Fabrice’a i tych miesięcy z nim spędzonych, ale własne odczucia Narowistej zostały przytępione przez czas i albo nie mogła, albo nie chciała zrozumieć.

– To z Sauveterre’em ona żyła, prawda? – spytała mnie wkrótce po tym, jak Linda przybyła do Alconleigh.

– Skąd wiesz?

– Wszyscy wiedzieli na Riwierze. Jakoś o Sauveterze zawsze się wiedziało. A to było pewne wydarzenie, bo wydawało się, że on już do końca życia związał się z tą nudną Lamballe; ona musiała pojechać do Anglii w interesach i sprytna mała Linda go chapsnęła. Bardzo cenna dla niej zdobycz, kuchanie, ale nie widzę, dlaczego ma z tego powodu tak zadzierać nosa. Sadie nie wie, to dla mnie jasne i oczywiście dzikimi końmi nie zmusi się mnie, żebym jej powiedziała, nie jestem takim typem dziewczyny, ale naprawdę myślę, że kiedy jesteśmy wszystkie razem, Linda mogłaby być trochę zabawniejsza.

Radlettowie nadal wierzyli, że Linda jest oddaną żoną Christiana, który obecnie przebywał w Kairze, i oczywiście ani przez moment nie pomyśleli, że dziecko może nie być jego. Całkowicie jej wybaczyli odejście od Tony'ego, choć uważali, że to świadczy o ich niesłychanej tolerancyjności. Od czasu do czasu pytali jej, co u Christiana, nie żeby ich to interesowało, ale żeby Linda nie czuła się na marginesie, kiedy my z Louisą opowiadałyśmy o swoich mężach. Musiała wtedy wymyślać jakieś wiadomości z rzekomych listów Christiana.

– Nie przepada za brygadierem.

Albo:

– Píše, że Kair jest fajny, ale można go mieć dosyć.

W rzeczywistości Linda nie dostawała żadnych w ogóle listów. Swoich angielskich przyjaciół nie widziała od bardzo dawna, w czasie wojny rozproszyli się po krańcach globu i choć może nie zapomnieli Lindy, nie była już obecna w ich życiu. Ale oczywiście ona marzyła tylko o jednej rzeczy: liście, bodaj linijce od Fabrice'a. I tuż po Bożym Narodzeniu list nadszedł. Był przekazany z Carlton Gardens w zaadresowanej na maszynie kopercie ze znaczkiem generała de Gaulle'a. Linda, zobaczywszy go na stole w hallu, zbladła jak płótno. Pochwyciła go i pędem pobiegła do swojej sypialni.

Około godziny później znalazła mnie.

– Och, kochanie! – zawołała z oczami pełnymi łez. – Cały czas siedzę nad tym i nie potrafię odczytać jednego słowa. Czy to nie tortura? Mogłabyś spojrzeć?

Podawała mi kartkę najcieńszego papieru, jaki kiedykolwiek widziałam, na której był naskrobany, chyba zardzewiałą szpilką, szereg kompletnie niezrozumiałych hieroglifów. Ja także nie potrafiłam zrozumieć ani słowa, wydawało się to nie mieć żadnego związku z pismem, te znaczki w najmniejszym stopniu nie przypominały liter.

– Co mam zrobić? – pytała biedna Linda. – Och, Fanny.

– Poprośmy Daveya – zaproponowałam.

Wahała się przez chwilę, ale czując, że lepiej będzie podzielić się wiadomością, choćby najbardziej intymną, z Daveyem niż w ogóle jej nie znać, w końcu się zgodziła.

Davey powiedział, że zrobiła bardzo słusznie, prosząc go o pomoc.

– Bardzo dobrze czytam odręczne francuskie pismo.

– Ale nie będziesz się śmiał – upewniała się Linda zdyszczanym głosem jak dziecko.

– Nie, Lindo. Nie widzę już w tym niczego zabawnego – odpowiedział Davey, patrząc z miłością i niepokojem na jej twarz, ostatnio bardzo zmizerniałą. Po studiowaniu jednak listu przez jakiś czas on też zmuszony był wyznać, że nie potrafi sobie z nim poradzić.

– Widziałem w swoim życiu dużo trudnego francuskiego pisma – powiedział

– ale to przekracza wszystko.

W końcu Linda musiała dać za wygraną. Nosiła się z tym kawałkiem papieru w kieszeni jak z talizmanem, ale nigdy się nie dowiedziała, co Fabrice na nim do niej napisał. Pozostawało to nierozwiązywalną, okrutną zagadką. Napisała do niego na Carlton Gardens, ale jej list wrócił z adnotacją, że niestety nie może być przekazany.

– Trudno – powiedziała. – Pewnego dnia zadzwoni telefon i on tu będzie.

Obie z Louisą byłyśmy zajęte od rana do nocy. Miałyśmy teraz jedną nianię (moją) na ośmioro dzieci. Na szczęście one nie przez cały czas przebywały w domu. Dwoje najstarszych Louisy chodziło do prywatnej szkoły, dwoje jej i moich uczęszczało na lekcje do klasztoru, który lord Merlin opatrnościowo znalazł dla nas w Merlinford. Louisa dostała na to trochę benzyny i albo my, albo Davey odwoziliśmy je tam codziennie autem ciotki Sadie. Nietrudno sobie wyobrazić, co myślał o tym wuj Matthew. Zgrzytał zębami, błyskał oczami i zawsze mówił o biednych poczciwych zakonnicach jako o „tych przeklętych spadochroniarzach”. Był w stu procentach przekonany, że każdą chwilę, gdy nie zajmowały się przygotowaniem stanowisk karabinów maszynowych dla innych zakonnicy, mających sfrunąć z nieba jak ptaki do gniazd, poświęcały na uwodzenie dusz jego wnuków i dzieci jego siostrzenicy.

– Oni, wiecie, otrzymują nagrodę za każdego, kogo schwytają. Jasne, że to mężczyźni, wystarczy spojrzeć na ich buty.

Co niedzieli czyhał jak ryś, czy dzieci aby nie uklękną, nie przeżegnają się, nie wykonają innego papistowskiego błazeństwa, a to że nic takiego nie miało miejsca, bynajmniej go nie uspokajało.

– Ci rzymscy są tacy szczeni.

Uważał, że umieszczenie takiej placówki na terenie swojej posiadłości było ze strony lorda Merlina działalnością wywrotową, czego jednak można spodziewać się po człowieku, który przyprawdza Niemców na twój bal i znany jest ze swojego zamiłowania do cudzoziemskiej muzyki. Wuj Matthew wygodnie zapomniał całkiem o *Una voce poco fa* i nastawiał teraz od rana do nocy *Turecki patrol*, który rozpoczynał się piano, przechodził w forte i kończył pianissimo.

– Widzicie – wyjaśniał – oni wychodzą z lasu, a potem słychać, jak wracają do lasu. Nie wiem, dlaczego ten patrol nazywa się turecki, trudno sobie wyobrazić, żeby Turcy grali taką melodię, i oczywiście w Turcji nie ma żadnych lasów. Po prostu nazwa i tyle.

Myślę, że przypominało mu to jego Home Guard, której członkowie stale wchodzili do lasu i wychodzili z niego, biedacy, często przybrani gałęziami niczym Las Birnamski podchodzący do Dunsinane<sup>87</sup>.

Tak więc pracowaliśmy ciężko, naprawiając, szyjąc, piorąc, wykonując

domowe obowiązki dla niani, żebyśmy same nie musiały się zajmować dziećmi. Zbyt wiele widziałam dzieci wychowanych bez niań, by uważać to za pożądane. W Oksfordzie żony postępowych nauczycieli akademickich robiły to dla zasady i stopniowo same idiocjały, a dzieci wyglądały jak ze slumsów i zachowywały się jak barbarzyńcy.

Niezależnie od zajmowania się odzieżą naszych istniejących już rodzin, musiałyśmy jeszcze zadbać o dzieci, których oczekiwaliśmy, choć one sporo dziedziczyły po braciach i siostrach. Linda, która naturalnie nie posiadała zapasu niemowlęcych ubranek, niczym podobnym się nie zajmowała. Wyścieliła jedną ze sztachetowych półek w kryjówce Honsów poduszkami i narzutami z gościnnych pokoi i urządziła sobie coś w rodzaju kuszetki; otulona w swoje norki leżała tam cały dzień z Plon-plonem, czytając baśnie. Kryjówka Honsów, jak za dawnych czasów, była miejscem najcieplejszym, jedynym naprawdę ciepłym miejscem w domu. Ilekroć mogłam, brałam tam moje szycie i siadałam przy niej, a ona odkładała niebieską albo zieloną księgę baśni, Andersena lub Grimmów, i długo mi opowiadała o Fabrisie i swoim szczęśliwym życiu z nim w Paryżu. Czasami przyłączała się do nas Louisa, a wtedy Linda przerywała swoją opowieść i rozmawialiśmy o Johnie Forcie Williamie i dzieciach. Ale Louisa była ruchliwą, pracowitą osobą, nieprzepadającą za pogaduchami, poza tym złościło ją, że Linda całymi dniami nic kompletnie nie robi.

– Co to dziecko, biedactwo, będzie nosić – mówiła do mnie poirytowana – i kto będzie się nim zajmował. Jest jasne jak słońce, że ty i ja będziemy musiały, a naprawdę, Fanny, i bez tego mamy dosyć roboty. I jeszcze coś, Linda wyleguje się tutaj okryta sobolami czy co to tam jest, ale nie ma grosza przy duszy, jest nędzarką. Nie sądzę, żeby w ogóle zdawała sobie z tego sprawę. A co powie Christian, kiedy usłyszy o dziecku, w końcu prawnie ono jest jego, będzie musiał wystąpić do sądu o zaprzeczenie ojcostwa, a wtedy wybuchnie skandal. Wydaje się, że Linda w ogóle o tym wszystkim nie myśli. Powinna zamartwiać się na śmierć, a tymczasem zachowuje się jak żona milionera w czasie pokoju. Brak mi cierpliwości do niej.

Niemniej Louisa była poczciwą duszą. W końcu to ona pojechała do Londynu i kupiła wyprawkę dla dziecka Lindy. Linda sprzedała pierścionek zaręczynowy od Tony'ego za śmiesznie niską cenę, żeby za nią zapłacić.

– Czy ty nigdy nie myślisz o swoich mężach, Lindo? – zapytałam ją pewnego dnia, po tym, jak godzinami opowiadała mi o Fabrisie.

– Wiesz, to zabawne, dość często myślę o Tonym. Christian, widzisz, był czymś w rodzaju interludium, praktycznie się w moim życiu nie liczy, bo, po pierwsze, nasze małżeństwo bardzo krótko trwało, a poza tym przysłoniło je to, co przyszło później. Nie wiem, trudno mi jakoś te rzeczy pamiętać, ale wydaje mi się, że moje uczucia dla niego były naprawdę intensywne tylko przez parę tygodni, na

samym początku. On jest szlachetnym człowiekiem, człowiekiem, którego można szanować, nie wyrzucam sobie, że za niego wyszłam, ale nie ma talentu do miłości. Natomiast Tony był moim mężem tak długo, więcej jak ćwierć mojego życia, gdy się o tym pomyśli. Na pewno odcisnął ślad. I teraz widzę, że nie było właściwie winą biednego Tony'ego, że to nie wyszło. Nie sędzę, żeby to wtedy wyszło z kimkolwiek innym (chyba że spotkałabym Fabrice'a), ponieważ w tamtych czasach byłam okropna. Naprawdę ważną rzeczą, jeśli małżeństwo ma się udać bez miłości, jest uprzejmość, *gentillesse*<sup>88</sup> i znakomite maniere. Ja nigdy nie zachowywałam się *gentille* wobec Tony'ego i często byłam dla niego mało grzeczna, a wkrótce po naszym miesiącu miodowym stałam się wyjątkowo nieprzyjemna. Wstyd mi teraz, gdy pomyślę, jaka byłam. A biedny stary Tony miał taki dobry charakter, nigdy się nie odgryzał, godził się z tym wszystkim przez lata, aż wreszcie spokojnie odszedł do Pixie. Nie mogę go winić. To była moja wina od początku do końca.

– No wiesz, on nie był tak naprawdę bardzo przyjemny, kochanie. Na twoim miejscu nie martwiłabym się tym za bardzo. Popatrz, jak on się teraz zachowuje.

– Och, on jest najślabszym człowiekiem na świecie, to Pixie i rodzice nim kręcą. Gdyby nadal był moim mężem, zostałby oficerem Gwardii Królewskiej, założę się.

Jestem pewna, że o jednej rzeczy Linda nigdy nie myślała, mianowicie o przyszłości. Pewnego dnia zadzwonił telefon i to będzie Fabrice, dalej już myślą nie wybiegała. Czy się z nią ożeni, co się stanie z dzieckiem – nad tymi kwestiami nie tylko się nie zastanawiała, ale chyba nigdy nawet nie przychodziły jej one do głowy. Jej umysł był zwrócony całkowicie ku przeszłości.

– To raczej smutne – powiedziała któregoś dnia – należeć tak jak my do straconego pokolenia. Jestem pewna, że w historii te dwie wojny będą się liczyć jako jedna, a my z tego całkiem wypadniemy i ludzie zapomną, że kiedykolwiek istnieliśmy. Moglibyśmy równie dobrze w ogóle nigdy nie żyć. Uważam, że to szkoda.

– Może to się stać czymś w rodzaju literackiej ciekawostki – zauważył Davey. Czasami wpełzał, drżący z zimna, do kryjówki Honsów, żeby trochę pobudzić krążenie przed powrotem do pracy. – Ludzie będą się tym interesować z wszelkich niewłaściwych powodów, kolekcjonować przybory toaletowe Lalique'a, szagrynowe pudełka i serwantki z lustrzaną ścianką i uważać je za bardzo zabawne. Och, świetnie – dodał, zerkając przez okno – nasz niezrównany Juan niesie następnego bażanta.

(Juan posiadał bezcenny talent: był mistrzem w strzelaniu z procy. Spędzał swoje wolne chwile – jakim cudem miał wolne chwile, pozostawało tajemnicą, ale je miał – skradając się w lesie albo wzdłuż rzeki uzbrojony w swoją procę. Ponieważ był niezawodnym strzelcem, a w dodatku nie powstrzymywał go żaden



kodeks myśliwski – to że na przykład bażant może wysiadywać jaja, a zając opiekować się młodymi albo że łabędź jest własnością króla, nie miało dla Juana znaczenia – owe wypadki okazywały się niesłychanie cenne dla spiżarni i rosołu. Kiedy Davey chciał naprawdę w pełni rozkoszować się swoim jedzeniem, recytował, po części do siebie, coś w rodzaju małej modlitwy, która się zaczynała: „Wspomnij pomidorową z puszek pani Beecher”.

Nieszczęsny Craven oczywiście przeżywał tortury z powodu tych wypraw, które jego zdaniem mało różniły się od kłusownictwa. Ale wuj Matthew wyciskał z niego siódme poty, tak że kiedy Craven, biedaczysko, nie pełnił warty albo nie przywiązywał pni drzew do kół rowerowych, ustawiając w poprzek dróg barykady przeciw czołgom, to był na paradzie. Wuj Matthew słynął w okolicy z elegancji swoich parad. Juan jako cudzoziemiec na szczęście był zwolniony z tych zajęć i mógł cały czas poświęcić dla naszej wygody i przyjemności, w czym osiągał znakomite wyniki).

– Nie chcę być literacką ciekawostką – zaprotestowała Linda. – Chciałabym być żyjącą częścią naprawdę wielkiego pokolenia. Uważam, że to fatalne urodzić się w jedenastym roku.

– Nie przejmuj się, Lindo, będziesz wspaniałą starą damą.

– Będziesz wspaniałym starym dżentelmenem, Davey – odparła.

– Co, ja? Obawiam się, że nigdy nie zdołam się zestarzeć – odpowiedział tonem najwyższej satysfakcji Davey.

Istotnie robił wrażenie człowieka bez wieku. Chociaż był dobre dwadzieścia lat starszy od nas i tylko pięć lat młodszy od ciotki Emily, zawsze wydawał się znacznie bliższy naszego niż jej pokolenia, nie zmienił też się pod żadnym względem od dnia, kiedy stał przy kominku w hallu, nie wyglądając ani na kapitana, ani na męża.

– Chodźcie, moje drogie, czas na podwieczorek, a przypadkowo się dowiedziałem, że Juan upiekł tort, więc zejdźmy na dół, zanim Narowista zje cały.

Davey prowadził przy posiłkach wielką wojnę z Narowistą. Jej maniery przy stole zawsze były swobodne, ale niektóre jej zwyczaje, takie jak zjedanie dżemu łyżką, którą następnie wkładała do słoika, albo gaszenie papierosa w cukiernicy doprowadzały biednego Daveya do szału wściekłości i przemawiał wtedy do niej ostro jak guwernantka do rozrabiającego dzieciaka.

Mógł sobie oszczędzić fatygi. Narowista nie zwracała na to najmniejszej absolutnie uwagi i nadal niefrasobliwie paskudziła jedzenie.

– Kuchanie – mówiła – co to ma za znaczenie, mój boski Huu-an ma w zanadrzu znacznie więcej, przysięgam ci.

W tym czasie panował szczególnie alarmujący strach przed inwazją. Z dnia na dzień spodziewano się przybycia Niemców, uzbrojonych po zęby oddziałów

lotniczych w przebraniu księży, baletnic i Bóg wie jakim jeszcze. Pewna niezycziwa osoba rozpuściła plotkę, że będą to dublerzy pani Davis w mundurach Kobiecej Służby Ochotniczej. Pani Davis miała taki dar ukazywania się w kilku miejscach naraz, że już mogło się wydawać, iż w okolicy znajduje się tuzin pań Davis zrzuconych na spadochronie. Wuj Matthew traktował inwazję bardzo poważnie i któregoś dnia zebrał nas wszystkich razem w swoim gabinecie i wyłuszczył nam szczegółowo, jaką rolę mamy odegrać.

– Wy, kobiety, wraz z dziećmi idziecie do piwnicy, kiedy będzie bitwa – instruował – macie tam dostęp do wody, a ja zaopatrzyłem was w konserwę wołową na tydzień. Owszem, być może spędzicie tam kilka dni, ostrzegam was.

– To się nie spodoba niani – zaczęła Louisa, ale została uciszona wściekłym spojrzeniem.

– Jeśli już jesteśmy przy niani – powiedział wuj Matthew – ostrzegam was, że nie ma mowy o tarasowaniu drogi waszymi wózkami, ewakuacja w żadnych okolicznościach nie wchodzi w grę. Dalej, jest jedno bardzo ważne zadanie do wykonania i powierzam je tobie, Davey. Wiem, że nie będziesz miał mi za złe, stary, jeśli ci powiem, że bardzo słabo strzelasz. Jak wiesz, mamy mało amunicji i to, co mamy, pod żadnym pozorem nie może się zmarnować. Każda kula musi trafić. Nie zamierzam więc dawać ci karabinu, w każdym razie nie na początku. Ale mam zapalnik i ładunek dynamitu (pokażę ci zaraz) i chciałbym, żebyś wysadził dla mnie spiżarnię.

– Wysadzić Aladyn?! – zawołał Davey. Zbladł jak ściana. – Matthew, chyba zwariowałeś.

– Dałbym to zrobić Dżewanowi, ale rzecz w tym, że choć teraz lubię starego Dżewana, nie do końca facetowi ufam. Cudzoziemiec zawsze pozostanie cudzoziemcem, takie jest moje zdanie. Teraz muszę wyjaśnić ci, dlaczego uważam to za najbardziej kluczową część wszystkich operacji. Kiedy Josh, Craven i ja, i cała reszta już zginiemy, będzie tylko jeden sposób, w jaki wy, cywile, możecie pomóc, a mianowicie stać się ciężarem dla niemieckiej armii. Musicie się postarać, żeby was żywili – nie martw się, będą to robić, nie chcą mieć tyfusu wzdłuż swoich linii komunikacyjnych – ale musicie im to utrudnić jak tylko się da. Ta spiżarnia zapewniłaby wam żywność na wiele tygodni, właśnie do niej zajrzałem, mogłaby wyżywić całą wioskę. To niedopuszczalne. Zmusić ich, żeby przywozili jedzenie, zdestabilizować im transport, o to nam chodzi, żeby dokładnie uprzykrzać im życie. To wszystko, co będziecie w stanie zrobić, to po prostu uprzykrzać im życie, więc trzeba zniszczyć spiżarnię i właśnie Davey musi ją wysadzić.

Davey otworzył usta, żeby uczynić następną uwagę, ale wuj Matthew był w tak przerażającym nastroju, że wołał zrezygnować.

– Dobrze, drogi Matthew – powiedział smutno – musisz mi pokazać, co należy zrobić.

Ale gdy tylko wuj Matthew się odwrócił, Davey dał głośny upust swoim żalom.

– No nie, naprawdę, jak może Matthew nalegać, żebym wysadził Aladyn. Dobrze mu mówić, on już będzie martwy, ale w końcu powinien trochę bardziej mieć nas na uwadze.

– Myślałam, że zamierzasz wziąć te pastylki, białą i czarną – zauważyła Linda.

– Emily nie podobał się ten pomysł, więc postanowiłem, że wezmę je tylko wtedy, gdy mnie aresztują, ale teraz nie wiem. Matthew mówi, że armia niemiecka będzie musiała nas żywić, ale przecież musi wiedzieć równie dobrze jak ja, że jeśli istotnie będą nas żywić, co jest w najwyższym stopniu problematyczne, to będzie to tylko skrobia, czyli powtórka z pani Beecher, tylko gorsza, a ja nie trawię skrobi, szczególnie w zimie. Doprawdy, co za pomysł. Okropny stary Matthew jest taki bezmyślny.

– No, ale Davey – powiedziała Linda – popatrz na nas. Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji, a nie narzekamy.

– Niania będzie – powiedziała Louisa i pociągnęła nosem, co wyraźnie oznaczało „a ja solidaryzuję się z nianią”.

– Niania! Ona żyje we własnym świecie – odparła Linda. – Ale my powinniśmy wiedzieć, dlaczego walczymy, i co do mnie, uważam, że papa ma absolutną rację. A jeśli ja tak myślę, w moim stanie...

– O, tobą się zaopiekują – powiedział gorzko Davey – kobiety w ciąży zawsze mogą na to liczyć. Będą ci przysyłać witaminy i inne rzeczy z Ameryki, zobaczysz. Ale nikt nie będzie troszczył się o mnie, a ja jestem tak delikatny, nie nadaję się na wikt niemieckiej armii, nigdy też nie zdołam wyjaśnić im problemów mojego wnętrza.

– Zawsze mówiłeś, że nikt tak dobrze nie rozumie problemów twojego wnętrza jak dr Meyerstein.

– Miej odrobinę rozsądku, Lindo. Co, zrzucą dr. Meyersteina na spadochronie do Alconleigh? Wiesz doskonale, że od lat już przebywa w obozie. Nie, muszę się zdecydować na powolną śmierć; niezbyt miła perspektywa, trzeba przyznać.

Po tej rozmowie Linda wzięła wuja Matthew na bok i skłoniła go, żeby jej pokazał, jak wysadzić Aladyn.

– Duch Daveya nie jest przesadnie chętny – powiedziała – a jego ciało zdecydowanie mdłe.

Nastąpiło po tym pewne ochłodzenie stosunków między Lindą a Daveyem, bo każde uważało, że drugie zachowało się mocno nierozsądnie. Nie trwało to jednak długo. Za bardzo się lubili (prawdę mówiąc, jestem pewna, że Davey kochał Lindę najbardziej na świecie), poza tym, jak to ujęła ciotka Sadie: „Kto wie, może

wcale nie będzie trzeba podejmować tych okropnych decyzji”.

I tak powoli minęła zima. Wiosna wybuchła niezwykłym pięknem, jak zawsze w Alconleigh, z jaskrawością kolorów, bogactwem życia, o których zapominało się podczas zimnych i szarych zimowych miesięcy. Wszystkie zwierzęta rodziły, wszędzie były młode stworzenia, a my tęsknie i niecierpliwie wyczekiwałyśmy przyjścia na świat naszych dzieci. Dni, nawet godziny się wlokły i Linda pytana o godzinę zaczęła znów mówić „lepiej”.

– Która godzina, kochanie?

– Zgadnij.

– Pół do pierwszej?

– Lepiej, za kwadrans pierwsza.

My, trzy ciężarne kobiety, wszystkie stałyśmy się monstrualnie wielkie, poruszałyśmy się ciężko po domu jak wielkie figury płodności, sapiąc i odczuwając pierwsze ciepłe dni z nadmierną uciążliwością.

Bezużyteczne były teraz dla Lindy jej piękne paryskie stroje, zeszła na poziom mój i Louisy w kretonowym kitlu, ciężowej spódnicy i sandałach. Zostawiła kryjówkę Honsów i spędzała teraz dni, jeśli była piękna pogoda, przesiadując na skraju lasu z Plon-plonem, który z zapalem, choć bez powodzenia, polował na króliki, rzucając się co chwila, zdyszany i z wywieszonym językiem, w zieloną mgłę poszycia.

– Jeśli cokolwiek mi się stanie, kochanie, zajmiesz się Plon-plonem, prawda?

– powiedziała. – Był dla mnie taką pociechą przez cały ten czas.

Ale mówiła to lekko, jak ktoś, kto wie, że tak naprawdę będzie żył bez końca, i nie wspomniała ani o Fabrisie, ani o dziecku, co by niechybnie zrobiła, gdyby miała jakiegokolwiek przeczucia.

Dziecko Louisy, Angus, urodziło się na początku kwietnia. Było jej szóstym dzieckiem i trzecim chłopcem, a my z całego serca zazdrościłyśmy jej, że ma już to za sobą.

28 maja urodziły się nasze dzieci – dwaj chłopcy. Lekarze, którzy powiedzieli, że Linda nigdy więcej nie powinna mieć dziecka, nie byli, jak się okazało, takimi idiotami. Istotnie to ją zabiło. Umarła, myślę, całkowicie szczęśliwa i nie cierpiała zbyt wiele, ale dla nas w Alconleigh, dla jej ojca i matki, braci i siostr, dla Daveya i lorda Merlina, zgasło jakieś światło, radość w dużej części została zniszczona na zawsze.

Mniej więcej w tym samym czasie, w którym umarła Linda, gestapo złapało Fabrice’a i go rozstrzelało. Był bohaterem ruchu oporu i jego nazwisko stało się we Francji legendą.

Zaadoptowałam małego Fabrice’a za zgodą Christiana, jego prawnego ojca. Ma czarne oczy, takiego samego kształtu jak niebieskie oczy Lindy, i jest

najpiękniejszym i najbardziej czarującym dzieckiem. Kocham go tak samo, a może nawet więcej, niż moje własne.

Narowista przyjechała mnie odwiedzić, kiedy wciąż jeszcze byłam w klinice w Oksfordzie, gdzie urodziło się moje dziecko i gdzie zmarła Linda.

– Biedna Linda – powiedziała z głębokim współczuciem – biedactwo małe. Ale, Fanny, czy nie sądzisz, że tak jest lepiej? Życie kobiet takich, jak Linda i ja, przestaje być zabawne, kiedy zaczynamy się starzeć.

Nie chciałam zranić uczuć mojej matki, protestując, że Linda nie była tego rodzaju kobietą.

– Myślę jednak, że znalazłaby szczęście z Fabrice’em – odparłam. – Wiesz, on był tą wielką miłością jej życia.

– Och, kuchanie – powiedziała smutno matka. – Zawsze się tak myśli. Za każdym, każdym razem.

## Przypisy końcowe

*C'était...* (fr.) – To był, jak zwykle, układ moczowy. [\[wróć\]](#)

Z rymowanki dziecięcej. [\[wróć\]](#)

Hons – od przysługującego dzieciom arystokratów kurtua-zyjnego tytułu *Honourable* (tu: wielmożny), skracanego często, np. w adresie, do Hon. [\[wróć\]](#)

*Bien...* (fr.) – No, pierdyknie, co nie? [\[wróć\]](#)

*Qu'est-ce...* (fr.) – Co to za custard, który wszędzie wpieprzają? [\[wróć\]](#)

M. Kennedy, *The Constant Nymph*, 1924. [\[wróć\]](#)

*Les origins...* (fr.) – Początki rodziny Radlettów giną w pomroce dziejów. [\[wróć\]](#)

E. Dowson, *Non sum qualis eram bonae sub regno Cynarae*, 1894. [\[wróć\]](#)

Helena Trojańska u Homera. [\[wróć\]](#)

Lochinvar – bohater ballady *Marmion* Waltera Scotta. [\[wróć\]](#)

Fijoł – od angielskiego *folly*. Tak nazywano fantazyjne budowle powstające w Anglii szczególnie w XVIII w. [\[wróć\]](#)

Król Bocian i Król Kłoda – postacie z bajki sięgającej czasów starożytnych. [\[wróć\]](#)

Klejnot króla Alfreda – oprawny w złoto artefakt z emalii i kwarcu pochodzący z IX w., wykonany prawdopodobnie na zamówienie pierwszego króla Anglii, Alfreda Wielkiego. [\[wróć\]](#)

*Rok 1812* – uwertura koncertowa Piotra Czajkowskiego. [\[wróć\]](#)

*Haunted Ballroom* – muzyka baletowa Geoffreya Toye. [\[wróć\]](#)

Aluzja do *Snu nocy letniej* Williama Szekspira. [\[wróć\]](#)

*Terre à terre* (fr.) – trzeźwo myśląca, stąpająca mocno po ziemi. [\[wróć\]](#)

*Nourri...* (fr.) – Dość długo żyłem w seraju, by znać drogę (J.B. Racine, *Bajazet*, IV, 7). [\[wróć\]](#)

W. Szekspir, *Hamlet*, III, 1. [\[wróć\]](#)

Biały myśliwy – określenie Europejczyków i Amerykanów zajmujących się zawodowo polowaniem na grubego zwierza w Afryce. [\[wróć\]](#)

Hrabia Dorincourt – dziadek Małego Lorda Fauntleroja, bohatera powieści Frances Hodgson Burnett. [\[wróć\]](#)

Nightmare Abbey – z powieści Thomasa Love Peacocka pod tym samym tytułem. [\[wróć\]](#)

*Les petits...* (fr.) – zadbanie o siebie. [\[wróć\]](#)

Sophie i Paul – bohaterowie młodzieżowych powieści hrabiny de Sequor. [\[wróć\]](#)

SI LA SANGSUE... (fr.) – Jeśli pijawka przesunie się w górę butelki, będzie pogoda. Jeśli pijawka pójdzie w dół – burza. [\[wróć\]](#)

*Voyons...* (fr.) – Proszę spojrzeć, madame, dwudziesty dzień-wiąty maja. Dzisiaj jest trzydziesty, prawda? A więc...! [\[wróć\]](#)

*Allez...* (fr.) – Proszę odejść. [\[wróć\]](#)

*Voulez-vous...* (fr.) – Czy zechce pan odejść? [\[wróć\]](#)

*If faut...* (fr.) – Należy wyjaśnić, że nie jestem białą niewolnicą. Jestem córką bardzo ważnego angielskiego lorda. [\[wróć\]](#)

*Les marques...* (fr.) – zewnętrzne oznaki bogactwa. [\[wróć\]](#)

*A tout...* (fr.) – Do zobaczenia. [\[wróć\]](#)

*Un monsieur...* (fr.) – Jakiś pan do pani. [\[wróć\]](#)

*Je descends...* (fr.) – Zaraz zejść. [\[wróć\]](#)

*Comme...* (fr.) – Jak ładnie. [\[wróć\]](#)

*Allons...* (fr.) – A więc proszę opowiadać, madame. [\[wróć\]](#)

*Vison...* (fr.) – futro z norek. [\[wróć\]](#)

*Une femme...* (fr.) – kobietą poważną. [\[wróć\]](#)

*C'est une...* (fr.) – To jest wspaniały opór, gratuluję pani z całego serca, madame. [\[wróć\]](#)

*A demain* (fr.) – Do jutra. [\[wróć\]](#)

*Histoires de revenants* (fr.) – historie o duchach. [\[wróć\]](#)

*Donc plus...* (fr.) – Zatem żadnych więcej historii o duchach, madame, jeśli łaska. [\[wróć\]](#)

*Comme sous ...* (fr.) – Jak źle jest pani uczesana, moja droga. [\[wróć\]](#)

*Quand même...* (fr.) – Mimo wszystko wyznam, że coś jednak widzę. [\[wróć\]](#)

*Les gens...* (fr.) – Światowcami. [\[wróć\]](#)

*De la haute...* (fr.) – eleganckie towarzystwo. [\[wróć\]](#)

*Eh bien...* (fr.) – Cóż, powiem pani tyle: nie będzie miał żadnych złudzeń. [\[wróć\]](#)

*Alors, c'est...* (fr.) – Zatem ustalone, do zobaczenia. [\[wróć\]](#)

*Plus commode* (fr.) – wygodniej. [\[wróć\]](#)

*M. le duc...* (fr.) – Książę trochę się spóźni, madame. [\[wróć\]](#)

*Vous...* (fr.) – Pani – pani jest szalona, madame, żadnej po-prawności.



A ona była delikatna, była wcieleniem delikatności, biedactwo. [\[wróć\]](#)

*Dieu...* (fr.) – Boże, jakie to smutne. [\[wróć\]](#)

*Enfant...* (fr.) – Jedyne dziecko ostatniego Rancégo. [\[wróć\]](#)

*Mais...* (fr.) – Ale jak sobie pani życzy, jest pani szalona. [\[wróć\]](#)

*Comme...* (fr.) – Jak pan musi mną gardzić. [\[wróć\]](#)

*Qu'est-ce...* (fr.) – Co ja zrobiłam? Mój Boże, niestety, Fabrice, co pan sobie o mnie pomyśli? O, jak się zhańbiłam. [\[wróć\]](#)

*Pas désagréable...* (fr.) – Nie nieprzyjemne, trzeba przyznać. [\[wróć\]](#)

*Mais no ...* (fr.) – Ależ nie, skądże. [\[wróć\]](#)

*Ma chère...* (fr.) – Moja droga, to rzecz dobrze znana, zwierzęca strona Anglików. [\[wróć\]](#)

*Comme c'est...* (fr.) – To jest bardzo miłe... i w rezultacie... [\[wróć\]](#)

*Une très...* (fr.) – bardzo wielką damą. [\[wróć\]](#)

*J'ai horreur...* (fr.) – Nienawidzę spać sam. [\[wróć\]](#)

*Continuez...* (fr.) – Niech pani kontynuuje zatem, moja droga, śmiało. Jak dotąd wcale nieźle pani idzie. [\[wróć\]](#)

*Dieu...* (fr.) – „Bóże, jak smutny jest dźwięk rogu w głębi lasu” (Alfred de Vigny). [\[wróć\]](#)

*Dieu...* (fr.) – Boże, jak smutny jest dźwięk boa w głębi rogu. Gra słów oparta na jednakowej we francuskim wymowie słów *bois* (las) i *boa*. [\[wróć\]](#)

*Plagué* (fr.) – rzucił. [\[wróć\]](#)

*Mais bien...* (fr.) – Ależ oczywiście, Merlin tak uprzejmy, a ten drugi, Warbeck, zawsze chory, biedak. Poznałem ich w Wenecji. [\[wróć\]](#)

*Décousu...* (fr.) – niespójna. [\[wróć\]](#)

*Qu'est...* (fr.) – Co pani chce? [\[wróć\]](#)

*Ah! Vous...* (fr.) – Ach, pani mnie bezsta, madame? [\[wróć\]](#)

*Comme c'est...* (fr.) – Jak miło. [\[wróć\]](#)

*Tiens...* (fr.) – Coś takiego, ona przypomina małą Bosquet. [\[wróć\]](#)

*Merci...* (fr.) – Dziękuję pięknie, o wiele bardziej wolałabym przypominać tę drugą. [\[wróć\]](#)

*Ensuite...* (fr.) – Później pomyślałem sobie, jakie to zabawne, ta staroświeckość tego wszystkiego. [\[wróć\]](#)

*On ne...* (fr.) – Nie jesteśmy drobiazgowi. [\[wróć\]](#)

*Les Anglais...* (fr.) – Anglicy są niemądrzy, zawsze to mówiłem. [\[wróć\]](#)

*Le blocus...* (fr.) – Blokada, co za bлага! Mówię pani, madame, oni sobie nic nie robią z waszej blokady. [\[wróć\]](#)

*Tailleurs, imprimés, ensembles* (fr.) – kostiumy, tkaniny, kolekcje. [\[wróć\]](#)

*Je n'étais...* (fr.) – Nie wychowałam się jednak w burdelu. [\[wróć\]](#)

*On vous...* (fr.) – tak długo na pana czekałam. [\[wróć\]](#)

*Comme c'est...* (fr.) – Jak miło, zatem czy mogę do pani zaraz przyjść?  
[\[wróć\]](#)

*On circule* (fr.) – Okrężną drogą. [\[wróć\]](#)

*La pauvre...* (fr.) – Biedaczka, była taka łagodna, łagodna, elegancka, ale nudna, mój Boże! W końcu... [\[wróć\]](#)

*J'en aurai...* (fr.) – tak bardzo przywyknę. [\[wróć\]](#)

*On fera...* (fr.) – Będę krążył tam i z powrotem. [\[wróć\]](#)

WRNS – Women’s Royal Naval Service – popularnie zwana Wrens, pomocnicza kobieca formacja marynarki wojennej. [\[wróć\]](#)

T.C.P. – łagodny środek antyseptyczny. [\[wróć\]](#)

Aluzja do *Makbeta* Williama Szekspira, akt V, sc.4. [\[wróć\]](#)

*Gentillesse* (fr.) – życzliwość. [\[wróć\]](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The Pursuit of Love*

© Nancy Mitford 1945

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Zuzanna Lipińska

REDAKCJA: Anna Kubalska

Wydanie I elektroniczne

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela jest zabronione.

**Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”**

ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

© Copyright for the Polish translation by Aleksandra Ambros, 2016

© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,

Warszawa 2016

ISBN 978-83-07-03407-2